



Famiglia #3

DONNA



MONIKA MADEJ

MONIKA MADEJ

DONNA

FAMIGLIA #3

NOŚWIECIEM 2022

Copyright © 2023

Monika Madej

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Kamila Reclaw

Korekta:

Alicja Szalska-Radomska

Dominika Kalisz

Karolina Piekarska

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-169-2

Spis treści

Dedykacja

OD AUTORKI

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

EPILOG

Podziękowania

Playlista

Przypisy



Dedykacja

*Dla tych, którzy mają przed sobą wiele walk.
Mieście twardą psychę, żeby walczyć o siebie i swoje szczęście. A po drodze zróbcie taki rozpiędoł,
żeby każdy pamiętał, że was się nie niszczy. Was się zajębiście motywuje do budowania jeszcze
twardszej wersji siebie.*

OD AUTORKI

Kochane Czytelniczki! <3

Sięgając po tę książkę, nie spodziewajcie się krwistej mafii, masy wulgaryzmów (tylko troszkę), ostrych scen seksu albo zabijania co drugi rozdział. Seria nie bez powodu nazywa się **Famiglia**. Mafia jest wątkiem pobocznym, a całość skupia się na najważniejszym aspekcie, jakim jest rodzina, jej więzi i szacunek „ludzia do ludzia”. Taki zamysł był od pierwszego tomu. Ja wiem, że wszystko, co kręci się dookoła tej instytucji, powinno być bezlitosne, krwawe i obrzydliwe, ale ludzie nadal zostają ludźmi i w czterech ścianach mają zupełnie inne oblicze niż to, które pokazują całemu światu.

W ostatniej części serii znajdziecie walkę, ale człowieka z jego własnymi demonami i słabościami. Pochylicie się nad kartkami, które nie tylko doprowadzą was do śmiechu, ale też skłonią do głębszych refleksji i wycisną łezkę z oka.

Bo życie nie jest ustane różami. Są też ciernie, przez które mocno się kaleczymy, a blizny pozostają na zawsze. Nie każdy może liczyć na happy end.

*Przyjemnej lektury
Monika Madej*

Rozdział I

Z posiadaniem władzy jest jak z byciem damą. Jeśli musisz cały czas powtarzać, że tak jest, to wierz mi. Zupełnie tak nie jest.

ROSA

Głośny stukot szpilek rozchodzi się echem po dużej przestrzeni. Stojący przede mną ludzie rozstępują się jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Kto by pomyślał, że dożyję takiego dnia, kiedy stanę na czele rodziny mafijnej. I tak, nieraz mi zarzucano, że nie mam doświadczenia, że jestem tylko kobietą i się do tego nie nadaję. Przez takich ludzi sama zaczęłam nabierać wątpliwości, czy aby na pewno sobie poradzę, ale wtedy przypominałam sobie, że Arkę Noego sterował amator, a Titanikiem sami eksperci. Wnioski nasuwają się same. Mijam wszystkich, co chwilę kiwając komuś głową na znak szacunku. Tak. Szacunek. Właśnie to uczucie przepętnia mnie, kiedy patrzę na wszystkich wiernych ludzi mojego męża, którzy postanowili zostać ze mną na polu bitwy. Nie musieli, nikt by ich przecież nie zmusił, dlatego dałam im wybór. Chcieli. I to się dla mnie bardzo liczy. Tommaso jako szef wykonał ogromną robotę. W naszym świecie trudno jest mieć wiernych ludzi nawet po swojej „śmierci”, bo wtedy wszyscy jak hieny lub sępy krążą wokół tronu, na którym chcą zasiąść. Mojemu mężowi udało się jednak stworzyć coś więcej niż tylko armię żołnierzy. Stworzył ogromną rodzinę, która pomimo braku więzów krwi stanie za sobą w każdej sytuacji.

Staję na niewielkiej platformie, która po chwili się unosi. Teraz widzę wszystkie zgromadzone tu osoby. Olbrzymi magazyn wypełniony jest po brzegi. Przemowy do większej publiczności to nie moja bajka, ale jak trzeba... Głęboki wdech.

– Dziękuję wam za przybycie. I jeszcze bardziej dziękuję za to, że zostaliście ze mną, mimo że nie ma z nami mojego męża i szwagra. Jak wszyscy wiecie, Nunzio nie chciał przejąć pałeczki po Tommasie. Ja w zasadzie też nie chciałam, bo jestem na to za miękka... – w tym samym momencie po hali roznosi się fala śmiechu oraz „mhm, tak jasne, za miękka”. Sama mam ochotę się zaśmiać. Ludzie Tommasa zdążyli już się na mnie poznać. Na mnie i moim charakterku. Wiedzą, że jestem typem kobiety, która ma dwa oblicza – ...ale chciałabym, aby kobieta, która postanowiła skrzywdzić moją rodzinę i odebrać mi tych, których kocham, odpowiedziała za wszystko najmocniej. Z wami będzie mi dużo łatwiej sprawić, żeby wspomniana wcześniej suka zapłaciła za swoje czyny. Pilnowanie mojej rodziny to dla mnie teraz najważniejsza sprawa, więc wzmożona ochrona się przyda. Odwdzięczę się, możecie być tego pewni. Czego jak czego, ale mój mąż nauczył mnie, że współpracowników trzeba szanować i odpowiednio motywować. – Uśmiecham się szeroko, a większość mężczyzn nieśmiało robi to samo pod nosem. Oj tak. W naszym świecie pieniądze są zawsze dobrym sposobem na odwdzięczenie się i rewelacyjnym argumentem, a tego akurat mi nie brakuje. – Wszelkie instrukcje będziecie dostawać od Pabla oraz Carla. Nunzio zajmie się biznesami pozostawionymi przez mojego męża. A teraz wybaczenie, ale muszę załatwić kilka spraw. – Schodzę z platformy i kieruję się w stronę Pabla stojącego razem z Dariem.

– Umówiłeś nas z Cesarem i resztą? – zwracam się do Falconiego, który odrywa wzrok od telefonu.

– Umówiłem. Jutro o dwudziestej drugiej w Publicco. Wspominałem, że ma sprowadzić też Marisę. Jaki ty konkretnie masz plan, Rosa? – patrzę na Pabla i w zasadzie... To jaki ja mam plan?

Znalezienie Sonii, jak widać po rezultatach z ostatnich lat, wcale nie jest takie proste. Chociaż nie. Poprawka. Gdybym od początku wiedziała, że to ona, zapewne wydrapałabym jej oczy już dawno. Zmiana miejsca zamieszkania jeszcze bardziej nam to utrudniła, ale teraz, zaczynając poszukiwania w najbliższym gronie, liczę, że uda się to powoli zrobić. Może łączyło ją coś z Eduardem, a Cesare to przecież jego wuj. Czego mam się bać, skoro, teoretycznie, przecież nie mam już niczego do stracenia i nie zawaham się przed niczym? A przynajmniej niech każdy tak myśli, nikogo nie będę wyprowadzała z błędu.

– Cesare i Marisa mieli powiązania z Eduardem. Eduardo z Andrejewem. Zaczniemy szukać w ten sposób. Małymi krokami, kropka po kropce. W innym wypadku przy tym maratonie dostaniemy zadyszki, Pablo, a tego chyba nie chcemy. Jak widać, znaleźć konkretnego człowieka wcale nie jest tak łatwo. A niby jesteśmy mafią i nie ma dla nas rzeczy niemożliwych. Zawsze o tym zapewnialiście, a teraz spójrz, w jakim jesteśmy punkcie. – Pablo jedynie zaciska szczęki. Niestety. Przekonaliśmy się na własnej skórze, że czasami zabawa w Boga jest niebezpieczna, a role się odwracają. – Jadę do Ninetty – oznajmiam, a w odpowiedzi otrzymuję potaknięcie. – Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Jest załamana. Nie myślałam, że to kiedykolwiek powiem, ale męczy mnie ten widok i ciągłe szlochanie.

– Nie muszę chyba przypominać, że kilkanaście dni temu wyglądałaś tak samo. Albo i nawet gorzej. Więcej zrozumienia. *Signora* Ninetta ma też swoje lata. Cud, że nadal żyje po takiej dawce emocji. Bałem się o jej serce. – Racja. To, że Ninetta nadal się trzyma, to tylko cud, który zawdzięczamy Bogu. Ale nie da się ukryć, że i ona, i Irene bardzo się posunęły, postarzały przez tych parę tygodni.

Wychodzę z magazynu i wsiadam do stojącego nieopodal *escalade'a*, za którego kierownicą czeka na mnie Carlo.

– Jedziemy do Ninetty, muszę z nią trochę posiedzieć. Wygląda jak wrak.

– Tak jest, *donna* Rosa. To brzmiało jak komenda. Czyli już koniec z Rosą, wiesz, tą fajną, z którą da się po ludzku pogadać? Teraz będzie zimna suka wydająca polecenia? – spoglądam na niego spod byka. Cholera, nie ma Tommasa, ale, jak widzę, będę miała tutaj dobre zastępstwo w irytowaniu mnie. Cudownie. Nie odpowiadam. Prycham pod nosem, a Carlo jedynie unosi dłonie w geście poddania, a potem odpala silnik i rusza z miejsca. Nie wiem, czy moje zachowanie się zmieni na tyle, abym była zimną suką. Nigdy tego nie umiałam. Nawet po zdradzie nie robiłam afer, tylko zniknęłam. Starłam się zawsze być dobrym człowiekiem, ale na pewno już teraz mogę śmiało stwierdzić, że wobec jednego elementu stąpającego po tej ziemi zdecydowanie dobrym człowiekiem nie będę.

Po kilkudziesięciu minutach jesteśmy przed domem Ninetty. Biorę głęboki wdech i wsiadam z samochodu, a potem kieruję się w stronę wejścia. Zza lekko uchylonych drzwi dobiegają damskie głosy.

– Mamo, błagam cię... Weź się w garść. Tommasa nie ma, Artura nie ma, ale jesteśmy ja i Nunzio. Sylvia, Rosa, Alejandra... A niedługo dołączą do nas dziewczynki. Mamo, my ciebie tutaj potrzebujemy. – Łkający głos Patrizii sprawia, że moje czarne serce lekko ściska żal. Podobnie zaciśnięte mam gardło, co jest nie do zniesienia. *Mój Boże*. Opieram się plecami o ścianę. Co myśmy najlepszego zrobili? Co oni zrobili?! Ja nie mam męża i dzieci, Ninetta synów i wnucząt. Jak mam poradzić sobie z ciężarem braku osób, które tak mocno kocham i do tego jeszcze być wsparciem dla innych? Nie dam chyba rady tego udźwignąć. Ze skrajności w skrajność. Raz mam ochotę pozabijać, raz mam ochotę się poddać. Chyba coś jest ze mną nie tak.

– Rosa, wszystko w porządku?

– Tak, tak, Carlo. Jest okej – odpowiadam i szybko poprawiam kosmyk włosów, który wysunął się z kucyka. Oddychamy. Ostatnimi czasy bardzo często powtarzam do siebie, że muszę oddychać lub się uspokoić. To dziwne.

Przechodzę przez próg i to, co ukazuje się moim oczom, boli jeszcze bardziej niż to, co przed chwilą słyszałam. Nad dziesiątkami zdjęć rozłożonymi na podłodze klęczy Ninetta, a przy niej z okazałym już brzuszkiem Patrizia, która uwieszona na szyi łkającej starszej kobiety też ledwie powstrzymuje łzy. Kurwa, zaraz sama się poryczę.

– Mamo Ninetto? – mówię dość cicho, żeby nie przestraszyć żadnej z nich. *Signora* nie patrzy na mnie. Skupia się na przesuwaniu zdjęć po podłodze i mamrocząc coś pod nosem, układa je jak jakieś puzzle. – Ninetto Coletti, mówię do ciebie. – Po tych słowach unosi głowę, a moje serce pęka. Załzawione oczy są zupełnie bez życia. Jakby cholerny dementor wysłał ostatki radości z Ninetty i pozostawił spustoszenie w jej duszy. Tak jak i w mojej.

– Tommaso zawsze się tak do mnie zwracał. – Uśmiecha się delikatnie, a wtedy po policzku spływa mi pierwsza łza. Bolesnie piekąca łza, która nie powinna była spłynąć zupełnie jak łzy innych ludzi, którzy opłakują Colettich.

Po paru sekundach odwzajemniam uśmiech i kucam naprzeciwko niej.

– *Don Tommaso* nie byłby szczęśliwy, widząc ciebie w takim stanie. Kobieta mafii tak nie wygląda.

– Ale *dona Tommasa* już nie ma. A ja od dawna nie jestem kobietą mafii. Tak konkretnie, to odkąd zmarł mój mąż. Ty jesteś kobietą mafii i świetnie sobie radzisz, Roso. – mówi, a ja myślę tylko o tym, że nawet nie ma pojęcia, jak źle sobie radzę, kiedy nikt mnie nie widzi. – Ja mam ochotę łyknąć garść tabletek i mieć już święty spokój. Nie umiem jak ty zacisnąć zębów i się uśmiechać.

Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to siarczyste „ja pierdolę, wszyscy będziemy to odchorowywać”, ale zaciskam zęby. Opadam na tyłek i razem z nią przeglądam stertę zdjęć.

– Ja... – zaczynam z zawahaniem w głosie. Nienawidzę przyznawać się do słabości przed innymi, ale czasem może ujawnienie swojej miękkiej strony pomoże komuś stać się odrobinę twardszym? – Jakiś czas temu chciałam strzelić sobie w głowę. Pablo w ostatniej chwili wpadł do gabinetu – cedzę słowa. Unoszę głowę i napotykam wzrok obu zdziwionych kobiet. – Wierz mi, chciałam umrzeć, żeby być z nimi. Nie widziałam najmniejszego sensu, aby tutaj być. Bo po co? Tylko wiesz... – parskam śmiechem. – Ciekawe kogo bym spotkała, jakby już faktycznie miało dojść do tego spotkania. Tommaso raczej trafiłby do piekła, a dzieciaki do nieba. I tak byłabym bez tych, których kocham. To straszne uczucie chcieć popełnić samobójstwo, mamo. Myślisz o tym, żeby się zabić, bo nie widzisz żadnego sensu, żadnej przyszłości. Czujesz się samotnym człowiekiem, choć tak naprawdę otacza cię ogrom ludzi. Poznałam to na własnej skórze. Wiem, jak ci ciężko, ale naprawdę nie możesz się poddać. Żadna z nas nie może. Dla nich. To niełatwe, ale damy radę. Przetrawmy to, a gdy już odnajdziemy spokój ducha, będziemy mogły cieszyć się życiem, zaufaj mi.

Nie wiem, czy każdy tak ma, że podczas długo trwającej ciszy czuje się niezręcznie, ale ja właśnie tak mam. Zupełnie nie wiem, co mam jeszcze powiedzieć, a miny Ninetty i Patrizii sprawiają, że zaczynam wątpić w mądrość swoich słów. Przysięgam na własne cycki, że jak to wszystko się skończy, to zrobię im tutaj taki armagedon, że się wszyscy posrają. Oj tak.

– Tommaso byłby naprawdę dumny, Rosita. Dziecko, bez ciebie ta rodzina by się rozsypała. Jesteś tak mądrą kobietą. Tommaso trafił na cud i za to dziękuję Bogu.

– Nie, mamo. On dopiero będzie ze mnie dumny.

Rozdział II

PABLO

Będę łysy. Przysięgam, że jeszcze parę tygodni i wyłysię. Nie dość, że cholerny wypadek Tommasa i dzieciaków sprawił, że połowa rodziny Colettich zniknęła i trzeba ogarniać ten cały burdel z furiatką Rosą na czele, to jeszcze...

– Pablooo... Bolą mnie stopy. I plecy. – Camilla. Pocieram palcami bolące skronie. Nie masz litości, mafijny Ojciec, nie masz. Czym sobie zasłużyłem na to piekło na ziemi? Ile jeszcze pokuty czeka mnie na tym ziemskim padole?

– Na miłość, kurwa, boską. Cicho bądź, bo dupa się dowie i też zacznie boleć.

– Jesteś chamski. I nieczuły. I nie wplataj słowa KURWA między miłość boską, Falconi. – Parska pod nosem, zakładając ręce na okazałym już brzuchu. – Zjadłabym daktyle... I czekoladę. Taką dużą!

Chryste. Zmituj się nad moją potępioną duszą. Ja wiem, że Bóg zsyła kobiety dla nas za karę, ale czy ja naprawdę zasłużyłem na aż tak wielką pokutę?! Daktyle... Cholera jasna z babami i ich zachciankami. Nasza córka będzie jedynaczką. Drugiej takiej jazdy nie wytrzymam. Koniec kropka. Wazektomia. Muszę się na nią zapisać. Wzdycham ciężko.

– Zaraz poproszę Carla, żeby je skombinował. Muszę wieczorem pojechać z Rosą do Publicco. Zostaniesz sama na parę godzin, chyba że chcesz dotrzymać towarzystwa Ninettcie. Patrizia też powinna odpocząć, za parę dni rodzi, a non stop pilnuje matki, żeby ta nie zrobiła żadnej głupoty. Wy, baby, jesteście takie miękkie...

– Ty... – Wbija we mnie wkurzone spojrzenie, mierząc jednocześnie palcem w moją stronę. – Nie zapominaj się. Pragnę przypomnieć, że miękka baba wyciągnęła was z piekielka i uratowała dupy. Wybiła całkiem sporą liczbę ludzi i postrzeliła szefa mafii. Nie wspomnę o jego prawej ręce. – Naśmiewa się ze mnie. – A teraz idzie na wojnę z jakąś psychopatką odcięta od tego, co kocha, tylko dlatego, żeby Tommaso i reszta...

– NIE! – warczę. – Nie wspominasz o tym. Camilla, to nasz dom, ale ściany mają uszy. Wypadek jest najlepszym tego przykładem. Pamiętaj, że tutaj nic nie jest kolorowe i powinnaś czasami brać przykład z *donny*, że pewne rzeczy trzeba przemilczeć. Dla dobra ogółu... Dlatego tego tematu nie poruszasz, nie wypowiadasz się głośno i najlepiej zajmij się czymś ambitnym. Zaczniij szydełkować. Nie powinnaś tego wiedzieć i gdyby nie ciąży, tobyś nawet nie była świadoma całej tej sytuacji.

– *Donna*... Fiu, fiu, ale to brzmi. Coś pięknego. Moja przyjaciółka zarządza szeregami ludzi. Chyba nikt się nie spodziewał, że kobieta zasiądzie na tronie piekielnej mafii. A ten cały Caruso, czy jak on tam, to pewnie kipi, że nie on przewodzi, bo przecież skoro Nunzio nie chciał zająć się mafijną rodzinką, to on był pierwszy na to miejsce.

Nie wierzę. Z całej mojej wypowiedzi knypek wyłapał tylko to, że jej przyjaciółka jest teraz szefową mafii. Zabijcie mnie. Kręcę głową z niedowierzaniem i wychodzę z naszej sypialni. Nadal mieszkamy w domu Colettich. Przez całą tę sytuację nasza przeprowadzka niestety przestała wchodzić w grę. Przynajmniej na chwilę obecną. Jest tyle pieprzonych spraw, które trzeba załatwić. Nigdy bym nie pomyślał, że nadejdzie taki dzień w moim marnym życiu, że pozostanę tutaj bez Tommasa. I Artura. I choć jestem facetem, który raczej uczucia skrywa gdzieś głęboko, to akurat w tym przypadku uważam, że to kurewsko ciężkie uczucie. Jeszcze ten dom, który sprawia, że dzieciaki i on co rusz

powracają do mojej głowy. Życie jest cholernie przewrotne. Ale dobrze, że tu zostaliśmy. W innym wypadku Rosy też już pewnie z nami by nie było. Tylko jej zabrakłoby na zawsze...

ROSA

– Jesteś pewna, *donna Rosa*?

– Ależ oczywiście. Czy wyglądam, jakbym się wahała? – spoglądam na młodą dziewczynę, która wydaje się wręcz przestraszona moim pomysłem. W zasadzie ja też jestem i tak naprawdę się waham, ale w życiu czasem są potrzebne zmiany i odważne decyzje. Może nie zawsze okazują się dla nas łatwe i korzystne, ale trzeba próbować. – Działaj. Mamy mało czasu, a jest już bardzo późna godzina. Dziękuję, że zgodziłaś się zostać.

Dziewczyna kiwa głową, a ja siadam wygodnie i czekam, aż zacznie swoją pracę. Głęboki wdech. *Będzie dobrze, Rosa. Musi być. Małe zmiany niosą zawsze duże zmiany. Zmieniłaś ducha, teraz zmieniaj resztę.* Bóg doskonale wiedział, co robi, zrzucając mi wszystko na barki. Wiedział, że to udźwignę. Każdy człowiek musi zmierzyć się z wieloma przeciwnościami tylko po to, aby później potrafić docenić bogactwa, jakie otrzyma od niebios. Dopóki bogaty nie straci majątku, nie docenia pieniędzy. Dopóki zdrowy nie zachoruje, nie docenia tego, że może cieszyć się pełnią sił. Dopóki człowiek nie straci drugiego człowieka, nie docenia tego, jak wielką przestrzeń w życiu ten ktoś wypełniał i jak wielką pustkę odczuwa się po stracie. Niestety żyjemy w takim świecie, gdzie docenianie czegokolwiek nie jest modne, a kiedy już chcemy to docenić, to najzwyczajniej w świecie znika. Niszczymy wszystko i wszystkich dookoła. Często z własnej głupoty. Często z nienawiści. Przyczyny są różne, ale skutek zawsze ten sam.

Po paru godzinach wstaję i przyglądam się sobie w milczeniu.

– *Donna...* Rosa? Czy wszystko w porządku?

Jedyne, co przychodzi mi teraz do głowy, to tekst mojego męża: Jezu, kurwa, Chryste.

– Dziękuję ci, Luizo. Wykonałaś kawał wspaniałej roboty.

Podchodzę do torebki, sięgam po portfel i kładę pieniądze na ladzie, po czym szeroko się uśmiecham. Nasuwam przy tym okulary przeciwsłoneczne na nos i wychodzę z budynku. Towarzyszący mi stukot obcasów zdążyłam już przyswoić, choć początkowo był bardzo irytujący. Niestety musiałam nauczyć się ubierać tak, jak na mafijną matkę przystało. Nie zawsze mogę chodzić w bojówkach i traperach. Czasem muszę niczym brzydkie kaczątko zmienić się w pięknego łabędzia tylko po to, aby poprzez eleganckie ubranie wzbudzić więcej respektu.

Robię kilkanaście kroków i już mam wsiadać do auta, kiedy łapa Carla ściska mój nadgarstek.

– A ty, paniusiu, gdzie? Wybucham gromkim śmiechem. No nie wierzę. Niesamowite wręcz. Ściągam okulary z nosa i ponownie zanoszę się w głos. – O, kurwa, Rosa?

– To kurwa czy Rosa, Carlo? – wypalam i szczerzę się szeroko. – Zajebicie, co?

– Powiem tak... Oczy wyjdą im z orbit. Niesamowity efekt. Ciekawe, co na to Camilla. Pewnie, znając jej humorki, na zmianę zacznie beczeć i się śmiać. Przed wyjazdem z tobą szukałem daktyli. Pojebane te wasze zachcianki w ciąży.

– Nie marudź. Samiec jesteś czy miękka cipka? Dlaczego wy wiecznie jęczycie? Faceci... Niby taka silna płeć, a jedna babska zachcianka i wymiękacie. Co za świat – mówię, a on w odpowiedzi tylko przewraca oczami. – Jedźmy już do Publicco. Mamy małe spotkanie do odbycia.

Wsuwam się na siedzenie pasażera i zatrzaskuję drzwi. Opieram głowę o zagłówek fotela i wgapiam się gdzieś daleko na widok za szybą. Mój humor potrafi zmienić się w ułamku sekundy. Z uśmiechniętej i żartującej Rosy w pogrążoną w zadumie i w głębi duszy zestresowaną, rozżaloną i przytłoczoną Rositę. Czeka mnie ciężkie spotkanie i starcie z ludźmi mafijnego świata. Osuwam się

nisko na fotelu i tym razem opieram głowę o szybę. Tęsknię... Za nimi wszystkimi. Bardzo mocno. Człowiek całe swoje życie odczuwa dziwną pustkę. Często tęskni za tymi, których kocha, pragnie i chce mieć w swoim życiu. Ja jednak na tęsknotę nie mam dużo czasu. Nie mogę nawet usiąść i w spokoju wyłakać całego swajego bólu i smutku. Nie mogę przepracować swojej żałoby tak, jak chciałabym to zrobić, bo nie mam na to nawet czasu. To zabija. Zabija moją ludzką stronę, która resztkami sił próbuje przedzierać się przed diabła, jakim zaczynam się stawać. I to jest straszne, bo zaczynam się bać. Nie tego, co się stanie, i nie Sonii, mimo że chodzi gdzieś tam daleko po świecie z wyszczerzonymi zębami.

Boję się... Siebie.

Rozdział III

ROSA

Publicco. Miejsce, w którym na co dzień szarzy i spokojni ludzie najczęściej pokazują swoje drugie oblicze. To, którego wstydzą się za dnia. Większość przychodzących tu szuka jednego. Seksu. Jakby świat kręcił się tylko wokół ciał, pieprzenia i pieniędzy. Coraz więcej kobiet przestaje się szanować, przez co coraz większa liczba mężczyzn przestaje postrzegać je jako wartościowe i są przez nich używane do jednego. Co za czasy. Kiedyś było ciężko, ale teraz jest jeszcze trudniej. I to jest smutne.

Stoję przy wielkim, szklanym oknie, skanując parkiet. Wzruszam ramionami i wzdycham sama do siebie na widok klubu pełnego napalonych ludzi.

Za plecami słyszę dźwięk otwieranych drzwi.

– Wyglądasz zupełnie jak Tommaso, kiedy obserwował klub. Taka ładniejsza wersja szefa. Nabrałaś od niego nawyków, *donna Rosa* – mówi w progu Carlo i wchodzi do gabinetu. – Zaraz będzie tu Pablo. Poinformował mnie, że zbierze wszystkich i przyjdą razem do sali konferencyjnej. Jestem ciekaw jego miny. – Szczerzy się.

Oj, ja także jestem ciekawa nie tylko miny Pabla, ale ich wszystkich.

Potakuję jedynie i ostatni raz dzisiejszego wieczoru zerkam na parkiet Publicco. To będzie długa noc dla nas wszystkich. Obym tylko nikogo niechcący nie zabiła.

Narzucam marynarkę na gołe ramiona i rozglądam się po pomieszczeniu, próbując odwlec w czasie spotkanie z członkami rodziny. Cholera, nie jestem gotowa, ale już tego nie cofnę. Machina ruszyła i muszę stawić teraz czoła wszystkiemu, co napotkam. Mówią, że odwaga nie wynika z tego, że się nie boimy. Odwaga to zrobienie czegoś, nawet jeśli jesteśmy przerażeni, a w tym momencie, choć tego po mnie nie widać, jestem przerażona. Najzwyczajniej w świecie i po ludzku boję się tego otwarcia puszek Pandory.

Chwytam telefon leżący na biurku i w asyście Carla wychodzę z gabinetu. Nasz kierunek – konferencyjna. To właśnie tam czekają na mnie od ponad pół godziny wszyscy, których kazałam wezwać.

Moje myśli, które kłębią się w głowie jak chmury burzowe, rozwiewa wibrujący mi w dłoni telefon.

– Halo.

– Rosa, gdzie ty, kurwa, jesteś?! Czekamy tyle czasu, nie kpij sobie. – Szept Pabla lekko mnie rozbawia.

– Idę, byłam na pogrzebie, Falconi.

– Co?! Czyim niby? – W tym samym momencie chwytam za klamkę i popycham drzwi.

– Swoim – odpowiadam, jednocześnie wchodząc do pomieszczenia, po którym roznosi się stukot obcasów. Mina Falconiego i wszystkich tam obecnych? Bezcenna. – Musiałam pogrzebać resztki swojego serca, żeby od dzisiaj móc po prostu rozpierdolić każdego, kto stanie przeciwko mnie i mojej rodzinie. Wybaczcie, że tyle to trwało. To dlatego, że wraz z moją duszą pogrzebałam też swój wygląd. Jak wam się podoba? – Szczerzę się szeroko.

Cisza. Zupełna cisza wypełnia całą salę konferencyjną. Gdybym zobaczyła Pabla ogolonego na tyso, też pewnie miałabym taką minę jak on teraz na mój widok. W końcu z długowłosej brunetki

stać się blondynką to niemała przemiana. Uśmiecham się jeszcze szerzej.

– Chyba was zatkało, potrzebujecie lekarza? – naśmiewam się i siadam u szczytu długiego stołu.

– Z tobą to się człowiek nigdy nie będzie nudził, co? – Uszczypliwość Pabla puszczam mimo uszu. Siedząc u szczytu stołu, omiadam wzrokiem wszystkich tu zgromadzonych. Brakuje mi...

– Gdzie jest Marisa, Cesare?

– Nie mogłem jej ściągnąć. Nie chciała przyjechać. Ona nie ma piętnastu lat, *donna Rosa*, żeby mnie słuchać. Do USA wysłałem ją, żeby żyła po swoim z dala od mafii. Od ciebie i Tommasa. I nie będę jej wciągać w te gierki, które nas dotyczą. A tak naprawdę dotyczą tylko ciebie, bo świętej pamięci Coletti to była część twojej rodziny. Nie mieszaj nas w jakieś miłosne problemy. To nie jest sprawa mafii.

O, wow. Zapowiada się ciekawy wieczór. Niby nikogo nie chciałam zabić, ale teraz jakoś powoli zmieniam zdanie.

Zerkam kątem oka na Pabla, który z lekkim przerażeniem patrzy w moją stronę. Jak on mnie już świetnie zdążył poznać.

– Cesare... A NIEświętej pamięci Eduardo był chyba częścią twojej rodziny, prawda? Tylko przypomnę, że to jego zabiłam podczas akcji ratowania Tommasa, bo, no popatrz, jakimś dziwnym trafem był z Andrejewem. Widzę, że mamy mały bunt na pokładzie. Tak na upartego to mogłabym teraz pomyśleć, że bronisz winnej. Powinnam zabić i ją, i ciebie, nieprawdaż? – pytam, lecz odpowiedzi nieestety brak. – Jak to mówią, milczenie oznacza zgodę, tak?

– Nie! Bo to nie tak. Ty nie rozumiesz, że my jako mafia nie będziemy bawić się w twoją zemstę? To nie nasz biznes.

– Od kiedy, Cesare? – Wstaję i powolnym krokiem zaczynam okrążyć wszystkich siedzących przy długim stole. – Od kiedy to, gdy ginie człowiek mafii, nie szukamy zemsty? Do tej pory, o ile mnie pamięć nie myli, to za każdym razem proszę Tommasa o pomoc w takich sprawach. Jeżeli sam sobie z nimi nie radziłeś, oczywiście. O ile mnie pamięć nie myli, przekonałam cię do zemsty na Andrejewie. Chciałeś się go pozbyć tak jak i my, żebyśmy mogli spokojnie funkcjonować. Mylę się? – Przewiercam spojrzeniem człowieka, który wydaje się teraz zmieszany, a może zestresowany? – Chociaż czekaj... – Zastanawiam się chwilę. Zerkam w czysto biały sufit, aby móc zebrać wszystkie myśli do kupy. Andrejew, Eduardo, Marisa, która miała być żoną Tommasa i... – A może ty chciałeś, żeby oni wszyscy się tam znaleźli, bo doskonale wiedziałeś, że Eduardo z nim będzie i ich sprzątnie. – Opuuszczam wzrok z powrotem na Caruso. Zestresowany? Po ciężko przetykanej ślinie wnioskuję, że chyba bardzo. – Och, no przecież! Skąd Andrejew mógł wiedzieć, że Coletti planuje go odstrzelić?! Tylko od ciebie. Chociaż nie. Od Eduarda, którego wysłałeś na rzeź. Myślałeś, że Rusek rozwali wszystkich z rodu Colettich, a ja i dzieci zostaniemy tu na pastwę. Łaskawie przejęlibyście rządy i pyk, po problemie. Ale nie przewidziałeś, że będę na tyle nienormalna, żeby udać się w ślad za swoim mężem i tylko dzięki temu on przeżył. Przypadkiem wydało się, że Eduardo maczał w tym palce, a za tym idzie krótka ścieżka do ciebie. Nietadnie, oj, nietadnie. – Patrzę na Pabla, który zmieszany przerzuca wzrok pomiędzy mną a Caruso. Sama nie wierzę w to, co powiedziałam i to jeszcze tak spokojnym głosem, ale dzięki temu, że ten stary fiut nie ściągnął tu dzisiaj Marisy, mogłam potączyć parę kropek i mam ogromną nadzieję, że ułożyłam z nich dobry wór.

– O nie, nie! To nie tak, co za bzdurna teoria! – Starzec podnosi się z krzesła, waląc przy tym pięścią w stół. – Ty sobie na za dużo pozwalasz, gówniario. Myślisz, że jak Tommasa z nami nie ma, to będziesz tutaj wszystkim rządzić?! Kobieta sprawuje władzę. Przecież twój mąż przewraca się w grobie na ten widok. Na pewno wołałby, żeby to któryś z mężczyzn rządził *famiglia*!

Dlaczego jedynym uczuciem, jakie mnie teraz przepętnia, jest... No właśnie, jak to nazwać? Nie jestem zła. Nie jest mi przykro. Ja po prostu chcę...

– Oglądałeś bajkę *Król Lew*, Cesare? – pytam spokojnym głosem. Zakładam ręce z tyłu pleców i powolnym krokiem podchodzę do przeszklenia w konferencyjnej. Wodospad. Gładka, piękna tafla wody spływa po szkłe. Niesamowicie uspokajający widok. Muszę patrzeć na to częściej. – Jest tam taka scena, jak Skaza zabija swojego brata ze zwykłej chciwości, króla lwiej skały, ale syn tego króla żyje. Skaza postanawia więc go zlikwidować. Wokół niego siedzą hieny i jedyna komenda, jaka pada, to – odwracam się i wbijam zimne spojrzenie w Cesarego – „zabić”.

– Rosa... – wtrąca niepewnie Falconi.

– Jakimś dziwnym trafem wydaje mi się, że maczałeś w tym swoje brudne łapska, a Tommaso tak bardzo ci ufał. W grobie to by się przewracał, jakby widział ciebie i wszystkich, którzy za jego plecami byli wstrętnymi gnidami. Jeżeli ktoś ma coś przeciwko, niech powie, jeśli nie, to, Pablo – przenoszę wzrok na przyjaciela – chyba wypadłoby zrobić jak ze Skazą. Czyli „zabić”.

– Nie, nie! Ja nie chciałem! To Eduardo chciał wykorzystać sytuację! Nie możesz mnie tak sobie zabić! Jestem częścią rodziny! Ściągnę tu Marisę, obiecuję, ona wszystko wyjaśni!

– Ojej, teraz coś jednak ci świta? Cesare, jak widzisz, nikt nawet słowem się nie odzywa w twojej obronie. Szczerze mówiąc, to ja mam bardzo miękkie serce. Zawsze powstrzymywałam Tommasa przed przemocą, zabijaniem. Do pewnego momentu w moim życiu. Dopóki moja przyjaciółka nie chciała zabić najpierw mojego męża, a później całej mojej rodziny! Wobec niej mam już pewne plany i znajdę ją, choćbym miała wygrzebać rękoma spod ziemi. Po dzisiejszym dałeś mi do zrozumienia jedno i, wybaczenie, panowie – zwracam się do wszystkich w sali – ale niestety każdy z was zostanie prześwietlony, bo, jak widać, nikomu nie mogę ufać. Ja wiem, że nie jestem Tommasem i nie mam takiego szacunku wśród was jak on, ale mimo wszystko przejęłam po nim ten pieprzony zaszczyt bycia głową *famiglii*, więc cholerny szacunek w minimalnym stopniu powinien być. Ponadto. – Unoszę palec. – Każdy z was przejdzie badanie cudownym urządzeniem, jakim jest wariograf. Nie umiem odczytywać ludzi, jak zresztą widać, ale maszyny raczej nikt nie oszuka. Podziękujcie za to brawami obecnemu tu jeszcze Cesaremu, bo za chwilę będziecie mogli się z nim spotkać jedynie na cmentarzu.

Czuję na sobie wzrok każdego, kto jest w tej sali. W oczach większości zgromadzonych zdążyłam zauważyć błysk i mieszane uczucia. Jakby niedowierzanie plątało się z respektem, później lekkim strachem, a na końcu chęcią mordy na mnie. Zapewne niejedyn z nich w tym momencie chciałby mnie odstrzelić. Dlaczego? Dlatego, że dziś upewniłam się jeszcze bardziej w tym, że stoję się diabłem. I nie cofnę się przed niczym, żeby dowieść prawdy. Nawet gdybym miała kogoś zabić.

Nawet gdybym miała zabić wszystkich.

PABLO

Ja... Kurwa. Jak żyję, nie spodziewałbym się czegoś takiego. Praca u boku Colettiego była i zaszczytem, i niebezpieczną grą, w której nie każdy by sobie poradził. Tommaso w domu był zwykłym człowiekiem. Takim z krwi i kości. Podatnym na rządzenie naszej *donny*, ale kiedy przekraczał bramę posesji, stawał się zupełnie inny. W większości przypadków kobiety mafii siedzą w zaciszu domu i wychowują dzieci, wydają kasę, spotykają się z przyjaciółkami, bo zwyczajnie nie nadają się do ciemnego i twardego świata. I to samo myślałam o Rosie, gdy za wszelką cenę pchała nos do interesów. Myślałam, że nie da rady. To nie dla niej. Nie nadaje się. Ale dzisiaj... Dzisiaj jestem przerażony, jednak nie dlatego, że mam podejrzenia, że Rosa w końcu zmięknie, tylko dlatego, że wydać wyrok śmierci w sekundę i z tak zupełną obojętnością w oczach oraz spokojem, jak zrobiła to

ona, przyprawiło mnie o ciarki. Na plecach, na rękach. Całe pierdolone ciało zamrowiło. Nawet ja, pieprzony przestępca, mam uczucia. Potrafię się wahać, kochać, mścić i nienawidzić. Ale tak, jak nienawidzi teraz Rosa...

– Pablo, słyszałeś, co powiedziałam? – Z otumanienia wrywa mnie głos *donny*. – Jeśli ty tego nie zrobisz, to niech zrobi to ktoś inny. Nieważne kto odstrzelił mu łeb. Później zadzwonisz do Michele'go. Chciałabym się z nim zobaczyć, bo do niego też mam parę pytań, ale głównie chodzi o to, żeby znaleźli Marisę. I zrobili, co trzeba. Przepytaacie też żonę Cesarego, a jeżeli będzie niczego nieświadoma, zostawicie ją przy życiu. W przeciwnym wypadku to samo. Cmentarz.

– Nie zabijaj ich, one nie są niczemu winne! – Krzyk Cesarego roznosi się po sali. – Ja też nie jestem winny, Rosa, posłuchaj...

– *Donna* – poprawia starca. – W tej chwili nie ma to dla mnie znaczenia. Ktoś nie miał sumienia, żeby zlikwidować wszystkich Colettich. Wśród nich był Eduardo, a ja mam mieć litość dla ciebie? Dla człowieka, który zdradził własną *famiglię*? Cesare, nie bądź śmieszny. Ty byś zostawił takiego szczura, jakim jesteś, przy życiu? Wątpię. Nie wiem, czy oglądacie filmy – zwraca się do wszystkich. Oj, za dużo bajek i filmów, za dużo – ale John Wick z powodu psa uśmiercił setki ludzi. U mnie nie chodzi o psa, więc odpowiedzcie sobie na pytanie, ilu ludzi będę w stanie pogrzebać. A teraz – rozgląda się – dziękuję wam za przybycie. Na razie to wszystko. Tak jak wcześniej wspomniałam, za parę dni będziemy rozmawiać. Wracam do domu – kieruje te słowa do mnie – a ty zajmij się tym, o co prosiłam. – Kiwa głową na Carla i zmierza w kierunku wyjścia. – Aha. Zapomniałabym... Gdyby komuś przyszło do głowy, żeby mnie zabić, to śmiało, ale uwierzcie mi. Ma mnie kto pomścić i ta gra wraz z moją śmiercią się nie skończy. Wręcz przeciwnie. To dopiero będzie dla was escape room, z którego nie wyjdziecie żywi.

Oddalający się stukot szpilek kata. Inaczej tego dźwięku nie nazwę.

– Pablo, proszę.

– Cesare, wybaczone. Zdradziłeś. Tommaso niczego nie zauważył, bo darzył cię szacunkiem i zaufaniem. Rosa nie ufa teraz nikomu i przed niczym się nie zawaha. I ja też nie mogę. Ciało oddamy żonie. O ile ona też nie okaże się zdrajcą.

Jedyne, co widzę, to oczy przepełnione strachem i łzami, a za chwilę słyszę krzyki, które zupełnie mnie nie wzruszają. Niestety. Świat mafii nie zna litości. Skrzywdzony człowiek nie ma serca, co – jak widać na dzisiejszym przykładzie – może zdarzyć się nawet dla najbardziej uczuciowej osoby stąpającej po ziemi. Jej serce stanęło w dniu, w którym Tommaso, Arturo i trójca Colettich musieli nas opuścić.

To będzie najtrudniejszy okres dla *famiglii*. Dla *famiglii*, Colettich i przede wszystkim dla mnie.

Rozdział IV

Gdy zbyt długo walczysz z demonami, musisz uważać, żeby nie stać się jednym z nich. A jeśli się już nim staniesz, to masz dwie opcje. Albo będziesz największym spośród nich, albo więksi od ciebie pożrą cię żywcem. Wybór należy tylko do ciebie.

PABLO

– Ona musi trochę ochłonąć. Nie może wybić tylu ludzi. – Spoglądam na kierującego autem Carla w nadziei, że przyzna mi rację.

Pochopność w podejmowaniu decyzji i szybkość ich wykonywania są u Rosy przerażające. Żaden z dotychczas panujących szefów nigdy tak nie robił. Każdy ruch musiał być przemyślany dziesięć razy. Każdą osobę musieliśmy prześwietlić od góry do dołu i wydobyć najgorsze tajemnice spod ziemi. Teraz, kiedy rządzi *donna*, działa to trochę inaczej, ale nie mam pewności, czy lepiej.

– Wiem, ale szczerze mówiąc... – milknie na chwilę, jakby myślał nad tym, co chce powiedzieć. – Nie mam pojęcia jak, ale ja za cholere bym nie wpadł na takie połączenie zdarzeń. Cesare. Człowiek, który chciał być teściem Tommasa, próbował też go zabić. Absurd. – No tak. Ja też bym na to nie wpadł. Nikt z nas by nie wpadł i nie połączył w ten sposób kropek, ale po dłuższym namyśle...

– Właściwie to nie absurd. Właśnie dlatego nikt go nie podejrzewał. Bo zależało mu na tym, aby być jak najbliższej rodziny Colettich i maczać paluszki w rządach. Z Marisą nie wypaliło, bo pojawiła się Rosa, więc Eduardo na czele byłby świetną opcją. Szczerze mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy strzelanina podczas przekazania Marokańczykom zamówienia to też nie była jego sprawka. – Carlo rzuca pytające spojrzenie. – Ty byłeś wtedy podrzędnym żołnierzem. Tam byliśmy tylko my, najwyżsi rangą, i szefowie. Tommaso, Arturo, Nunzio, ja, Dario. Większość wysoko postawionych żołnierzy, bo to nie była mała akcja. Wtedy to też był dobry moment. Wybiłby wszystkich i po problemie, a miał ku temu powody, bo Tommasowi do żeniaczki z plastikową niunią wcale się nie spieszyło, więc też nie miał pewności, czy małżeństwo kiedykolwiek zostanie przypieczętowane. Tu jest, kurwa, tyle niewiadomych, że strach pomyśleć, co będzie dalej.

Wzdycham i opieram głowę o zagłówek fotela. Ja pierdolę. Przed chwilą musiałem zabić jednego ze starszych członków *famiglii* i jego żonę, bo, jak się okazało, ona też wiedziała, co się tak naprawdę wydarzyło. Niepotrzebnie się w to mieszała. Zostało jeszcze wyeliminować Marisę i rodzinę Caruso mamy z głowy. Niestety tylko ją, bo pozostaje jeszcze kwestia pierdolonego wykrywacza kłamstw, który wymyśliła Rosa. Nie wiem, jak ona chce to zrobić, ale chętnie przyjrę się z boku całemu planowi.

Podjeżdżamy przed dom Colettich. Po wydaniu rozkazu Rosa wróciła tutaj, żeby pobyć z Camillą. A ja chciałbym spędzić trochę czasu sam na sam z *donną*, bo coś czuję, że nie potrafi poradzić sobie z emocjami, choć bardzo mocno stara się to przed nami ukryć. Zabijanie wszystkich dookoła nie przyniesie jej ulgi. Tommaso by tego nie chciał. Oko za oko nie działa tak dobrze, jakby się wszystkim wydawało. A jak tak dalej pójdzie, to skończą się nam opcje na pozbywanie się tylu ciał w tak krótkim czasie. Dzisiaj dwa, jutro może być ich pięć. Całej pieprzonej rzeki nie możemy ustać trupami, bo policja zacznie nam deptać po piętach.

Wysiadam z auta i pociągam za klamkę, żeby wejść do domu. Za mną wgapiony w telefon kroczy Carlo.

– Jeszcze tylko kilka tygodni i będę trzymać swoją kruszynkę w ramionach. Patrizia też za parę dni zostanie mamą. Nasz dom w końcu zacznie żyć... – ciche głosy dobiegają z salonu.

– Tak... Żyć.

– Rosa, ja przepraszam. Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

– Nie, nie. Masz rację, tak będzie, bo odkąd nie ma Tommasa i mojej trójcy czuję się tu nieswojo. Jest za cicho. Mam czasami dość.

– Wierzę. Szczerze mówiąc, to nie widziałam cię zrelaksowanej od dłuższego czasu, na pewno musisz trochę odpocząć. Jesteś strasznie blada. Może zrób kilka podstawowych badań. Niech podadzą ci żelazo, witaminy, elektrolity. Wykończysz się, a to nie tędy droga.

– Zrobię, zrobię. Mam na razie ważniejsze sprawy.

– No, na przykład wybicie połowy rodziny. Albo posadzenie ich na wykrywaczu kłamstw – rzucam opryskliwie, wchodząc do salonu. – Pomyślałaś o konsekwencjach wydania takiego wyroku?

– Chcesz o tym rozmawiać przy Camilli?

– Ja pierdolę, przecież ona i tak wszystkiego się dowie. Jak nie ode mnie, to od ciebie, bo obie jesteście takie same.

– Poczekajcie chwilę, co? Jakie wyroki, jakie wybicie połowy *famiglii*?

Patrzę na Rosę i czekam, aż wymyśli świetną historię albo przyzna się do...

– Wielkie mi rzeczy, kazałam wybić rodzinę Caruso. Cesarego, jego żonę i Marisę, bo okazało się, że Cesare to mały szcurek. – Słyszę ją, ale, kurwa, nie wierzę. – Pablo, Carlo, zamknijcie paszce, bo wam mucha wleci. – Jak robot zamykam usta i mrugam oczami, przenosząc wzrok na równie zdziwionego Carla. Niech mnie ktoś uszczypnie, bo zaraz jebnę na zawał. Tommaso to wiedział, jak się ustawić i kogo wybrać na żonę. Ja się tutaj męczę, a on...

– Ha, ha! Serio? Kazałaś to zrobić? Wow, *donna* Rosa, czapki z głów. Wyhodowałaś sobie niemate jaja, jak widzę – odzywa się Camilla, a ja zaczynam się zastanawiać, czy jestem w jakiejś ukrytej kamerze. – Jak to kazałaś zrobić?! Opowiadaj!

– Camilla! Wariatko! Ona kazała zabić trzy osoby i nawet się nie zawahała!

– Wow. No to jak kazałaś to zrobić? Kulka dla wszystkich? To jak wyrok. Na filmach. Wiesz, o co chodzi. Niby takie ważne osobistości, a wszyscy kończą ze śrutem we łbie jak zwykłe jelenie.

– Nie, akurat żonę Cesarego zabiła natura.

– Natura?! Kazałaś ją zrzucić z jebanego mostu! – warczę. – Jak psychiczna, po prostu kolejna wariatka. Zrzucić człowieka z mostu.

– No, czyli grawitacja, a grawitacja to natura! – Wykrzywia złośliwie usta, a ja przysięgam, sam się z tego mostu rzucę. – Nie moja wina, nie rozumiem, o co ci chodzi, Pablo.

– Ty chyba masz nieźle nawalone pod tą blond kopułą, co? Niedługo zabraknie nam rzek, jezior, pierdolonych mórz i innych miejsc, żeby chować ciała.

– Zaraz coś wymyślimy, więc zróbcie sobie kawę i zapraszam do naszego kręgu ploteczek. – Poklepuje ręką kanapę w miejscu, gdzie powinniśmy usiąść. Pocieram zmęczoną już twarz. Jest środek jebanej nocy, a ja będę pił kawę z dwiema babami i omawiał plan ukrywania zwłok. A. I jeszcze biedny Carlo, który chyba ma tak samo dość jak ja.

Mafijny Ojczy, czy ty, kurwa, istniejesz, bo nie widzę litości nad moją potępioną duszą!

ROSA

To wcale nie jest tak, jak powiedział Pablo. To nie było bez zawahania. Chociaż nie, faktycznie, powiedziałam to bez większego zawahania, ale później, w drodze do domu, miałam milion myśli w głowie, czy aby na pewno dobrze postąpiłam. Nie byłam nawet pewna, czy moja teza się potwierdzi,

a takie oskarżenia rzucone w wysoko postawionego człowieka bardzo często kończą się ogromnym konfliktem, a nawet krwawymi starciami. Ale wtedy Cesare pod wpływem emocji zdradził wiedzę o Eduardzie. I postawił kropkę nad i. Nie mogłam się cofnąć. Sam zapewnił mi tym szacunek ludzi Tommasa. Teraz to w moich rękach jest to, czy go utrzymam, czy wszystko epicko spierdole jak na zranioną kobietę przystało, bo, nie oszukujmy się, kobiety pod wpływem emocji – tych złych i tych dobrych – czasami po prostu nie myślą racjonalnie i bywa, że najzwyczajniej w świecie popełniają żenujące błędy, które mają katastrofalne skutki dla wszystkich dookoła i dla nich samych.

– Więc słucham, *donna Rosa*, oświeć mnie swoim planem. – Z zamyślenia wyrwa mnie głos siadającego obok mnie Pabla, który w jednej ręce trzyma gorącą kawę, a w drugiej jakąś kanapkę.

– Wiesz, Pablo, nie musisz być taki złośliwy. Jesteś chyba jedyną wredną dla mnie osobą. Nawet Nunzio, tak naprawdę prawowity następca Tommasa, nie wydaje się tak wstrętny.

– Nunzio by się nie nadawał, prędzej widziałbym tu świętej pamięci Artura, ale cóż... Musimy zadowolić się jakąś *donną*. – Patrzy na mnie złośliwie, po czym trąca łokciem. – Wiesz, że ja nie chcę dla ciebie źle, i zachowuję taką samą bezpośredniość jak przy Tommasie, bo jesteś moją przyjaciółką. Dzisiaj miałem przez ciebie ciary na plecach, Rosa.

– Cieszę się, bo jeśli ty, znając mnie od podszewki i wiedząc, że tak naprawdę w głębi serca jestem miękka, miałeś ciary, to znaczy, że inni też będą mieli. I o to mi chodzi. Jak mam dowieść prawdy bez szacunku i strachu? Tak się chyba nie da, prawda? – pytam, a miny Pabla i Carla mówią same za siebie. To oczywiście, że się nie da. Strach i respekt to dwie ważne rzeczy. – A teraz wracając do tematu. Może ktoś ma jakiś inny plan niż wrzucanie obciążonych ciał do wody? – pytam, bo tak naprawdę Falconi ma rację. Jeżeli będę zmuszona do zabicia wielu osób, to muszę ich też gdzieś zutylizować, a jak na razie oprócz wrzucania ciał do rzeki zupełnie nic innego nie przyszło mi do głowy. Palenie zwłok? No nie, chyba że otworzę krematorium.

– Rozpuszczajcie je w kwasie! – wykrzykuje Cam, która w tym samym momencie pochłania gigantyczny kawałek ciasta. Trupy i jedzenie. Świetny mikś.

– I mówisz to ty, lekarka pediatrka, która zaraz sama urodzi dziecko? – pyta Falconi.

– No jasne, a czemu nie? Soda kaustyczna, woda, ogień i macie już jedno rozwiązanie. Mniej więcej trzy godziny i po sprawie. Myślicie, że jaka jest popularna metoda karteli narkotykowych w Meksyku? Właśnie taka. A, i nie tylko, bo, uwaga, amerykańskie zakłady pogrzebowe też się w to bawią.

Patrzę na Camillę i nie dowierzam. Skąd ona to wie? Kiedy już mam zadać pytanie, ona kontynuuje:

– Jest tylko mały minus. Kości i zębów nie rozpuści, więc trzeba by było je zmielić, pokruszyć, wyrzucić psom czy coś tam takiego.

– Następna psychopatką w rodzinie. Jak miło. Pablo, wiedziałeś, kogo bierzesz za żonę? – wtrąca zniesmaczony Carlo. – Ja na pewno bym tego nie robił, bo rzygałbym od samego widoku.

– Przyznam, Cam, że jestem pod wielkim wrażeniem i cholernie mnie zaciekawiło, skąd wiesz takie rzeczy, ale to niedobry pomysł. „Stać przy garach” trzy godziny? Za długo. Ja nie będę miała tyle czasu.

– No, to nie są psychopatką. Tu potrzebny jest tylko egzorcyista. Jak tak na was patrzę, to demon siedzący w was błaga o wypuszczenie, bo ma dość waszych pojębanych pomysłów. Stać przy garach? No nie wierzę. Idę się wyrzygać, Pablo, a ty ich słuchaj dalej. – Zerka na jego kanapkę. – To z szynką? – Falconi potakuje głową i bierze gryza bagietki. – Mhm, ciekawe z czego ta szynka jest zrobiona. – Rzuca na odchodne, a Falconi, mieląc jeszcze przez chwilę, zastanawia się nad tymi

słowami, po czym patrzy to na mnie, to na Camillę lekko przestraszonym wzrokiem. Wybucham śmiechem.

– Nie, nie. Spokojnie. Zdolności masarskich nie mam. Nie potrafię robić wędlin, spokojnie.

– Poza tym ludzkie mięso chyba by śmierdziało przy obróbce, także wiesz. To trzeba umieć dobrze zrobić – dorzucą swoje trzy grosze Camilla.

– Psychopatki! – burczy pod nosem. – Ale szynka dobra. – Uśmiecha się i bierze kolejny kęs. – Może zakopywanie w lesie? Albo bagno?

– Banalne. Poza tym to przyjdzie pierwsze do głowy. Lasy i szukanie tam ciał. O ile zwierzaki szybciej tego nie zrobią. Tak samo ta cholerna woda. To też banalne, ale cóż...

– To może rozdrabniarka, taka wiecie, jak do drewna? – przerywa mi Camilla, więc milknę, a Falconi przestaje żuć to, co ma w ustach. – No co? Zły pomysł? To... Kurde, a gdybyśmy tak na cmentarzu dokładali zwłoki do istniejących już grobów? Albo wiecie, chowali ich w tych świeżo wykopanych? Wrzucamy ciało, cienka warstwa ziemi i potem pochowają kogoś w grobie tak, jak powinno być. – Patrzę na nią coraz bardziej zdziwiona. – No co znowu? Mnie by było raźniej, gdybym nie leżała sama. Boję się ciemności, a we dwójkę zawsze przyjemniej. – Wzrusza ramionami i wypija ostatni łyk mleka, które miała w kubku.

– Knytku, co ty robisz całymi dniami, jak nas nie ma? Oglądasz poradniki dla początkujących morderców? Zaczynam się martwić o swoje życie.

– Jeszcze raz powiedz do mnie „knytku”, a obiecuję, że będziesz musiał następną kanapkę cumkać, bo bez zębów raczej jej nie przegryziesz.

Wybucham śmiechem, choć jestem już cholernie zmęczona, bo mamy prawie... Spoglądam na zegarek. Trzecią w nocy! Pablo jedynie wywraca oczami i kończy swoją kanapkę, a łąpy z okruszków wytrzępuje nad wielką doniczką z kwiatkiem.

– Pablo – strofuje go Cam. – Cholera, to rzadki kwiat! Nie możesz machać nad nim łapskami i to jeszcze brudnymi.

– Rzadki kwiat – pryham pod nosem. – Jakiś chwaścior, który Tommaso przywiózł dawno temu do domu z jakiegoś kraju, bo dostał w prezencie.

Milczymy chwilę. W mojej głowie nadal kłębią się myśli, ale trzeba iść spać. Już nawet racjonalnie nie myślimy. Na brodę Merlina, co by tu...

– Dobra, nie wiem jak wy, ale ja już muszę się położyć. Księżniczka kopie mnie po żebrach, że chce spać, także jakbyś łaskawie podał dłoń swojej damie, Falconi, to byłoby miło. – Pablo wznosi oczy do góry, jakby miał się w ciszy modlić, po czym wstaje i podaje rękę Camilli. Ta podnosi się z gracją, a następnie mocno nadeptuje na stopę Pabla. – Ojej, nie widziałam twojej wielkiej nogi, przepraszam Pablito.

– Przypomnij mi, Camilla, dlaczego ja w ogóle z tobą jestem?

– Bo zasrany masochista z ciebie. No i dla mojej dupy. – Pablo unosi pytająco brew. – No, lubisz ją. – Dziewczyna wymownie porusza brwiami, czym rozbraja sytuację.

Wszyscy wybuchamy śmiechem.

– Prawda, Pani Falconi, chodź, idziemy spać. – Macham im na pożegnanie.

Już dawno się tyle nie naśmiałam co dzisiaj. Cholernie boli mnie strata wszystkich Colettich, nawet Artura. Bardzo mocno za nimi tęsknię, ale wiem też, że nic nie dzieje się bez przyczyny i tak musiało być. W innym wypadku całe nasze życie stałoby pod znakiem zapytania.

Wychodzę na patio. Siadam na schodach, wciskam słuchawki w uszy i włączam playlistę. Pierwsza piosenka, która rozbrzmiewa to *Home Machine Gun Kelly*. Wzdycham głęboko i rozglądam się po ogrodzie, który niezmiennie rozświetlają małe lampki. Dom. *Dom, miejsce, do którego mogę się udać,*

by zdjąć ciężar z moich ramion. Tak powinno być, ale od dłuższego czasu dom nie jest dla mnie takim miejscem. Jest smutną, przytłaczającą bryłą z betonu, która sprawia, że chce mi się płakać. Płakać i zabić wszystkich dookoła za cierpienia i krzywdy, jakie musimy przechodzić.

Rozdział V

ROSA

Spoglądam na smartwatcha. Dwadzieścia minut biegania na bieżni chyba wystarczy, bo czuję się, jakbym przebiegła maraton i to męczący maraton. Wyłączam sprzęt i schodzę z taśmy, żeby napić się wody. Pociągam kilka łyków, przecieram twarz ręcznikiem i przechodzę do salki bokserskiej. Od jakiegoś czasu moje treningi zeszły na daleki plan, więc chyba i kondycja legła w gruzach, chociaż to dość dziwne. Nawet po dłuższych przerwach nie łapałam tak szybko zadyszek. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Na pewno trzeba wrócić do systematyczności. Zaczęłam żyć zemstą, przelewaniem krwi i mafią, ale to chyba nie tędy droga. Sport od zawsze przynosił mi ukojenie nerwów, ale ostatnio nie miałam do tego głowy i to źle. Koniecznie muszę do tego wrócić, żeby faktycznie nie wybić połowy Włoch albo połowy San Francisco.

Wciskam rękawice i zaciskam mocno pięści, wbijając wzrok w ring. Pamiętam każdy sparring z Tommasem, ale najbardziej ten pierwszy, podczas którego powaliłam swojego męża na deski. W pamięci mam każdą przepychankę z Arturem i Carlem. Brakuje mi tego cholernie mocno i wiele bym oddała, żeby móc przeżyć to jeszcze raz.

Staję przed workiem i oddycham ze spokojem, aby oczyścić umysł i unormować oddech. W słuchawkach rozbrzmiewa *Battle Scars*. Lupe Fiasco śpiewa o bitewnych bliznach. Uderzam raz i ciężko przetykam ślinę. Nie wiem czemu, ale staję mi w oczach łzy, a ja pomimo mgły, która przysłania mi widok, wyprowadzam cios za ciosem, przyśpieszając, aż w końcu z braku tchu obejmuję worek i pozwalam emocjom na ujście, zanoszę się żałosnym szlochem. Blizny na mojej duszy. Bitewne blizny sprawiają, że już nigdy nie spojrzę na świat w tak samo ciepły sposób, jak robiłam to jeszcze kilka lat temu.

Odświeżona wychodzę na patio, gdzie czeka na mnie Camilla. Siadam wygodnie u szczytu stołu w fotelu, w którym zawsze siadał Tommaso.

– *Donna Rosa*, dzień dobry.

– Irene, mówiłam, że nie jestem *donna Rosa*. Nic się nie zmieniło, dla mnie zawsze będziesz kochaną Irene, a ja Rositą – poprawiam ją, a ona kiwa głową i lekko się uśmiecha, stawiając przede mną kawę. – Tak w ogóle to co ty tu robisz? Mówiłam, że masz odpoczywać. My sobie poradzimy.

– Już miałam dość, dziecko. Jeżeli ci przeszkadzam, to pójdę do kuchni, ale nie każ mi siedzieć samej w domu z tymi osiłkami, bo myśl o trojaczkach i obydwu Colettich mnie zabije. Świat jest taki niesprawiedliwy, *donna*. Bianca, Adriano, Vincent... Oni wszyscy mieli przed sobą całe życie. Te malutkie nóżki zrobiły zdecydowanie za mało kroków na ziemi, a już musiały odejść. Nie umiem się z tym pogodzić, Rosa, nie umiem. Całe swoje życie służyłam rodzinie Colettich. Tommasa, Artura i Nunzia wychowywałam od maleńkości i byli dla mnie jak przybrani synowie, a teraz dwóch z nich musiałam pochować. Rodzice nigdy nie powinni chować swoich dzieci. Tak nie powinno być. Tym bardziej nie powinno, jak ktoś umyślnie i celowo pozbawia życia małe, niewinne istoty. I w tobie, dziecko, jedyna nadzieja, żebyś pomściła całą piątkę.

Ściska mi serce. Gdybym tylko mogła cokolwiek powiedzieć... Wstaję i przytulam starsuszkę, która zaczyna chlipać w moich ramionach. Mój Boże, znów oczy wypełniają mi się łzami. Zamykam powieki

i głęboko oddycham, żeby tylko tego nie pokazać.

– Czy ty w ogóle jesz, Rosita? Jesteś blada i jakoś marnie wyglądasz.

– Mówiłam ci – wtrąca Camilla – że pojedziesz na badania. Jeszcze brakuje, żebyś ty siebie zaniedbała. Pablo cię zawiezie.

– Gdzie niby? – wtrąca Falconi, który w asyście Carla wkracza na patio. Wywracam oczami i jeszcze raz ściskam Irene, szepcząc jej do ucha:

– Będzie dobrze, zobaczysz. Daj mi czas, a wszystko się poukłada.

Wracam na swoje miejsce i pociągam łyk latte, a staruszka znika za drzwiami domu.

– No, zawieziesz Rosę na badania do szpitala. Zrobimy podstawy. Zadzwońę do przyjaciela ze studiów. Morfologia, wskaźniki ewentualnych procesów zapalnych, poprosimy też o hormony, tak na wszelki wypadek. Niech zrobi wszystko za jednym zamachem.

– O, proszę, mamy nową prawą rękę szefowej mafii? Bo to zajęchało rozkazem. – Na jego słowa teraz już obie z Camillą przewracamy oczami. – Kobiety. Ale oczywiście, *donna* Rosa, zawiozę cię na badania. Przy okazji może też zrobisz swoje, knypku?

Mordercze spojrzenie spoczywa na Pablu. Ja podziwiam, że on ma odwagę do niej tak mówić po tym, jak zdemolowała mu całą sypialnię jakiś czas temu. Odważny. Albo głupi. Wzruszam ramionami sama do siebie i pociągam kolejny łyk kawy.

– Ale wracając do wczorajszego tematu – odzywa się znowu. – Rosa, znalazłem ogrodnika, co prawda mieszka na drugim końcu Włoch, ale zanim będę człowieka tu ściągał, to chciałbym wiedzieć, co wymyśliłaś.

– No cóż... Muszę przyznać, że przed zaśnięciem rozważałam wiele opcji. Wczoraj, jak trzepałeś łapska nad tym kwiatkiem, coś przyszło mi do głowy. Bo wiesz, zakopywanie ludzi w lesie to taki banał, nie? Ponadto ktoś mógłby sobie tak po prostu kopać, jak mu się żywnie podoba, i wykopać któreś z ciał. Ale... Nie można kopać tam, gdzie rosną chronione i rzadkie rośliny. Czy się myślę?

– Chcesz... Sadzić, kurwa, nad każdym ciałem drzewko? A co to ma być? Pomnik natury?

– O! Można to tak nazwać. No bo wiesz, wszystkie te pomysły to bezczeszczenie zwłok. A tak chociaż jakiś pomniczek. Plus dobrze będzie rośło na takim nawozie. A tak naprawdę wbrew pozorom nie będziemy dużo zabijać. – Patrzę na obu chłopaków i ich miny. Uniesione brwi sugerują nieme pytanie: „Ta? Serio?“, ale postanawiam to zignorować. – To będzie kilka ciał. – Ich miny są jeszcze bardziej wymowne. Wzdycham. – No, może kilkanaście, ale bez przesady.

– Ech, to już lepszym pomysłem był kwas. Albo cementarz. A najlepiej to załóż hodowlę czegoś. Nie wiem, psów, wilków i karm je ludźmi. – Camilla zaczyna mnie coraz bardziej zadziwiać. Wszyscy milczymy i wpatrujemy się w nią jak w psychopatkę. – Znowu coś wam nie pasuje? – Przebąkuje pod nosem.

– Wiecie co... Od wczoraj mam przez was tak sprany mózg, że muszę odpocząć. Idę do *signiory* Ninetty. Tam jest spokój, cisza, żadnych psychopatycznych rozmów. Porozmawiamy o winnicy, może *signiora* zechce wrócić do jej prowadzenia, przyda się jej to. Potem pojedę do Nunzia, który jest w klubie. Ma parę rzeczy do załatwienia. Tak na marginesie – mówi jeszcze Carlo, kierując się w stronę domu – wiecie, nie żebym coś sugerował, ale ja nigdy nie oglądałem filmu, w którym ktoś wypędza demona z faceta. Zawsze to są kobiety. Przypadek? – Zerka przez ramię na Camillę, która w przyjacielskim geście pokazuje mu środkowy palec.

– Macie rację, to jednak wszystko bez sensu. Może nie róbmy nic z ciałami, tylko odsyłamy je spopielone rodzinom i tyle. Będzie najprościej. W krematorium na pewno znajdzie się człowiek, który zechce współpracować za odpowiednią sumę. Uhh. Ja chyba jestem ostatnio bardzo zmęczona, bo nie myślę racjonalnie. – Pocieram powieki. Cholera, niedawno wstałam, zrobiłam trening i już czuję się

zmęczona, jakbym harowała cały dzień. Parę godzin snu to chyba zdecydowanie za mało w moim wieku. Matko. W moim wieku. Co ja bredzę.

– Pablo, za dwie godziny musimy być w fundacji. Nie chcę rezygnować z tego projektu. Teraz tym bardziej będę chyba dobrym przykładem dla wszystkich tych poszkodowanych kobiet – zwracam się do Falconiego, a ten potakuje głową i cmoka w czoło Camillę.

– No to idę ogarnąć parę spraw i wrócę po ciebie. A I dzwonił Martin. Mają Marisę. Przyleci tu osobiście za dwa dni. Michele nie mógł, więc taka przystuga ze strony Cartera – informuje mnie. Tak. Już nie mogę się doczekać spotkania z Marisą. Ale do Martina też mam parę pytań. Wczoraj przypomniałam sobie pewien fakt i chciałabym, żeby mi to wyjaśnił. To będzie świetna okazja. – Trzymaj się, mamuśka. – Pablo na odchodne cmoka ponownie tym razem czubek głowy Cam. – Młoda, a ty kop tam mamę po żebrach, żeby tylko nie pyskowała. – Przybija delikatnego żółwika do brzucha dziewczyny, na co dostaje w odpowiedzi kuksańca w ramię. Parskam śmiechem. – Przemoc domowa. Będziesz świadkiem, Rosa.

– Ja nic nie widziałam. – Nasuwam okulary na nos i ruszam w kierunku domu. Zmierzam na górę w stronę sypialni. Kiedy mijam pokoje dzieci, zatrzymuję się na chwilę. Staję przed drzwiami Bianki. Dotykam białej, drewnianej powierzchni i przez chwilę sterczę bez ruchu. To samo robię przed drzwiami do pokoju chłopców.

Obiecuję wam, chochliki, że nie odpuszczę. I prędzej umrę, niż pozwolę stąpać po ziemi tej suce.

SONIA

Siedzę w fotelu i popijam drinka. Jest rano, ja powinnam być w pracy, a mam to głębooko w dupie. Teraz mogę tylko świętować każdego pięknego dnia. Ach, ten przywilej bycia blisko właściciela klubu jest cudowny. Siedzieć, nic nie robić.

– Przylecę za dwa dni. Mam wszystko, o co prosicie. – Krótka chwila milczenia. Później parę pomrukiwań. – To do zobaczenia.

– Wylatujesz gdzieś?

– Wylatuję. A ty byś wzięła dupę w troki i do roboty. Jeżeli chcesz siedzieć i nic nie robić, proszę bardzo. Ale nie tutaj. Ja nie mam czasu na niańczenie rozwydrzonych dziewczynek. Jakiś czas temu jeszcze trzymałaś się w ryzach. A teraz widzę, że woda sodowa uderzyła do łba i nic nie robisz. Jeżeli nie chcesz pracować w szpitalu, to załatwię ci robotę tutaj, ale przydad się na coś. Jak nie, to pakuj manatki, zabieraj swoją część kasy i wylatuj. Obiecałem cię pilnować, ale nie mam ani cierpliwości, ani czasu na uganianie się za matką smarkulą, Sonia.

– Och jej, dupy nie dostałeś, że jesteś taki nerwowy? – drwię, a jego mina mówi sama za siebie. Czasami lubię testować cierpliwość, ale ostatnio faktycznie może trochę mnie ponosi. – Gdzie lecisz?

– Do Włoch.

– Po co?

– Kurwa, Sonia, bo mam tam interesy. Mimo śmierci pewnych ludzi ja i tak muszę pracować z tymi, którzy zostali. W tym akurat przypadku z tą. Przysięgam, nie myślałem, że doczekam czasów, gdzie będę współpracował z szefową włoskiej mafii. To będzie ciekawe doświadczenie. Wy, baby, w większości przypadków nadajecie się tylko do wydawania kasy, pieprzenia was w każdy możliwy sposób i... – patrzy na mnie pogardliwym wzrokiem – ...niektóre do wychowywania dzieci. Ty do nich nie należysz.

Chętnie wdałabym się w dyskusję, ale mam wyjebane na to, co on mówi o mojej osobie. Bardziej interesuje mnie...

– Szefowa? To w mafii rządzą kobiety?

– Jak widać jedna tak. Rosa Coletti to inna klasa kobiety. Interesy z nią będą pewnie równie owocne co z jej świętej już pamięci mężem. – Ojoj. Nasza królowa zaczęła rządzić mafią? Aż nie do wiary. – Szkoda tylko dzieciaków. Ktoś musiał być strasznym pojebem, żeby robić im krzywdę. Ja jestem psychopatą bez serca chociażby dlatego, że siedzę w tej branży, ale to, co zrobili Colettim... Współczuję idiocie, który się na to odważył. Ona nie spocznie, dopóki nie dorwie wszystkich winnych tej tragedii. Widziałem ją na pogrzebie. Była wrakiem człowieka, a parę dni później odrodziła się jak jebany feniks, pracując na pełnych obrotach i wydając wyrok na trzech ludzi.

Zastygam. Pieprzona Rosa. Miałam nadzieję, że będzie załamana tym wypadkiem. Cała jej rodzina zniknęła z powierzchni ziemi w jednym wybuchu. BUM. Uśmiecham się sama do siebie, bo to przecież ja byłam tym mistrzem zbrodni. Musiało boleć. Miało boleć. Tak jak mnie bolała strata tego, którego kochałam najmocniej na świecie. Nie mogłam liczyć na prawie żadną pomoc przez to, kim jest mój brat, ale kawałek zgrabnej dupy, dobry łód i całkiem niezła kasa potrafiły przekonać właściwą osobę do współpracy. I szach mat. Cholera. Tylko nie przewidziałam jednego. Jej zemsty. Widziałam, co zrobiła z Andrejewem. Po co ja wtedy dzwoniłam... Teraz wie, że maczałam w tym palce. *Sonia, Sonia. Lubisz mieć problemy.*

– Jak wrócę z Włoch, masz zdecydować, co ze sobą robisz. Idziesz do pracy, czy mam znaleźć ci jakieś zajęcie u siebie. Albo trzecia opcja. Lecisz na dożywotnie wakacje, kasę masz, a jak nie, to będę ci dosyłał.

Trzaśnięcie drzwiami sprawia, że podskakuję na fotelu. Jasna cholera. Przetwarzam w głowie to, co przed chwilą usłyszałam. Wydała wyrok na trzech ludzi. Chyba muszę udać się na te wakacje. Dożywotnio i daleko. W dodatku tak, żeby nikt o tym nie wiedział.

Nikt. Znajomi. Matka.

A nawet mój... Brat.

Rozdział VI

ROSA

– Signora Rosa, współczujemy straty. Wszyscy mocno przeżyliśmy odejście pani rodziny. Mąż na pewno jest dumny i patrzy na panią z góry, otaczając opieką. – Odkąd tylko moja stopa stanęła w fundacji ciągle słyszę kondolencje, współczucie, ubolewanie nad moim losem. Najgorsze jest to, że ja nawet nie umiem się rozplakać na zawołanie. Jedyne widok Ninetty mnie wzruszył i jak jestem sama to emocje biorą nade mną górę sprawiając, że czasami dusza krwawi, a tą krwią są łzy. Najcenniejszy płyn świata. Łza. Uśmiecham się jedynie krzywo na te wszystkie komentarze, choć tak naprawdę mam ochotę powiedzieć, że współczuć to one powinny winnemu tej sytuacji, bo czeka go piekło na ziemi.

– Nie będziemy rozmawiać o moich problemach – odpowiadam spokojnie, a zarazem stanowczo – jestem tutaj dla was, a nie wy dla mnie. Mamy na głowie pomoc wielu kobietom, więc zabieramy się do pracy. – Moja asyntenka nic nie odpowiada, tylko grzecznie potakuje. Zna mnie na tyle, żeby wiedzieć, że dyskusja ze mną czasami jest zbędna i nie zmienię swojego stanowiska. Tak też byłoby teraz. Ja nie chcę współczucia, uzalania się, kondolencji i całej tej smutnej otoczki, która zawsze towarzyszy ludziom pogrążonym w żałobie. Ludziom, których spotkała tragedia. Mnie to męczy i denerwuje, bo muszę udawać, a tego nie znoszę.

Wsiadam do auta. W fundacji spędziłam kilka dobrych godzin. Jestem bardzo dumna z tego, że udało mi się tak mocno rozwinąć działalność. Tyle kobiet ma problem z przemocą, a co najśmieszniejsze mężczyźni także nierzadko padają ofiarą takiego terroru. Z tym, że w ich przypadku zazwyczaj kończy się to jedną drogą. Samobójstwem, bo mężczyznom najwzyczajniej w świecie nikt nie chce wierzyć, a i oni sami mają problem z przyznaniem się do tego, że ktoś się nad nimi znęca. Boją się kpin, krytyki, pośmiewiska i wytykania palcami. Boją się okazywać słabość, bo przecież mężczyznom nie wypada. Świat jest popieprzony. Im dłużej żyję, tym śmielej to stwierdzam.

– To teraz po Camillę i na badania? – Patrzę na Falconiego.

– Nie mam czasu na głupoty, Pablo. Muszę zadzwonić później do mamy. Tak w ogóle to chciałybym do niej polecieć. Cholera, mogliśmy nie gonić tu Martina. – Faktycznie mogłam nie prosić go o przyłot tutaj. Chociaż... – Ale w sumie będę czuła się swobodniej tutaj, rozmawiając z nim na pewne tematy, niż miałabym to robić u niego, w San Francisco. W Publicco jakoś łatwiej mi się myśli. I czuję się taka... mądra – rzucam z ironią i sarkazmem do Falconiego.

– Mhm. Słyszałem ostatnio. Jedyne, co możesz sobie darować, to puenty z bajek. To bez sensu, Rosa. Oni nie oglądają kreskówek i nie będą wiedzieli, o co ci chodzi. Mafia to nie bajka. To raczej horror pomieszany z dramatem wielu ludzi.

– Masz rację, Pablo. Mafia to nie bajka, dlatego tu nie uczymy się niczego dobrego. Uczymy się kombinowania, przemocy, zatajania i bluźnierstwa. W bajkach natomiast jest dużo przestań i mądrych rzeczy, które dostrzegamy i rozumiemy dopiero jako dorośli. Ja wiem, że ty nie oglądałeś bajek, ale ja

tak. I wiele z nich zrozumiałam dopiero jako dorosły człowiek. Mały Księżę, Król Lew, Pocahontas. Nawet Shrek, Vaiana czy Coco, które na pozór wydają się głupotkami dla dzieci, to i tak czegoś uczą. Nawet nas dorosłych.

– Coco? A co to, kurwa, za bajka? O kokosach? Czego może uczyć kokosowa bajka?

Wybucham śmiechem. O kokosach. Nie wpadłabym na to.

– Nie. Ta bajka jest o chłopcu, który musiał nauczyć się doceniać bliskich za życia i pamiętać o tych zmarłych, bo wspomnienia o nich sprawiają, że mogą żyć w tym drugim świecie. Jeśli o nich zapomina to oni umierają. Po raz drugi i wtedy już nie wiadomo co się z nim dzieje...

Obserwuję migające obrazy, które pojawiają się i znikają za szybą jadącego samochodu. *Umierają po raz drugi, kiedy o nich zapomnimy.* W samochodzie panuje okropna cisza. Wręcz przerażająca.

– Podoba mi się ta meksykańska tradycja z jedzeniem dla zmarłych, świętowaniem, pieśniami. Lepsze to niż smutne odwiedzanie grobów i fałszywe opowiadanie o zmarłych samych dobrych rzeczy.

– Milknę na chwilę. – Chcę pojechać na cmentarz. Mamy znicze w samochodzie? – Odklejam czoło od szyby i spoglądam na Pabla. – Nie pytaj, nie chciej zrozumieć. Potrzebuję tego. Teraz. – Falconi potakuje jedynie głową i zmienia pas ruchu, aby zawrócić.

Cmentarz jest miejscem przemysleń. Tam człowiek podchodzi do życia w zupełnie inny sposób. Nie może przytulić bliskich, bo ich bliscy są martwi, zimni, nie mówią. I tak naprawdę wcale nie muszą, bo aura, jaka panuje w takim miejscu, skłania do zastanowienia się nad sobą. Nad działaniami. Nad życiem. Wiele odpowiedzi nasuwa się samych. Teraz tego potrzebuję. Tej ciszy. Spokoju.

Wysiadam przed wysoką, metalową bramą i od razu zmierzam w kierunku dobrze dla mnie znanym. Nie spieszę się. Jest zmierzch, więc piękne, kolorowe znicze dają cudownie kojącą poświatę. Karmię oczy tym widokiem. Uspokaja mnie.

Po parunastu minutach jestem na miejscu. Staję przed wielkim, czarnym jak smoła pomnikiem. *COLETTI*. Złoty napis widnieje na samej górze ciemnej płyty. A niżej... *Tommaso. Bianca. Adriano. Vincent*. Ten widok przyprawia mnie o ciarki. Oczy wypełniają łzy. To silniejsze ode mnie. Tutaj nie potrafię z tym walczyć. Pociąggam nosem i pierwsza łza spływa po policzku. Na samym dole jest kawałek wolnego miejsca. Na moje imię. Śmieszne. Ilu ludzi za życia widzi swój grób? Ilu z nich wie, jaka kamienna płyta zostanie ich nowym domem? Ja widzę i już dzisiaj wiem, gdzie spocznę, ale to jeszcze nie mój czas. Jeszcze mam do załatwienia na tym ziemskim padole parę spraw. Przesuwam się parę kroków w bok. Kolejny pomnik. *COLETTI ARTURO*. Och, nawet nie wiesz, ile bym dała, żeby się z tobą podroczyć, Arturo. I nigdy nie zapomnę, jak bardzo się poświęciłeś dla dobra naszej rodziny.

– Mi też ich brakuje, wszystkich. – Pablo staje obok mnie i wyciąga zapalniczkę z kieszeni. Biorę kolejno każdy z przyniesionych przez niego zniczy i podpalam knoty, a on je ustawia na miejscach przeznaczonych dla Tommasa i dzieciaków. Ja biorę znicz i stawiam go na grobie Artura. I kolejny, który stawiam dalej na pomniku Tommasa ojca. Wszyscy Coletti będą obok siebie. Tommaso zawsze przywiązywał wielką wagę do rodziny i o tym też pomyślał. To piękne. Mafia to jego życie. Tym przesiąkł do szpiku kości, choć bardzo starał się z tym walczyć. Ale w domu był najwspanialszym ojcem, mężem, synem i bratem. Każdej kobiecie życzyłabym takiego faceta w życiu.

Stoję chwilę w ciszy, wpatrując się w zimne mogiły. Choć mam obok siebie Pabla i są ze mną Camilla, reszta rodziny Colettich, mama, tata i Emanuele, to i tak czuję się samotna. A w tym wszystkim najgorsze jest to...

Telefon zaczyna wibrować w mojej kieszeni. Sięgam po niego. Najgorsze jest to, że jednej z tych osób niedługo z nami nie będzie.

– No popatrz, a niedawno myślałam, żeby do ciebie zadzwonić. Cześć, mamó.

– Co u ciebie, kochanie? Jak się trzymasz?

– Jest okej. To ja powinnam zapytać ciebie, jak się trzymasz, Eleno Provenzano.

– Rosa, ja? To nie ja straciłam w okropnym wypadku całą rodzinę. Dziecko, proszę, nie udawaj twardej jak zawsze. Jesteś człowiekiem. Masz uczucia i możesz mieć chwilę słabości. Mafia to też ludzie, a nie roboty. Ty nawet nie odbyłaś żałoby tak, jak powinnaś. Nie przerobiłaś tego w głowie. Wybacz, że byliśmy tak krótko w trakcie pogrzebu, ale marnie się czuję ostatnimi czasy. Chciałam szybko wrócić do domu, w swoje cztery ściany, bo coś mi podpowiada, że to są już moje ostatnie dni.

– Nie mów tak, mamol! Ty powinnaś walczyć, dlaczego wy wszyscy tak szybko się poddajecie?! – Wściekam się i unoszę głos. Kiedy przypominam sobie, w jakim jestem miejscu, odwracam się na pięcie i zmiierzam w kierunku samochodu.

Ludzie to jednak mięczaki. Jak można się poddawać?! Cholera jasna. Boże, może najlepiej zabierz ode mnie wszystkich, których kocham! Jeszcze tatę i Emanuelego! Na miłość, kurwa, boską, mam ochotę strzelić sobie w łeb! Ile może znieść jeden człowiek?!

– Kochanie, o pewne rzeczy się nie walczy. I to nie jest tchórzostwo, żeby uciekać od bitwy. To po prostu przemyślany ruch. Ja chcę spokoju w tych ostatnich chwilach. Nie zamierzam spędzić ostatnich miesięcy życia w szpitalu. To mój wybór, Rosa, ale ty walcz każdego dnia. Ciebie wychowałam na silną kobietę, Emanuelego na cudownego faceta, poradźcie sobie, a tata... Zawsze sobie radził to i teraz tak będzie. Wy wszyscy to najlepsze co mnie spotkało w życiu i jestem za to Bogu niesamowicie wdzięczna. – I co ja mam teraz powiedzieć? Nawet gdybym chciała coś wydusić, tobym nie mogła, bo wszystko stanęło mi w gardle. – Wierz mi, Rosa, byłam szczęśliwa i chcę, żebyście wy też byli nawet, jak mnie tutaj nie będzie.

– Wiem... – wyduszam. – Za parę dni postaram się przylecieć, mamol. Odpoczywaj.

– Kocham cię, kochanie. – Dawno nie słyszałam tych słów... Cholernie dawno. Tommaso i dzieciaki mówili mi to co dziennie.

– Ja ciebie też, mamol. – W telefonie słyszę jedynie dźwięk zakończonego połączenia. Opuszczam ręce wzdłuż ciała i unoszę głowę, patrząc w ciemne niebo.

To jest twoja sprawiedliwość, Boże? Dobrzy ludzie umierają tak po prostu, a takie szuje jak Sonia chodzą po świecie? Tak wygląda twój plan?! Tak zapisujesz nasz los? Ja pierdolę.

Wsiadam do samochodu w zupełnej ciszy. Pablo wsuwa się na miejsce kierowcy, nic nie mówiąc.

– Kuuurwa! – Krzyczę na całe gardło.

– Ja pierdolę! Aua! – Biedny Pablo nie spodziewał się mojego nagłego krzyku i uderzył łokciem w szybę. – Ty się dobrze czujesz, czy zapomniałaś wziąć leków?

– Uh, przepraszam, ale musiałam.

– Teraz to ja powiem „kurwa”, bo przez ciebie się uderzyłem.

– Mięczak. Ciesz się, że nie przypieprzyłam ci w nos, bo naprawdę mam taką ochotę komuś przywalić, że sobie nie wyobrażasz. To straszne, stają się taka jak wy.

– Co znaczy „wy”?! –

– Jak cholerna mafia.

Pablo wybucha głośnym śmiechem.

– Kobieto, pomijam fakt, że tak w sumie to trochę mafią stałaś się, jak wyszłaś za Tommasa. A tak w pełni to stałaś się nią, jak wydałaś wyrok. I nie zrobiłaś tego przez nas. Tylko sama podjęłaś decyzję. Nikt ci nie kazał. Nikt nie zmuszał. Nikt nie podpowiadał. To był twój świadomy ruch. Jak na typowego szefa przystało.

Milczę. Przez chwilę analizuję słowa Falconiego. I stwierdzam to z całą stanowczością.

Racja.

Rozdział VII

PABLO

– Wszystko mamy gotowe do tego cyrku?

– Mamy. Małpy są. Cyrk jest – odpowiada Carlo, czyszcząc broń. – Myślisz, że to coś da?

– Nie wiem. Na razie musimy przetrwać dzisiejszy dzień. – Wyciągam swoją broń i sprawdzam jej stan. – To nie jest gra komputerowa, gdzie można cofnąć ruch albo dostać kolejne życie. Będzie musiała zapanować nad emocjami, kiedy ich zobaczy. Poza tym tutaj nie będzie mogła tak sobie wydać żadnego rozkazu. Amerykanie nie podlegają naszym jurysdykcjom. Nawet Andrejewa musieliśmy odstrzelić za ich zgodą i w pełnym porozumieniu z Carterem i Lucianem, a nie tylko za zgodą naszej wspólnoty. Zresztą, po co ja ci to tłumaczę. Doskonale to wiesz. – Odruchowo dmucham kilka razy w lufę pistoletu. – Wiesz, co dnia męczy mnie i zastanawia, jakim cudem w samochodzie znalazła się bomba. To jest wręcz niemożliwe, żeby ktoś ją tak sobie tam podłożył. Codziennie się nad tym głowię i spędza mi to sen z powiek.

– Możliwe, że ktoś z naszych miał w tym interes?

Do pomieszczenia wchodzi Rosa.

– Przygotowani na dzisiejsze spotkanie?

Obaj potakujemy głową. Przygotowani. Od czasu pogrzebu Colettich przyjazd Martina będzie tu pierwszym biznesowym przylotem. Tommaso potrafił znaleźć z nim wspólny język, mimo że niekoniecznie chciał to robić, ale zaczynam się bać o podejście Rosy. Ich znajomość wcale nie zaczęła się dobrze. Połamanie nosa na „dzień dobry” nigdy nie jest dla mafioza udanym początkiem. Chociaż tak naprawdę to nasza znajomość z nią też zaczęła się od złamanego nosa, a proszę, jak się potoczyła. Tommaso został jej mężem, a ja przyjacielem. Uśmiecham się sam do siebie. Uśmiech to ostatnio rzadka rzecz wśród nas. Kiedyś było zupełnie inaczej.

Ciche pukanie przerywa naszą rozmowę. Chwila ciszy i otwierają się drzwi do gabinetu.

– *Donna Rosa*, ktoś chciałby się z panią widzieć.

Sprawdzam godzinę na zegarku. To na pewno nie Martin, bo oni mają być za trzy godziny. Zerkam na Carla, który wzrusza ramionami, nie mając pojęcia, kto to może być. Przenoszę wzrok na Daria, który tak samo jak my jest zdziwiony obecnością gościa. Kogo już diabli przynieśli? Mamy teraz tak cholernie dużo na głowie i nie potrzeba nam dodatkowych nerwów.

Trzymając broń w rękach, obaj z Carlem stajemy za fotelem.

– Możesz poprosić, dziękuję Dario. – Rosa obraca się do nas. – Matko, czuję się jak VIP. Tak jeszcze nade mną nie sterczeliście. Szefowa i jej ochrona. Klasa. – Parska śmiechem i siada za biurkiem Colettiego. Tommaso w babskiej postaci.

– Dobry wieczór. – Przyglądam się mężczyźnie o ciemniejszej karnacji, który właśnie wchodzi do pomieszczenia. Pamiętam skądś tę twarz, ale za cholerę nie jestem w stanie, na chwilę obecną, przypisać jej do żadnego nazwiska.

– Dobry wieczór. My się znamy? – Rosa zadaje pytanie, a ja nadal świdruję człowieka wzrokiem. Kurwa, naprawdę go znam, ale mam totalną zaćmę. To musiało być bardzo dawno.

– Nie mieliśmy okazji poznać się bezpośrednio, ale wiele słyszałem od *dona* Tommasa na pani temat. Pani mąż kiedyś uratował mi życie. – Mrużę oczy i wtedy coś zaczyna mi świtać. Uratował

życie. Tommaso ratował je garstce osób. Częściej to życie odbierał, więc...

– Musad Hariri – mówię głośno, na co mężczyzna potakuje. Wiedziałem, że miałem okazję już go poznać. Rosa obrzuca mnie dyskretnym spojrzeniem. – To... – Nie wiem, jak pięknie przedstawić człowieka, który tak naprawdę jest małym terrorystą w swoim kraju, bo takiej inwestycji jak czołg normalni ludzie nie robią. I tak naprawdę jest człowiekiem przez, lub dzięki, któremu Rosa trafiła do naszego świata, bo gdyby nie strzelanina, to Nunzio nie zostałby zraniony, a jej byśmy wtedy nie potrzebowali. – Pochodzi z Maroka – dodaję krótko.

– Maroko? No to kawałek. Super, że się znacie, ale chciałabym wiedzieć skąd, jak i przede wszystkim: co pan tutaj dzisiaj robi? Nie wiem, czy wieści tak daleko dochodzą, ale jeżeli szuka pan Tommasa, to mój mąż...

– Wiem, co się stało, *donna* Rosa – mocno akcentuje słowo *donna* – dlatego tutaj jestem. Na początku pragnę złożyć najszczerze wyrazy współczucia. Moja obecność na pogrzebie nie byłaby dobrym ruchem, więc nie mogłem przylecieć. Wtedy podczas ostrzału, kiedy Coletti uratował mi życie, powiedziałem, że się odwdzięczę. Nigdy nie było okazji. Po tej akcji prowadziliśmy już tylko drobne, ciche biznesy. Praktycznie nikt o nich nie wiedział, ale z Tommasem byliśmy w stałym kontakcie. Nasza współpraca była niewygodna dla wielu ludzi. Jemu już się nie odwdzięczę, ale może mógłbym cię wspomóc, *donna*, gdybyś czegoś potrzebowała. Uważam to za swój obowiązek wobec niego.

Rosa bez słowa wbija w Musada świdrujący wzrok. Tak szczerze mówiąc to, kurwa, zawsze uważałem to za słaby znak z jej strony. Najczęściej taka cisza niekoniecznie zwiastuje coś dobrego. Ostatnio przekonałem się, że kiedy Rosa milczy, w tym samym czasie w ciągu kilku sekund łączy wiele faktów i szybko podejmuje decyzje, które, jeśli spojrzeć w dalszą przyszłość, mogą jej przynieść marne skutki. Już nie wspomnę o nas wszystkich dookoła.

A... Pojawienie się tutaj Musada w takiej chwili jest co najmniej... Dziwnym zbiegiem okoliczności.

ROSA

Wpatruję się w stojącego przede mną mężczyznę. Maroko. Straszny kawał drogi. Komu chciałoby się jechać tak po prostu tyle kilometrów tylko po to, aby powiedzieć, że jest się dłużnikiem rodziny? Poza tym oni to islam, o ile się nie mylę. Ci ludzie mają różne zamiary. Potrafią bardzo często przybierać maski, dopasowując się do sytuacji, bo chcą z niej coś ugrać i nie zawsze mają szczerą intencję. Przynajmniej tak zawsze mówił Tommaso, ale skoro on miał z nim kontakt, to chyba jest godnym zaufania człowiekiem. Nie byłabym jednak sobą, gdybym nie sprawdziła jego zamiarów osobiście.

Wstaję z fotela i powoli podchodzę do Marokańczyka.

– Na Allaha, ale ty jesteś...

– Wysoka? To chciałeś powiedzieć? – Potakuje. – To przez szpilki. – Puszczam oczko, bo faktycznie w szpilkach jestem niemal równa z nim. – To powiedz mi, Musad, jaki miałbyś interes w tym, żeby mi w czymkolwiek pomagać?

– Żaden, przecież powiedziałem, że jestem winien Colettiemu przysługę. Umarł, więc tym bardziej chcę się z tego wywiązać.

– Musad, nie pieprz głupot. Ludzie tego nie robią bezinteresownie, a już na pewno nie robią tego w tak popieprzonej instytucji, jaką jest mafia. Będziesz pchał się w moje bagno tylko po to, żeby oczyścić swoje sumienie i dotrzymać słowa człowiekowi, którego tutaj nawet nie ma? Po co? – Staję przed nim, patrząc prosto w ciemne jak otchłań oczy i z założonymi na klatce piersiowej rękoma czekam na kolejne bzdurne kłamstwo o bezinteresownej pomocy.

Mężczyzna powoli i ze spokojem wsuwa ręce do kieszeni spodni, robi krok bliżej w moją stronę i niemal styka się ze mną nosem. Oj, bardzo odważnie.

– Bo powiedziałem, że to dla mnie sprawa honoru i, tak jak zauważyłaś, sumienia. Czy z moim angielskim jest aż tak źle? – burczy niskim tonem, nie odrywając oczu od moich źrenic. – Tommaso zyskał szacunek u wielu ludzi. Nawet nie masz pojęcia jak wielu. Teraz, gdy nie żyje, połowa mafijnego świata mogłaby cię odstrzelić, o tak – pstryka palcami – w sekundę byś zniknęła. Mógłbym być wśród nich, ale honor i zasady zobowiązują. Ja przywiązuję do tego ogromną wagę, choć wiele mi się zarzuca. Tym bardziej że religia, jaką wyznaję, jest taka, a nie inna, więc przestań mi insynuować, że robię to w jakimś interesie, bo nie chciałoby mi się lecieć tutaj tyle kilometrów tylko po to, żeby popatrzeć na twoją piękną buźkę i nakłamać, *donna Coletti*.

Nadal stoję wyprostowana i w bezruchu. Nie ma mowy, że pierwsza odwrócę wzrok, a wiem, że on na to właśnie czeka. Patrzenie komuś głęboko w oczy zawsze wzbudza respekt.

Marokańczyk uśmiecha się półgębkiem.

– Harda. To dobra cecha w tym świecie. – Odsuwa się na trzy kroki. – Tommaso trafił na idealną dla siebie kobietę. Jeśli będziesz potrzebowała mojej pomocy, zadzwoń. – Wyciąga z kieszeni wizytówkę i kładzie ją na rogu biurka. – Czasami potrafię zdiobać cuda większe niż wasz i nasz Bóg razem wzięci. Jedyne, czego potrzebuję, to czas. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, *donna Coletti*. – Kiwa głową i obraca się na pięcie, po czym zmierza w kierunku drzwi. – Aha. – Po paru krokach zatrzymuje się i zerka na mnie przez ramię. – Gdybyś jeszcze miała lizaka w ustach, jak twój mąż, to mógłbym rzec, że jesteś jego klonem w damskiej wersji. Tommaso zawsze będzie mi się z tym kojarzył. Do zobaczenia. – Puszczą oczko i znika za drzwiami gabinetu, w którym teraz panuje męcząca cisza.

Staję przed szklaną taflą i skanuję parkiet klubu. Maroko, powtarzam sobie w myślach. Nieźle, Tommaso. Jak widać, parę rzeczy udało ci się przede mną ukryć, choć uważam to za wielki błąd.

– Który z was wiedział, że Tommaso robił coś potajemnie? – zadaję chłopakom pytanie. Obaj wzruszają jedynie ramionami. – Nie uwierzę, więc lepiej nie kłamcie.

– No, kurwa, po co mielibyśmy kłamać? – wyrzuca Carlo. – Ja tego człowieka to chyba pierwszy raz widzę na oczy. Może Arturo? Nunzio?

No może. Arturo nie zapytam, ale pozostała jeszcze jedna osoba, która być może będzie w stanie odpowiedzieć mi na takie pytanie.

Podchodzę do biurka i chwytam telefon.

– Dario, możesz poprosić tu Nunzia? – W słuchawce słyszę odpowiedź potwierdzającą. Rozłączam się i nie muszę długo czekać na to, aż w drzwiach stanie brat mojego męża.

– Chciałaś mnie zobaczyć?

– Nunzio, kto to Musad Hariri? – Pytam i obserwuję reakcję szwagra, który zdaje się być w delikatnym szoku. – Nie chcę zadawać tego pytania dwa razy.

– Po co ci taka informacja? – Oho, czyli jednak coś wiemy na ten temat. Unoszę jedynie brew i w milczeniu wyczekuję odpowiedzi. Nunzio łapie aluzję i z ciężkim westchnięciem odpowiada: – Tommaso robił z nim kilka interesów, a czemu pytasz?

– Bo przed chwilą złożył mi wizytę, oferując swoją pomoc.

– On... Tutaj przyleciał? Nie widziałem go. Kiedyś obiecał Tommasowi, że się odwdzięczy. Wtedy, kiedy zostałem postrzelony i ratowałaś moje życie, Tommaso uratował je Musadowi. Od tamtej pory załatwiali swoje sprawy głównie na odległość i w ciszy, mając na uwadze dobro interesów i ludzi. Widzieli się może parę razy. Mój brat nigdy nie szukał odpowiedzialnych za ostrzał tamtej nocy. Marokańczyk sam się tym zajął, do czego przyznał się parę miesięcy przed śmiercią Tommasa.

– Dlaczego Tommaso nie poprosił go o pomoc podczas akcji z Andrejewem? Wtedy Musad mógł spłacić swój dług, a my nie babralibyśmy się w gównie, które zostało w San Francisco.

– Nie wiem. Może... Uważał, że w razie czego tobie pomoc Haririego będzie bardziej potrzebna niż jemu? – Wzrusza ramionami. Mnie? A niby do czego? Czyżby mój mąż coś przeczuwał? – Musad może wiele. Naprawdę wiele, a jeśli pojawił się tutaj osobiście i bez żadnego wezwania czy zaproszenia, to uwierz mi, Rosa, uznaj to za ogromny szacunek do twojej osoby i naszej rodziny. Idę. Bo czekają na mnie na dole, wybacz, naprawdę mam dużo na głowie.

Kiedy Nunzio znika, ja w milczeniu wpatruję się w Carla i Pabla. Zaczynam się lekko irytować tym, że co rusz dowiaduję się czegoś nowego, bo wiele rzeczy było lub nawet jest przede mną zatajone. Nie powinno tak być, bo czuję się, jakbym traciła nad pewnymi sprawami kontrolę. Jak mam działać, skoro stoi przede mną tyle znaków zapytania? *Kurwa mać.*

Niedługo wyjdzie na to, że przestanę ufać nawet najbliższej rodzinie.

A co gorsza. I sobie.

Rozdział VIII

ROSA

Pociągam duży łyk wódki z limonką i lekko się krzywię. Zapomniałam już smak alkoholu i to chyba dobrze, bo stwierdzam, że nie daje żadnego ukojenia czy satysfakcji. Dodatkowo jest też wstrętny. Od bardzo dawna nie piłam, ale dzisiaj po prostu musiałam. Za dużo nowości i nerwów, a nie potrafię sobie z tym radzić. Uważałam siebie za silną kobietę, jednak w obliczu tego wszystkiego, co dzieje się w moim życiu, chyba się myliłam.

Do Pabla i Carla nadal nie odezwałam się słowem, mimo że cały czas siedzą ze mną w gabinecie.

– Nie będziemy ze sobą rozmawiać? Jak dzieci w przedszkolu? Czy jak toksyczna baba będziesz nas karać ciszą?

– Dzieci w przedszkolu rozmawiają, kłócą się i najczęściej są ze sobą szczerze, Pablo. – Wypalam bez dłuższego namysłu i dopijam drinka. Nim zdążę skomentować drugą część wypowiedzi Falconiego, rozlega się pukanie do drzwi. Do pomieszczenia wchodzi Dario, a tuż za nim Martin wraz z moją przesyłką. – No dzień dobry – spoglądam na zegarek – a w zasadzie dobry wieczór.

– Kupę czasu, Roso. – Martin podchodzi bliżej. Wstaję zza biurka, zmierzam w jego kierunku i wyciągam przed siebie dłoń, aby przywitać mojego gościa. Amerykanin ściska ją, a ja równie mocno to odwzajemniam. – Ajć, nadal tak samo twarda. Podziwiam. – Uśmiecha się złośliwie.

– A ty się nie przywitasz? – Zerkam za plecy Martina.

– Ja nawet nie wiem, czego ty ode mnie chcesz, więc nie będę się witać. Współczuję ci straty rodziny. O, może tyle wystarczy. Zadzwoni do mojego ojca, bo mi oczywiście zabrali telefon jak jakiemuś więźniowi. Najpierw mnie wysyłacie do Ameryki, potem każecie tu wracać. Posrało się wam w tych głowach? – Cmokam kilka razy, patrząc na Marisę, która jak mała dziewczynka stoi z nadętą miną i założonymi na klatce piersiowej rękoma.

– Pablo, pochowaliście Cesarego z telefonem? – Falconi kręci przecząco głową. Nie wiem tylko, czy to odpowiedź na moje pytanie, czy może ostrzeżenie, żebym nie grała w słowne potyczki. No niestety, jakaś cząstka mnie jednak jest silniejsza i to zawsze zwycięży. – O widzisz, to chyba nie odbierze.

– C... Co? Jak pochowaliście?! Gdzie jest mój ojciec? – Marisa rusza w moją stronę i dźga mnie palcem w ramię. Pablo robi krok do przodu, ale podnosi rękę, aby się zatrzymać. – Za kogo ty się uważasz, co? Powiedziałam, że chcę rozmawiać z ojcem!

Pochyliłam się nad tą istotką i spokojnym tonem odpowiadam:

– A ja ci powiedziałam, że jest pochowany. I ciesz się, że za zdradę mojej rodziny nie zostawiłam go jak psa gdzieś pod mostem. Twoja matka zresztą skończyła tak jak on, ale nie martw się. Są razem. Przysięga małżeńska wypełniona. „Aż do śmierci”. A teraz czas na ciebie.

Gdyby ktoś to nagrywał, pewnie odtwarzałabym sobie ten widok codziennie. Z czerwonej ze złości twarz Marisy zrobiła się biała jak ściana. W oczach nie widać już nerwów, a zwykły, ludzki strach.

– Czy tobie po śmierci cholernego Coletiego już zupełnie odjechało?

Teraz to ja dźgam ją palcem tak mocno, że odsuwa się dwa kroki w tył.

– Posłuchaj. – Z największym spokojem próbuję cedzić i ważyć słowa. – Dopiero mi odjebie, a tobie przez usta niech nigdy więcej nie przejdzie zestawienie „cholerny Coletti”. Damy nie

przeklinają. Ty też miałaś interes w tym, żeby zniknąć. Dlaczego? Bo mała, rozpieszczona Marisa nie została panią Coletti. My, kobiety, czasami mamy niezrozumiały dla nikogo tok myślenia i bywamy mściwe. Twój ojciec i Eduardo okazali się zdradzieckimi szujami i zaplanowali wybicie ich wszystkich. Twoja matka wiedziała o tym, więc tak samo jak oni musiała zniknąć z powierzchni ziemi. Jesteś jedną z nich, więc przykro mi, ale dotychczas do tego grona.

Cisza. Martwa cisza. Dość długa ta cisza. Nie odrywam wzroku od Caruso.

– Jak to odkryłaś? Przecież to granoczyło z cudem!

O, jednak język nie zapodział się nie wiadomo gdzie. Świetnie. Czyli Marisa też coś ma z tym wspólnego. Moja intuicja mnie nie zawiodła i znów udało mi się celnie trafić. I chwata Bogu, bo inaczej Falconi nie dałby mi żyć. Zresztą nie tylko on. Zerkam na niego, a on wpatruje się we mnie z lekkim zdziwieniem. Tak, tak, Pablo. Puszczam oczko. Cholera, ale jestem zadowolona.

– Teraz, choćbym miała wyciągnąć z piekieł samego Lucyfera, to uwierz, dowiem się wszystkiego. Jak widzisz na załączonym obrazku, cuda się zdarzają. Chyba trzeba częściej chodzić na msze i bardziej wierzyć w Boga. – Nie mam nic więcej do dodania. Spoglądam na Carla i kiwam głową, żeby zabrał ją stąd i zrobił, co trzeba. Tak po prostu. Nie chcę męczyć się ze słowotokiem Marisy. To, co chciałam wiedzieć, już wiem. Ona i tak niczego nowego nie wniesie, a jej obecność na ziemskim padole jest zupełnie zbędna. Marnuje tylko tlen.

Carlo chwyta ją za ramię.

– Zabieraj łapska. – Zaczyna się szarpać, więc upominawczo ściska ją za gardziel.

Tak. Oni nie biją kobiet. Nigdy nie widziałam, żeby jakkolwiek uderzyli, więc to jest ich sposób na uciszanie i uspokajanie niewygodnych „dam”. Nawet jeśli to zwykła suka jak Marisa.

Kiedy się uspokaja, Carlo poluźnia uścisk i daje jej odetchnąć na chwilę przed zakończeniem życia. Łzy w jej oczach sprawiają, że czuję... Boże. Nic nie czuję. To straszne. Patrzę w oczy kobiety, którą kazałam zabić, i nawet nie jest mi przykro. Nikomu z moich wrogów nigdy nie było przykro, kiedy krzywdzili moją rodzinę, więc dlaczego ja mam czuć cokolwiek w takiej sytuacji?

– Ja będę leżeć w grobie, ale mam nadzieję, że ty albo zdechniesz z jej rąk, albo zwariujesz, bo nie będziesz mogła jej znaleźć. Oby zrobiła ci wielki rozpiardol w życiu, żebyś tym razem się nie pozbierała. Nie wiem, kim ona jest, ale wielbię ją całym sercem, bo jesteś obrzydliwie wstrętną suką, Coletti. Może trudno cię dorwać, bo masz wokół siebie swoją świtę. – Obrzuca spojrzeniem obu moich ludzi. – Ale życie bywa dość nieprzewidywalne. Zawsze można zabrać się za rodziców albo brata, no nie? Zachowam klasę i jak mam umierać, to umrę z godnością. I tak już niczego tutaj nie mam. Odebrałaś mi wszystko i uważasz, że po tym co zrobiłaś jesteś w czymś lepsza od morderców? Tak samo bezduszna jak oni.

Stukot jej obcasów dudni mi w uszach. Stoję zdziwiona ostatnimi słowami Marisy, bo nie sądziłam, że będzie miała odwagę je do mnie rzucić. Rodzice. Emanuele. Gdyby tylko chcieli przebywać tu ze mną, byłabym o wiele spokojniejsza i byłoby mi dużo łatwiej pracować i skupić się na konkretnych działaniach, ale mama nie chciała słyszeć o przeprowadzce tutaj, a ja nie mogę ich zmusić. San Francisco to ich świat i jedyne, co teraz mogę zrobić – patrzę na Martina – to podać rękę do tańca amerykańskiemu diabłu, aby wziął pod diabelskie skrzydła moją rodzinę.

MARTIN

Oho. Zapalnik chyba został dzisiaj odpalony. Co jak co, ale trzeba przyznać, że Marisa miała jaja, mówiąc jej coś takiego. Tyle że jeśli i tak wiesz, że zaraz zdechniesz, to możesz powiedzieć wszystko. Nawet samej matce mafii. I druga zadziwiająca rzecz. Lekkość, z jaką przychodzi Rosie wydawanie rozkazów, żeby kogoś zabić, naprawdę mnie zadziwia. Nawet trochę przeraża, choć sam nie jestem

przecież dobrym człowiekiem i nie wzrusza mnie czyjaś krzywda, ale ona? Zapamiętałem jej obraz trochę inaczej za czasów rządzenia Tommasa. Co to ból i nienawiść robią z człowiekiem...

– No... To chyba pożegnaliśmy wszystkich Carusów – przerywam ciszę i próbuję rozluźnić atmosferę. Patrzę na Falconiego, który obserwuje mnie jak radosnego i nieświadomego debila. Uśmiecham się i wyciągam papierosy z kieszeni.

– Nawet się nie waż tu palić, Carter, bo wsadzę ci tego odpalonego papierosa w dupę.

I się obudziła księżniczka. A nie. Przepraszam. Królowa.

– Mmm, Rosa, nie wiedziałem, że lubisz takie zabawy – żartuję, a ona wbija we mnie surowe spojrzenie. – Już, już. – Wsuwam z powrotem do kieszeni paczkę i zapalniczkę, i siadam na sofie, która stoi naprzeciwko biurka Coletti. – Tak na marginesie mam dla ciebie niespodziankę, ale to na sam koniec. Tymczasem... Chciałaś chyba o czymś rozmawiać, Pablo coś wspominał, jak gawędziliśmy sobie przez telefon. Zamieniam się w słuch, *donna* – akcentuję ostatnie słowo.

– Niespodziankę? – pyta zaciekawiona. Wykonuję ruch przy ustach, jakbym zamykał je na zamek. O tym dowie się później. – Dobra, nieważne, mam gdzieś te wszystkie niespodzianki. Na początek to daruj sobie złośliwości, Martin. Ja wiem, że wam, mężczyznom, ciężko przychodzi pogodzenie się z tym, że teraz trzeba podjąć współpracę z kobietą, ale no niestety wszyscy musicie to przełknąć. – Siada za biurkiem, zakłada nogę na nogę i opiera plecy na fotelu. Kurwa, nie wierzę, że to pomyślałem, ale podoba mi się widok takiej władczej kobiety. Podoba i podnieca. Wzdycham głęboko. – Teraz to już nawet chcę porozmawiać o dwóch sprawach. – Jej ton sprowadza mnie na ziemię. Wpatruję się i kiwam głową, żeby kontynuowała. – Pierwsza to ochrona mojej rodziny w Stanach. Może zabrzmie to jak lekki szantaż, ale jeżeli zależy ci na tym, żeby nasze stosunki pozostały na dobrej stopie, to chciałabym, żebyś się tym zajął. Ja potrzebuję swoich ludzi do innych celów. Pewne osoby – zerka na Pabla, który stoi obok niej – nie pozwalają mi załatwiać niektórych spraw samej. – Falconi wyraca oczami i kręci głowę. – Wiem, że trzymasz pieczę nad nimi wszystkimi, bo współpracujecie, ale chciałabym, żebyś teraz podwoił ochronę. Przynajmniej na jakiś czas.

– Jak sobie życzysz. – Provenzano od wielu lat są pod moją opieką. Mniejszą lub większą, bo staram się chronić ich na tyle, na ile mogę to robić bez węszenia niepotrzebnych ludzi i policji. Teraz będzie trudniej, ale jak trzeba, to damy radę. Bądź co bądź Coletti to bardzo wpływowi ludzie i takie znajomości są mi potrzebne. – A druga sprawa?

– Martin, powiedz mi, czy ty jesteś w związku? – pyta, a ja patrzę na nią i uśmiecham szeroko. – Carter, idioto, pytam poważnie. Nie jesteś w moim typie.

– Oh, a już zrobiłaś mi odrobinę nadziei, bo ty jesteś w moim typie – odpowiadam, a Rosa tylko wyraca oczami i wzdycha głęboko, jakby z politowaniem. – Czemu o to pytasz?

– Pamiętasz naszą wizytę u ciebie w klubie? Moją i Tommasa. – Szybko skanuję w głowie i potakuję. – Tamtego wieczora, gdy odprowadziłeś nas do auta, przytulałeś dziewczynę. Kto to dla ciebie jest?

– Uuu, przesłuchanie. Już dawno nie byłem na takim spotkanku, milutko. – Szczerzę się. Rosa unosi głowę tak, jakby modliła się do Boga, a Falconi pociera palcami obie skronie. Ej, ja też lubię te słowne zabawy. Bardzo mi się to podoba. – Penelope? Bzykam ją od czasu do czasu, choć ona chyba myśli, że to coś więcej. Poznałem ją przez moją siostrę.

– A wiedziałaś, że to była Tommasa? – Patrzę zdziwiony. – Aha, czyli nie wiedziałaś. No to już wiesz.

– To przyjaciółka mojej siostry. Znają się od dziecka. Nie miałem pojęcia... W życiu bym nawet nie pomyślał. Zresztą co to ma do rzeczy? Skoro z Tommasem było skończone, to chyba mogłem ją

pieprzyć? Czy to zakazane? Nie kumplujemy się na tyle, żeby hołdować zasadzie „nie tykamy byłych swoich kumpli”.

– Nie o to mi chodziło. A ta druga dziewczyna? Bo to ona mnie bardziej interesuje. – Przetykam ślinę. Akurat ten temat mi nie leży i nigdy miałem o tym nie mówić. To była jedyna obietnica złożona matce i ojcu. – Martin? – Już mam otwierać usta, kiedy Rosa dodaje: – Tylko przed odpowiedzią zastanów się trzy razy, bo widzę, że to chyba niewygodny temat. Nie chcemy kłamstwa. Wiemy, jak to się może skończyć. Nie w smak byłoby mi iść na wojnę z całym San Francisco po odstrzeleniu tba Carterowi.

Odstrzeleniu? Dobre sobie. Kurwa, obiecałem ojcu i matce, że za wszelką cenę będę bronił jej prawdziwej tożsamości, ale w tym przypadku mógłbym sobie zaszkodzić i to bardzo. Tego nie chcę. Zresztą, ona mnie tak wkurwia, że czasami mam ochotę się jej zwyczajnie pozbyć ze swojego życia, a to może być niezła okazja. Rosa raczej nie zainteresowała się jej osobą bez powodu.

Biorę głęboki oddech i szybko podejmuję decyzję. Co ma być, to będzie.

– To... Moja siostra.

Rozdział IX

ROSA

Otwieram szeroko oczy i przenoszę wzrok na Falconiego, który ma taką minę jak ja. Jakim cudem? Przecież to brzmi jak scenariusz z popieprzonego filmu. Nie, Carter robi sobie z nas jaja. To nierealne. Nie uwierzę, nie ma nawet takiej opcji. To byłby popapwany zbieg okoliczności.

W tym samym czasie do pomieszczenia wchodzi Carlo, który wyciera ręce z krwi.

– Jezu, jak ona się szarpała na dole. Cały jestem obryzgany. Więcej się nie ciągam z jakimiś babami. Zlecaj takie pierdoły komuś innemu. – Widząc nasze twarze, zatrzymuje się w miejscu. – Ominęło mnie coś? – Nikt z nas się nie odzywa, bo chyba nie jesteśmy w stanie wydusić nawet jednego słowa. – Halo? Ziemia do Rosy, Pabla i Martina.

– Sonia... To twoja siostra? – Nie zwracam uwagi na pytanie Carla, tylko mówię bezpośrednio do Amerykanina. Carter potwierdza to, co przed chwilą powiedział, potakując głową. To chyba jakiś...

– Co?! To żart?! – Właśnie to Carlo wyjął mi z ust.

– Naprawdę. To moja siostra. Nikt o tym nie wiedział i nie powinien wiedzieć, bo obiecałem rodzicom, że jej tożsamość będzie zawsze nieznaną i nie powiążą jej z nami. Nie chcieliśmy jej włączać w ten świat, mimo że przez jakiś czas bardzo mocno tego chciała. Dla mnie baby w mafii to same problemy. – Urywa na chwilę. – Y, to znaczy prawie wszystkie – poprawia się szybko.

– Ale macie inne nazwiska! Uczyła się ze mną w szkole publicznej, pracowała w szpitalu jak zwykły człowiek, a nie jak ktoś z pieprzonej mafii. Czy ty możesz sobie nie robić jaj, Martin?

– Nie robię! Ma nazwisko panieńskie matki. Tak miało zostać do końca jej życia albo dopóki nie wyjdzie za mąż. Od śmierci ojca jej odwaliło. Przerobiła żałobę, kilka tygodni nie wychodziła w ogóle z domu, a później, jak za dotknięciem magicznej różdżki, wszystko się zmieniło. Postanowiła zmienić szkołę na publiczną, wręcz się na to uparła i wybrała jedną konkretną. Plusem było to, że ojciec nigdy oficjalnie jej nie przedstawił, chronił jej wizerunek za wszelką cenę, więc mogła to zrobić bez żadnego problemu. No i oczywiście sama zdecydowała, że chce normalnie pracować. Byłem zdziwiony, że wybrała taki zawód, bo ona nienawidzi pomagać ludziom. Chociaż nie, poprawka. Ona nienawidzi ludzi.

Patrzę na niego zaciekawiona. Unoszę brew i macham ręką, żeby kontynuował, bo nadal wiem nie tyle, ile powinnam albo nie tyle, ile bym chciała wiedzieć.

– Jest jebaną egoistką – mówi dalej – ale myślałem, że może coś się zmieni, że normalny świat ją wyprostuje, a potem znów nastąpił u niej zwrot o kolejne sto osiemdziesiąt stopni. Raz wcale nie rozmawialiśmy, a raz mieliśmy trochę lepszy kontakt. Często wypytywała mnie o ojca. O naszą pracę. Parę razy nawet uparła się, żeby pojechać na akcje, tak po prostu. Od śmierci tego boksera nie pracowała. Rzuciła szpital i praktycznie non stop wpierdalała się w sprawy mafii. To było wkurwiające, ale wiem, że potrafi być złośliwa, więc musiałem choć częściowo przystać na jej zachcianki, bo poskarżyłaby się matce, a dwie jazgoczące baby nad głową to koszmar. No, ale jakiś czas temu znowu się uspokoiła. Przestała tak często wtykać nos w nie swoje sprawy, jedynie przychodziła do klubu, żeby wyrwać kolejnego gościa na jedną noc i na tym kończyły się nasze kontakty. Nie wiedziałem, że się znacie. Nawet bym o tym nie pomyślał, bo nigdy nas sobie nie przedstawiła. Może gdybym dał jej ochronę, to któryś z moich ludzi by mi doniósł, ale w innym wypadku nawet nie mogłem was powiązać. Dlaczego konkretnie o nią pytasz?

Rozglądam się po gabinecie w poszukiwaniu ukrytej kamery. To nie może być prawda. Sonia siostrą Cartera? To bez sensu. Po co w takim razie miałyby to wszystko robić? Mając tak wpływowego brata, mogła go wykorzystać i wtedy na pewno wszystko to, co sobie zaplanowała, zrealizowałyby dużo szybciej.

– Czy Sonia była na ślubie Michelego? – pytam, a Carter wzrusza ramionami, dając mi do zrozumienia, że nie wie. Chryste. Opieram się o podłokietnik i pocieram brwi dłońią. No to jest jakiś cyrk. – Wtedy kiedy Tommaso został dźgnięty, Jonathan ze mną tańczył i powiedział, że Tommaso jest w dobrych rękach. Mniej więcej tak się wyraził. Nie pamiętam dokładnych słów. Kiedy go szukałam, to z gabinetu uciekała jakaś kobieta, myślałam, że to może Marisa, ale później okazało się, że jednak nie.

– Proszę cię, a czego Sonia mogłaby od was chcieć? Tym bardziej od Colettiego, którego nigdy nie poznała. Ona może i jest nienormalna, ale aż tak ambitnych planów, żeby kogoś zabijać, raczej nie ma. I nie posiada takich możliwości. Zabijanie wymaga ludzi, znajomości i trochę logiki. Tak, jak sama widzisz. – Wstaję i podchodzę do okna. Skanowanie parkietu weszło mi w krew. Stoję tak przez chwilę, próbując połączyć to w logiczną całość i co? I nic. Nie ma tutaj żadnej logiki, żadnego sensu. Och, Boże, daj mi siłę i cierpliwość.

Odwracam się i patrzę na Pabla, który tak samo jak ja nie dowierza całej tej sytuacji. Carlo zresztą też. Zbliżam się z powrotem do biurka i wyciągam telefon. Szukam nagrania, które chcę odtworzyć Martinowi.

– *Cześć, przyjaciółko. Strasznie ciężko było mi wymyślić jakąś drobną sztuczkę, która cię mocno zabolii. Nie wiem tylko, czy bardziej zależy mi na twoim, czy jego bólu. Kilka nieudanych prób, aż tu nagle BUM. Dzwonię tylko po to, żeby przekazać ci najszczerze kondolencje.*

– *Co??? Mama nie żyje?*

– *Elena? Nie. Ona jeszcze żyje. Masz większy problem niż Elena. Ja bym się chyba załamała, gdyby cała moja rodzina zniknęła z tego świata. Muah.*

Martin patrzy z przerażeniem na leżące urządzenie. To chyba wystarczający dowód na to, że jednak maczała w tym swoje paluszki.

– Posłuchaj. Ja nie wiem, co moja siostra zrobiła, ale nie mam z tym nic wspólnego. Przysięgam na matkę. Nawet nie wiem, jakim cudem mogłaby to zrobić.

– Jak widzisz... Twoja siostra podłożyła w jakiś sposób bombę do samochodu, w którym byli Tommaso, Arturo i moje dzieci. Powiem więcej. Andrejewowi złożyła propozycję, żeby wykończyć naszą rodzinę, jednak on nie chciał podjąć się tego wyzwania. Jak mieszkałam w San Francisco, sypiała z Jonathanem w czasie, kiedy byliśmy parą. To przez nią stamtąd wyjechałam i trafiłam do Włoch. Nie wiem, co ja takiego zrobiłam twojej siostrze, że tyle razy mnie krzywdziła, ale wyciągając ręce po moją rodzinę, zrobiła największy błąd swojego życia. I przykro mi to mówić, ale nie skończy się to dla niej dobrze, Martinie. Masz mi ją tutaj przywieźć. Żywią.

MARTIN

Na miłość boską. Co się tutaj odpierdala i w co wplątała się moja nienormalna siostra?! Choćbym chciał, to nawet nie udałoby mi się jej wyciągnąć z pazurów Rosy. Konsekwencje swoich czynów trzeba ponosić. To mafia, a nie pieprzone przedszkole, gdzie najbrutalniejszą zabawą jest strzelanie do siebie z procy. Tu nie mamy kamieni. Mamy zimne naboje, które rozrywają człowieka w parę sekund, ulatniając przy tym jego duszę. Nawet jeśli kochałbym swoją siostrę i dla niej kłamał, sprzeciwiając się przy tym Włochom, to byłoby to ostatnie nasze pokojowe spotkanie. Później

toczyłaby się tylko wojna zbierająca ogromne żniwa ludzkich ciał, a ja nie chciałbym skończyć tak jak Rusek. Za to Sonia pewnie skończy gorzej niż on.

Wyciągam telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki. Wstukuje numer i przykładam urządzenie do ucha, po czym po chwili je odsuwam. *Kurwa.*

– Co? Abonent niedostępny? – pyta Rosa, a ja tylko zaciskam szczęki i kiwam głową. – Kiedy ostatni raz ją widziałeś?

– Parę dni przed przylotem. – Zastanawiam się chwilę. Kiedy to dokładnie było... – Rozmawiałem wtedy z Pablem przez telefon. Siedziała w moim gabinecie. Słyszała częściowo naszą konwersację. Wypytywała, czy gdzieś leczę.

– No i?

– No i coś tam strzeliłem na odczepnego, że do Włoch. – Marszczę czoło. – Padło twoje nazwisko. Zrobiłem to nieświadomie. Zresztą nawet nie przypuszczałem, że miałoby jakikolwiek sens zatajać to przed nią, skoro nazwisko Coletti było jej nieznane. To znaczy, tak uważałem do tej pory, bo jak widzę, to jednak zna je doskonale.

– No to teraz będziemy w czarnej dupie – kwituje Carlo.

Ha! Oni?! A ja to w jakiej jestem? Jedyne, co mam ochotę zrobić, to odstrzelić Sonii łeb. Nie wiem, czym się kierowała, nie wiem, kto jej pomagał, ale wszyscy będą mieli piekło. Ja też, jeśli nie ogarnę tego burdelu. Dlatego właśnie kobiety nie powinny się nigdy bawić w mafię! Bo nie myślą. Mszczą się bezsensownie, robią na złość. Jakby to była jakaś durna gra komputerowa albo zabawa. Żeby zabijać szefa mafii, trzeba mieć zdrowo porąbane we łbie. Ba! Żeby zabijać szefa mafii, nie będąc w mafii, to dopiero trzeba mieć zryty mózg. Moja siostra to jednak psychopatka i jeżeli Rosa się jej pozbędzie, sam na tym skorzystam.

– Znajdę ją. Nie obiecuję ci, że dostarczę żywą, bo wierz mi, Rosa, że mam ochotę skrócić jej kark, jak tylko ją zobaczę, ale znajdę.

– Wydasz nam swoją siostrę? A myślałam, że mafia broni swojej rodziny. – Patrzy na mnie podejrzliwie. Tak, teraz wygląda to do bani. Zdrada swojej rodziny zawsze źle wygląda i jest ogromnym minusem, ale w tym momencie mam to zupełnie gdzieś. Sonia nie przyniesie mi żadnych korzyści, więc jest dla mnie zbędna. A Coletti może mi coś zaoferować.

– Bo broni. Czy jeżeli Pablo zdradziłby ciebie i podejmował decyzje za twoimi plecami, to nie zabiłabyś go? Mam za dużo do stracenia, żeby brać odpowiedzialność za jej zjebane zachowanie. Sam chętnie się dowiem, co miała w tym pustym łbie.

Rosa milczy. Nie wiem, czy to dobrze. Moje zachowanie można uznać za zdradę rodziny, czyli teoretycznie mogę posunąć się do wszystkiego. Zdrady Colettich także.

– Żywą, Carter. Może być połamana, skatowana, ale żywa. I masz na to... tydzień.

– Rosa, nie obiecuję ci, że w tydzień ją znajdę. Jeżeli tyle czasu potrafiła wodzić tylu ludzi za nos, to teraz może być wszędzie. Ja nie jestem cudotwórcą. Aż takich mocy nie mam.

– To dwa tygodnie. Jeżeli nie znajdziesz jej w dwa tygodnie, poproszę Musada o pomoc. – Patrzę na nią z niedowierzaniem. Człowiek, który praktycznie z nikim nie współpracuje, bo większość ludzi boi się tego psychopatycznego islamisty, kumpluje się z Coletti?

– Musada? Haririego?!

Potakuje.

No to mam jeszcze bardziej przerąbane, niż sądziłem.

Rozdział X

PABLO

Nie wiem, czy my otwieramy właśnie jakąś puszkę Pandory, ale zaczynam się bać odkrywania dalszej prawdy. Najpierw Eduardo. Później Cesare, a teraz okazuje się, że psychopatka, której szukamy, to siostra jednego z partnerów biznesowych. I to dość bliskich. Przecież to jest jakiś żart, ale najlepszym żartem w tym wszystkim jest to, że Sonia zrobiła w jajo nas wszystkich. Nie tylko Rosę, Tommasa i *famiglię*, ale też samego Martina, który miał ją pod nosem. I tu sprawdza się powiedzenie, że najciemniej pod latarnią, a najlepsi przyjaciele czasami są tymi największymi wrogami. W tym przypadku rodziny. W sumie to dobrze, bo przy Martinie to ja, Tommaso i reszta rodziny nie wychodzimy na takie ślepe pizdy, jaką okazał się on. Pociuszające.

Obserwuję Cartera rozmawiającego z Rosą. Oprócz tematu Sonii poruszyli też kilka spraw dotyczących interesów: przerzuty narkotyków, którymi ma zajmować się Nunzio, bo Rosa mimo chęci, jakie wykazuje, to zwyczajnie ma teraz na głowie zupełnie inne rzeczy, a Nunzio świetnie sobie radzi w powierzonych obowiązkach. Ponadto nie może pojawiać się w pewnych miejscach i sam osobiście tego pilnuje. Nikt z nas nie chce dla niej źle i nieraz już się przez to sprzecaliśmy. Najchętniej sama jeździłaby w pewne miejsca albo sama grzebała w gównie, które mocno śmierdzi, jednak na chwilę obecną nie możemy pozwolić sobie na to, żeby być może przez jakiś przypadek stało się jej coś złego. Wtedy całe nasze starania poszłyby najzwyczajniej w świecie na marne. Niby ona jest szefem, ale ja dostałem rozkaz i muszę ją ograniczać, i trzymać nad nią „władzę”, która wcale się jej nie podoba.

Na koniec temat najprzyjemniejszy. Winnica, która działa świetnie, też stała się dość ważnym punktem tej rozmowy. Pomimo dobrej prosperacji Rosa chciała zająć czymś *signorę* Ninettę, więc w bardzo chytry sposób postanowiła dołożyć jej obowiązków i stworzyć coś nowego. Wyszukany rodzaj trunku na specjalne zamówienie klienta. Jakiego? Oczywiście z USA, no bo jakiego innego. *Signora* Coletti będzie miała co robić, tworząc nowy bukiet smakowy wina.

– No to może teraz wrócimy do początku naszego spotkania. Mówiłeś, że masz niespodziankę, Martin – wtrącam.

– O, faktycznie. Przez to wszystko zapomniałam o niespodziance. Teraz się dowiemy? – Martin potakuje Rosie i wyciąga telefon. Pisze krótką wiadomość, po czym urządzenie znów ląduje w kieszeni. Nie musimy długo czekać, żeby drzwi gabinetu otworzyły się z wielkim hukiem.

– No dzień dobry! A w zasadzie – mężczyzna spogląda na zegarek – dobry wieczór. Cholera, ile musiałem czekać! Gorzej niż na audiencję u papieża. – Zatrzymuje się w miejscu na widok Rosy. – O, wow, siostra. Jaki glow up!

– Emanuele! – Uśmiechnięta podchodzi do brata i mocno go ściska. – To tylko włosy. Co ty tu robisz, braciszku?

– Może tylko i włosy, ale wow. Niesamowicie. Pomyślałem, że będziesz mnie tutaj potrzebowała. No wiesz. Zostać szefową mafii to zajebiście odpowiedzialna fucha. Z tego, co słyszałem, to weszłaś w ten świat z kopnięciem z półobrotu! Radzisz sobie i trzymasz gardę, siostra, ale może taki mały żuczek jak ja ci się przyda. Też coś niecoś potrafię, a sytuacja, w której się obecnie znajdujemy, jest dość trudna. Każda pomoc się przyda. Nawet moja. – Rosa uśmiecha się szeroko i ponownie wtula w Emanuelego.

– Dziękuję.

Odniosłem wrażenie, jakby ten ledwie słyszalny szept był pomieszaniem dwóch uczuć. O ogromnej wdzięczności, że naprawdę każdy ją wspiera, bo chyba nie wierzyła w to, że tyle osób będzie stało za nią murem i walczyło o to, aby sprawiedliwości stało się zadość. I spokoju, który ją ogarnął po tylu deklaracjach pomocy i stania murem za jej plecami. Ja doskonale wiem, że ten świat potrafi pozbawić człowieka kolorów. Mafia jest jak pralka z dużą ilością vanisha. Ci, którzy się w niej rodzą, już na starcie są w czarnej albo szarej barwie, ale ci, którzy tu trafiają – tak jak Rosa, Emanuele, Dionisio i inni spoza tego gniazda – pod wpływem narzuconych im działań i intensywności życia najzwyczajniej w świecie płowieją. Rzadko kto potrafi dźwignąć ten ciężar, wstępując w szeregi tej „instytucji” i się nie zmienić. Rzadko kto zachowuje te same, tęcze barwy. I najważniejsze. Patrzę na Rosę, która uśmiecha się do Emanuelego.

Rzadko kto potrafi zachować dziecięcą radość w swoim sercu pomimo koszmaru, z jakim przyszło mu się zmierzyć.

ROSA

Kiedy Martin powiedział o niespodziance, byłam lekko zdziwiona. Co najlepsze pod wpływem wszystkich tych informacji, jakie na mnie spadły, zupełnie wyleciało mi to z głowy, ale teraz śmiało mogę powiedzieć: Martin umie zrobić *surprise*. Przywiezienie tutaj mojego brata było ostatnią rzeczą, na jaką bym wpadła.

– Oddajesz mi tak po prostu swojego pracownika, Carter? – śmieję się.

– Ech, no wiesz, on potrafi tak truć dupę, że to nawet lepiej dla mnie, jak się go pozbędę – żartuje Amerykanin, puszczając przy tym oczko. – Myślę, że jest ci bardziej potrzebny niż mi. Jeden Provenzano mniej do chronienia w Stanach. Dla mnie na wielki plus. No i Emanuele na pewno będzie przeszczęśliwy, musząc współpracować z Musadem.

– Co, kurwa? – brat pyta podniesionym tonem. – Żartujesz?

– Z Musadem kontaktuje się Nunzio. Teraz będę też ja, także spokojnie. Twoja włoska, lalusiowa dupa jest bezpieczna, braciszku.

– Ty naprawdę ubijasz z nim interesy?

Pocieram brwi. Co ten Musad musi w sobie mieć, że tyle osób jest tak bardzo wycofanych w stosunku do niego? Jak dla mnie to naprawdę miły człowiek. Parskam pod nosem. *Miły człowiek w mafii. Mhmm.*

– Nie, nie ubijam, bo mnie ręka boli. – Naśmiewam się. Ubijać to można śmietaną. Albo masło. Pablo z Carlem parska pod nosem, a mój brat patrzy na mnie jak na debilkę. Wywracam oczami. – Hariri ma dług wobec Tommasa. Jeżeli będę go potrzebowała, wtedy się skontaktujemy. Dlaczego wy wszyscy tak się sracie, jak o nim słyszycie? – Moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi. No cóż. Nie będę nikogo ciągnęła za język. Nawet mi się nie chce po dzisiejszych atrakcjach wiedzieć niczego więcej. Nunzio wie, jak z nim rozmawiać, i to mi wystarczy. Gdyby faktycznie był tak straszny, jak go wszyscy malują, to mój mąż zapewne nigdy nie wchodziłby w żadne układy.

Otwieram szufladę, żeby schować do niej papiery, które przeglądałam z Martinem. Lizaki. Znak rozpoznawczy mojego męża, który, jak widać, każdemu mocno utkwiał w pamięci. Upycham papierzyska i wyciągam jeden, który teraz marnuje się w biurku. Rozwijam z papierka i wkładam do ust, delektując się truskawkowym smakiem. Pablo głośno chrząka, bo zapewne to aluzja do tego, co mówił Marokańczyk.

– Wal się, Pablo.

Wybuchą głośnym śmiechem.

– Wy jesteście tutaj psychiczni, wiecie o tym? – Mój brat jest jednak bardzo kochanym i czułym mężczyzną. Nie ma co. Unoszę dwa kciuki w górę, dając mu znak, że się nie myli.

– Halo? – Falconi odbiera telefon. – Co?! – Patrzę na jego bladą twarz. – Cholera, przecież to za szybko. Dobra, zaraz... – Milknie i patrzy na mnie. – Camilla...

– Jedziemy – decyduję, nie pytając nawet, co z nią. Pablo wybiega z gabinetu. – Dobra, Carter, wybaczone, ale pilna sprawa. Jesteśmy w kontakcie. Emanuele, jak chcesz się tu rozgościć, to śmiało, jak nie, to Dario przywiezie cię do posiadłości, ale ja teraz się śpieszę. Ciao. – Czym prędzej w tych nieszczęsnych stukobiegach pędzę do samochodu i pakuję się na przednie siedzenie.

– Mogłaś zostać – strofuje mnie lekko Pablo, gdy zatrząskuję drzwi auta.

– Camilla rodzi? – pytam, a on kiwa głową. Cholera, szybko. Półtora miesiąca to trochę za szybko. Zapinam pas. – Pablo, jestem kulturalna. Normalnie *donna* pierwsza klasa. Pożegnałam się? Tak. Powiedziałam „wybacz” do Cartera? Powiedziałam. Mogłam kazać mu spierdalać i tyle, nieprawda? – Falconi śmieje się, mimo że przed chwilą był spanikowany jak mały dzieciak.

– To byłoby raczej w stylu *dona*, kazać im spierdalać. Ty jesteś trochę za miękka na takie mocne wyjścia, *donna*.

Znów ten irytujący akcent położony na tytuł *donna*. Mrużę oczy.

Ja za miękka? O ty du...

– Ty robisz za to mocne wyjścia. – Szczerzy się.

O. No masz szczęście, Falconi. Uratowałaś swoją włoską dupę przed soczystym opieprzem.

Rozdział XI

CAMILLA

Litości! Trzymam się za brzuch, który cholernie mocno boli.

– Cami, wytrzymaj jeszcze chwilkę, wszystko będzie dobrze. – Patrizia pociesza mnie, głaszcząc pasma włosów. Nie wiem, co się stało i jak to się stało. Nie myślałam, że kiedy wstanę tak po prostu z sofy, coś może się wydarzyć. Tym bardziej że ciąża przebiegała książkowo. – Dzwoniłam do Pabla, zaraz będzie – zapewnia, a ja tylko potakuję głową. – Mój Boże, sama zaczynam panikować. Powinnam była zadzwonić na pogotowie, a nie do nich.

I dzięki Bogu, że nie zadzwoniła, myślę. Ja do żadnych karettek pchać się nie będę. A już na pewno nie do obcych.

Mija parę minut i słyszę otwierane z hukiem drzwi.

– Camilla?! – Zdyszany Pablo wbiega do salonu. – Kochanie, zaraz będzie lekarz. Rosa dzwoniła do znajomego ginekologa. Jak się czujesz? – Klęka przy mnie wystraszony jak małe dziecko. O, proszę. No kto by pomyślał, że potrafi taki być. Czyli jednak się czegoś boi.

– Gdzie cię boli? – Rosa pochyla się nade mną.

– Brzuch i trochę plecy – syczę przez zęby. – Ale to nie tak jak skurcze. – Biorę kolejny oddech. – Wstawałam z sofy, nic nie zrobiłam, naprawdę.

– Wierzę, skarbie, nie tłumacz mi się. Zaraz wszystko będziemy wiedzieć.

– Zerknę na brzuszek, podniesiemy sukienkę do góry – mówi, a ja potakuję głową i unoszę lekko pupę. – Czuję, że jest trochę mokro, bo chyba wody mi podciekają. – Rosa podsuwa sukienkę w górę i jej mina nie zwiastuje niczego dobrego. Mam ochotę się wychylić, jednak ból brzucha jest silniejszy.

– Co jest? – Pytam, a jej wzrok ląduje na Pablu, który teraz wydaje się jeszcze bardziej przerażony. Mój Boże. – Pytam: co jest!?

– Będzie dobrze, Cam, tylko się uspokój. Oddychaj, zaraz będzie doktor, ale chyba powinniśmy wezwać karetkę. Na pewno szybciej dowiozą cię do szpitala.

– Co?! – Moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Rosa wyciąga telefon. W tym samym momencie do domu wchodzi lekarz.

– *Buona serata*¹. – Starszy pan wita się, ściągając kapelusz z głowy. Spogląda poniżej mojego brzucha i od razu wzrok ląduje na Rosie, która nadal rozmawia przez telefon.

– Właśnie dzwonię po karetkę. – Starzec z wielką ulgą wymalowaną na twarzy kiwa głową. Kiedy po raz kolejny mam zadać pytanie o to, co oni tam widzą, czego ja nie mogę dostrzec, słyszę głośne chlupnięcie.

– Ooo.

– To się nie dzieje naprawdę. – Pablo łapie się za głowę. Przerażona Patrizia patrzy na Rosę, a ja chyba dostanę dzisiaj zawału.

– Na brodę Merlina, Marcelo – mówi do chłopaka po drugiej stronie słuchawki. Marcelo to dobry znajomy Rosy ze szpitala, w którym pracowałyśmy. Ja nigdy się z nimi nie trzymałam, bo nie mam zajawki na ćwiczenia. Mnie interesował tylko jogging, ale oni... Mogli gadać o każdej dyscyplinie. – Wiesz co, wyślij może... Dwie karetki. Moja szwagierka zaczęła rodzić. – *Donna* odkłada słuchawkę. Wszystkie oczy wędrują właśnie na nią. Ona to się z nami nigdy nie będzie nudziła. Na pewno.

– Aua. – Patrizia chwyta się za brzuch i zgięta w pół tkwi tak przez chwilę. Jej ciąża przebiega idealnie i jest już w terminie, więc najwyższy czas, żeby bliźniaczki pojawiły się na świecie, ale dzisiaj? Tyle dzieci naraz w jednym domu to przecież będzie istny armagedon.

No to będzie wesoły wieczór.

Kupiliśmy bilety w pierwszym rzędzie, więc będziemy się świetnie bawić.

Madre di Dio.

ROSA

To się nie dzieje naprawdę. Powtarzam w głowie słowa Pabla. Czy ty, Boże, chcesz mnie wykończyć? Najpierw pełen emocji wieczór w Publicco, a teraz w domu. Nie dość, że sytuacja Camilli nie wygląda wcale kolorowo, bo zakrwawiona sofa nie wróży niczego dobrego, to jeszcze Patrizii odeszły wody, a ciąża bliźniacza nie jest czymś łatwym do ogarnięcia bez odpowiednich specjalistów i sprzętu. Czy ja wyglądam jak jakiś pieprzony cyborg, że tyle zwalasz mi na głowę? Jeśli tak to dzięki. Na pewno się dogadamy.

Pocieram skronie, dając sobie chwilę na przemyślenie całego wieczoru. Ja chyba zejść na zawał, zanim dorwę tę sukę. Mija paręnaście minut i przed wejście podjeżdżają dwie karetki. Wybiegam szybko przed dom, tłumacząc im, co konkretnie się stało. Bez zbędnych pytań i durnych wywiadów w tempie ekspresowym wyciągają nosze i pędzą do środka. W tym samym czasie na podjeździe pojawia się auto, którym kieruje Dario. Na fotelu pasażera siedzi mój brat. Nie no, naprawdę wstrzelił się w idealny moment, żeby pojawić się we Włoszech.

Kiedy obie dziewczyny są już bezpieczne i mają zapewnioną opiekę medyczną w karetkach, ja postanawiam zadzwonić do Ninetty i poinformować o zaistniałej sytuacji. Oba auta odjeżdżają sprzed domu. W jednym Camilla z Pablem, w drugim Patrizia z Emanuelem, którego poprosiłam o to, aby jej towarzyszył. Biedny był tak zestresowany, że przed wejściem do ambulansu musiał zapalić papierosa. A jego mina była bezcenna. Zupełnie jak Biani, kiedy... Nie, odganiając myśli z głowy. Ja muszę trochę ochłonąć. Wciskam przycisk na ekspresie do kawy i w końcu wybieram numer do Ninetty. W słuchawce słyszę sygnał połączenia, a przy drzwiach wejściowych...

...dźwięk dzwonka Ninetty.

– Matko jedyna!

O. Czyli słyszała syreny. Wyśmienicie.

– Co to za karetki były? – dopytuje, a za nią do domu wpada zziębnięty Toto. Rozłączam połączenie i kładę telefon na blacie.

– *Signora Coletti*, następnym razem niech pani nie ucieka w takim tempie, bo któregoś z nas dostanie wylewu – mówi zupełnie poważnie, a Ninetta zbywa go jedynie gestem ręki.

Mam ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem. *Ooo, Toto. Ja będę pierwsza, która go dostanie i zjeździe z tego świata.*

– Camilla zaczęła krwawić, wydaje mi się, że to może być łożysko. Nie znam się na tym, ale coś niecoś czytałam, więc pasowało mi to do wszystkich objawów. Oby wszystko było dobrze.

– Ojej. – Kobieta zakrywa usta. – Niech Bóg nad nią czuwa. Na pewno będzie dobrze. A druga karetka?

– Patrizii odeszły wody. Emanuele pojechał z nią do szpitala. Ja muszę trochę odpocząć i się przebrać, bo inaczej nie pociągnę – informuję spokojnym tonem, popijając przy tym latte. Po tak emocjonujących przeżyciach i wypranym dzisiaj mózgu mój stan emocjonalny prezentuje dziś wzór: „róbta co chceta, niech się dzieje wola nieba, ja potrzebuję kawy, pierdołę wszystko”. Jezu, ile ja teraz przeklinam. Ta mafia to samo zło. – Chcesz kawy?

Ninetta siada na krześle stojącym przy stole.

– O matko, dzięki Bogu, bo już myślałam, że nigdy nie urodzi. Daj tej kawy. – Bardziej spodziewałam się paniki, krzyków albo popędzania mnie i chęci pojechania do szpitala, a ona jak gdyby nigdy nic macha ręką, żeby podać jej magiczny, kofeinowy napój bogów. Przyrządzam drugą filiżankę i siadam obok niej. – Czekaj. Emanuele? – pyta z zaskoczeniem wymalowanym na twarzy.

– Tak. Przyleciał dzisiaj do Włoch. Zostanie z nami na jakiś czas. To w sumie pomysł jego i Martina. Nie będę zaprzeczać, że każda pomoc mi się przyda, dlatego nie oponowałam. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

– Ja? A czy głowie rodziny można się sprzeciwiać, bo o ile mnie pamięć nie, myli to nie. Tak przynajmniej było za czasów mojego męża. – Fakt. Potakuję jedynie głową. – Podjęłaś słuszną decyzję. Każdy człowiek po naszej stronie się przyda. – Kwituje i popija przy tym ciepły napój. Po krótkiej chwili milczenia i wpatrywania się we mnie jakbym miała namalowane na twarzy wąsy, komentuje: – Jesteś strasznie blada, wysypiasz się? – Wywracam oczami. No wykończą mnie psychicznie i to wszyscy po kolei. Miałam nadzieję, że chociaż moja teściowa nie będzie wiercić mi dziur w brzuchu i rzucać takich komentarzy, ale chyba się myliłam. – Nie wywracaj tymi oczami, dziecko. Pytam poważnie. To nie jest zabawa, Rosa. Ja rozumiem, że się martwisz i przejmujesz, ale jak podupadniesz na zdrowiu, to żadna zemsta i żadne dodatkowe ręce na pokładzie ci nie pomogą. Musisz zadbać też o siebie samą. Zdrowy egoizm jest dobrą cechą, a w twoim przypadku warto byłoby może się jej nauczyć? – Odliczam w myślach do dziesięciu, aby się nie zdenerwować. Na palcach obu rąk nie dam rady zliczyć, ile razy już słyszałam na temat swojej bladości.

– Śpię, jem, piję – unoszę cudowny nektar w górę – nawet trochę ćwiczę. Jestem odrobinę wykończona tym wszystkim, nie będę udawać, że to nieprawda. Ponadto musicie zrozumieć, że oprócz całej sytuacji z Tommasem i dziećmi, to przejmuję się również mamą. Z tyłu głowy cały czas mam poszukiwanie Sonii i martwi mnie to, że niby jestem blisko, ale i tak nadal o krok za daleko. To bardzo wkurwiające i męczące. Myślałam, że uda nam się to załatwić zdecydowanie szybciej.

– Czasami niestety musimy uzbroić się w cierpliwość, Rosita. Wierzę, że uda ci się pomścić rodzinę. I choć to nie zwróci im życia, to będziesz spała spokojnie.

No nie zwróci, nie zwróci...

– Masz chyba rację – wzdycham. – Wiesz, mamo, powiem ci najlepsze. Pamiętasz, jak mówiliśmy, że to moja chora przyjaciółka to zrobiła? – Ninetta potakuje głową i z uwagą przysłuchuje się moim słowom. – No, to okazuje się, że to siostra Cartera. – Mama krztusi się łykiem kawy, wybałuszając przy tym oczy. Poklepuję ją po plecach.

– Co? Tego Amerykanina?! – Kiwam głową. – Absurd. Nie daj się zwieść. To muszą być mylne poszlaki. Po co ona miałaby to robić? Martin jej kazał? Nie uwierzę, bo on i Tommaso współpracowali ze sobą od naprawdę wielu lat.

– Och, i to jaki absurd, ale to niestety prawda, mamo. Pocieszające jest to, że Martin nic nie wiedział. Tak twierdzi i, o dziwo, wierzę mu. Jego mina i zachowanie mówiły same za siebie. Przynajmniej jedną rzecz mam wyjaśnioną. Po części wyjaśnioną, ale jednak, a już mam dość... Dzisiejszy dzień mnie wykończył, a boję się tego, co może być dalej, wierz mi. Najpierw odwiedził mnie jakiś Hariri, bo ma dług wobec Tommasa i chce go spłacić, potem był Martin z całą listą newsów, a teraz jeszcze Camilla i Patrizia.

– Hariri? Ten... No. Y... Ten z Maroka?

Patrzę na nią pytająco. Czy tylko ja nie odrobiłam jakiejś lekcji i nie wiem, kto to jakiś Musad?! Dlaczego jego nazwisko nigdy nie przewinęło się w żadnej dokumentacji, korespondencji albo chociażby w telefonie?! Odpowiadam krótkim „mhmm”.

– *Oh per l'amor di Dio*² – kwituje Ninetta.

Wow, moje najbliższe tygodnie życia zapowiadają się naprawdę wspaniale.

Zabawo, trwaj. Dopijam kawę. Zamiast serca powinnam mieć wstawioną pompę kawową. Tak.

No... To wsiadamy do tego wagonu i zapinamy pasy, bo jazda może być ostra i to bez trzymanki.

Byle nasz wagonik się nie wykoleił.

Jak to Tommaso zawsze powtarzał?

Jezu, kurwa, Chryste.

Rozdział XII

San Francisco...

MARTIN

Pieprzona psychopatka.

Wsiadam z samolotu i niezwłocznie kieruję się do stojącego na płycie lotniska auta. Nie mogę się doczekać, aż ją dorwę i skręcę jej kark. A nie. Cholera, mi nie przypadnie ten zaszczyt, bo to ma zrobić osobiście Rosa. Powinienem pierdolnąć czołem z rozpędu w ścianę. Idiota. Nic, kurwa nie zauważyłem przez tyle czasu. Jakim cudem?!

Cały lot nie odezwałem się do nikogo nawet słowem. Nadal trawię to, czego się dowiedziałem. Sam już nie wiem, kto ma gorzej. Rosa, której cała rodzina została zmieciona z planszy, tak naprawdę Bóg jeden wie, z jakiego powodu, bo co Sonii do Colettich? Jeżeli chciała skrzywdzić Rosę, to zrobiła to, już odbijając Jonathana. A może gorzej mam ja, debil, którego siostra wychowała pod samym nosem? Siostra i jej przyjaciółka. *Pięknie, Carter: Niech się ludzie o tym dowiedzą, to nie będziesz miał życia.* I przysięgam, że ten kutas, któremu dała dupy za pomoc w tym wszystkim, będzie miał przesrane, bo nie uwierzę, że któryś z moich ludzi jej nie pomagał. Tylu informacji i pewnych akcji nie dałaby rady zorganizować bez odpowiedniej wtyczki, a ja będę musiał ją wyciągnąć z kontaktu, żeby przerwać cały ten popieprzony scenariusz, jaki sobie ułożyła.

Podjeżdżam pod wieżowiec, w którym mieszka Sonia. A przynajmniej powinna mieszkać, bo przestałem nadążać za jej ostatnimi przeprowadzkami. San Francisco wbrew pozorom to małe miasto dla kogoś takiego jak ja, więc ją znajdę, nawet jeżeli przeniosła się do jakiejś innej klity w tej ponurej dziurze.

Wjeżdżam na górę i kieruję się prosto do drzwi jej mieszkania. Pociągam za klamkę. Zamknięte.

– Sonia! – pukam grzecznie do drzwi. – Sonia, otwórz. – Nadal cisza. Walę więc mocniej. – Otwieraj, powiedziałem!

– Może pan nie krzyczeć? – Z mieszkania obok wychyla się kobieta w średnim wieku. – Tej dziewczyny nie ma. Jakiś czas temu widziałam, jak wychodziła z walizką.

– Jakiś czas to znaczy jaki? – pytam najgrzeczniej i najspokojniej jak się tylko da. Starsza kobieta myśli przez chwilę w zupełnej ciszy.

– Wczoraj? Albo dzisiaj rano? Nie pamiętam. Starość, młody człowieku. Chyba poleciała na wakacje, miała tyle walizek.

Kurwa. Odwracam się na pięcie i bez żadnego pożegnania lub podziękowania za znikome, ale nadal jakieś, informacje wracam do auta. Wyciągam telefon, na którym wstukuję dobrze znany mi numer.

– Kevin, znajdź Penelope i przywieź mi ją do klubu. – W słuchawce słyszę mruknięcie potwierdzające przyjęcie zadania do wykonania, więc rozłączam się i wciskam telefon do kieszeni marynarki. Pieprzone kobiety, wykończą nas, mężczyzn.

Po parunastu minutach jestem w Glory. Przechodzę przez roztańczonego na parkiecie tłum i rozglądam się podejrzliwie po moich ludziach, którzy kiwają mi głową na przywitanie. Tak naprawdę to nie mam pojęcia, komu teraz mogę ufać. Może jedynie kilku najbliższym dla mnie i najwyżej postawionym ludziom. Na nich mogłem liczyć w każdej sytuacji i jeszcze ani razu mnie nie zawiedli.

Kevin, Cris, Roger i paru innych. Chociaż... Patrząc na sprawę Colettich, to nikomu nie można ufać. Nawet własnej rodzinie.

– Szefie, zaraz będzie tu Penelope, tak jak prosiłeś. – Cris wchodzi do gabinetu, po czym informuje mnie o wykonaniu zadania. Pocieram zmęczoną twarz rękoma i potakuję głową. – To chyba była ciężka wyprawa do Włoch, co? – Nawet się nie wykąpałem, nie przebrałem, tylko w tym jednym wymiętolonym już garniturze jestem ponad paręnaście dobrych godzin. Jeszcze brak snu, bo ta sprawa spędziła mi sen z powiek, więc na pewno wyglądam jak gówno. Mój człowiek stawia przede mną szklankę z bursztynowym płynem, jakby wiedział, że tego teraz potrzebuję. Od razu wypijam całość. – O, chyba nawet bardzo ciężka.

– Christopher, czy wiesz, gdzie jest moja siostra? – Puszczam jego pytanie mimo uszu i bez owijania w bawełnę zaczynam robić wywiad wśród wszystkich moich ludzi. Zaczynając od najbliższych, bo o Sonii wiedzieli tylko on i Kevin. To znaczy, wiedzieli, że moja siostra to faktycznie moja siostra. Nikt inny takiej informacji nie otrzymał. Przynajmniej nie ode mnie.

– Szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia. Widziałem ją ostatni raz przed twoim wylotem, wtedy jak była z tobą w gabinecie. Od tamtej pory nie pojawiała się tutaj. Coś się stało?

– Wiesz, że ta pojebana psychopatka zabiła Colettiego? – Jeżeli ja miałem taką samą minę, gdy Rosa mnie o tym informowała, to wyglądałem jak debil. Albo i gorzej. – No... Nie patrz tak na mnie i nie pytaj, kurwa, jak, ale zrobiła nam piękne przedstawienie. Pod naszym nosem wywinęła numer stulecia. Obiecałem Rosie, że ją znajdę i dostarczę do San Gimignano.

– Cooo? Jak ona mogła coś takiego zrobić? Przecież to nierealne. My mamy czasami problem z tym, żeby kogoś tak po prostu zabić, a ona niby zrobiła to ot tak sobie? Sorry, szefie, ale nie wierzę w to. To się nie klei. Ktoś przecież musiałby jej w tym pomagać. – Przyglądam mu się z zaciekawieniem. Mężczyzna marszczy brwi i kręci głową. – Ej, chyba nie myślisz, że to ja? – Nawet nie masz pojęcia, co ja teraz o wszystkich zacząłem myśleć.

– To nie jest kwestia wiary, Cris. Słyszałem nagranie, na którym informuje Rosę parę sekund przed wybuchem ich samochodu. Tego nie da się podważyć. To była ona, a ja nie zamierzam jej bronić. Jest wrzodem na mojej dupie, a jeżeli Coletti chce go wycisnąć, to proszę bardzo.

– Ale twoja matka...

– Moja matka siedzi w psychiatryku i od śmierci ojca jest niespełna rozumu... – I wtedy wpadam na pomysł. – Wyślij tam kogoś. Może Sonia się tam pojawi. – Cris wyciąga telefon. – Ale tylko kogoś, kogo jesteś w stu procentach pewien. – Patrzy na mnie zdziwiony. – Jeżeli ktoś jej pomagał, to musiał być przecież mój człowiek, tak jak sam to zauważyłeś. Jeszcze nie wiem, kto to, ale go znajdę. Najpierw sprawdzimy wszystkich, którzy byli najbliżej niej. Tych, których wyznaczałeś do tego, aby była czasami obserwowana jako potencjalny obiekt moich westchnień. – Tak, musiałem udawać, że cała ochrona Soni albo jej obserwacja były dla bezpieczeństwa, bo mi się podobała. Bleh. – Więc o tej sprawie będą wiedzieli tylko tacy, których bierzemy za pewniki. Rozumiesz?

Potakuje głową. Wykonuje jeden telefon i w tym samym czasie Kevin wprowadza Penelope do mojego gabinetu.

– Maaartin... Tęskniłeś tak bardzo, że musiałeś po mnie kogoś wysłać? Nie łatwiej było zadzwonić albo do mnie przyjechać? – Szczerzy się szeroko. Oglądam ją od góry do dołu. Kusa sukienka, wysokie szpilki, mocny makijaż. Wygląda tak samo dziwkowato jak moja siostra. Nie wiem, czy ja może dojrzewam, ale zaczynam się powoli brzydzić sobą, że w ogóle do łba przychodzi mi pieprzenie takich lasek. Po paru godzinach spędzonych z Rosą Coletti, rozmowie z nią i podziwianiu jej aparycji stwierdzam, że chyba trzeba zmienić priorytety i podnieść swoje oczekiwania, bo podobało mi się to,

co widziałem i słyszałem. Jestem chyba tak samo zjebany jak większość facetów. Zamroczony seksem i cipą, dopóki ktoś nam nie otworzy oczu.

– Gdzie jest Sonia? – pytam krótko, bo nie interesują mnie żadne gierki. Dziewczyna podchodzi do mnie i ręką przejeżdża od kolana do mojego rozporoka. Chwytam ją za nadgarstek i wstaję. – Kurwa, Penelope, pytam, gdzie jest Sonia!?

– Aua, puszczaj Martin. Posrało cię?

– Postuchaj, dziewczyno. – Odpycham jej dłoń i pochylam nad nią, patrząc prosto w oczy. – Nie jestem w nastroju do gierki. Nie będzie seksu teraz ani nigdy. Między nami wszystko, co było, jest zamknięte. Skończone. Amen. Finito, rozumiesz? I masz dziesięć sekund na odpowiedź. Jeżeli wiesz, gdzie ona jest, to lepiej, żebyś mi powiedziała.

– N... Nie wiem, dzisiaj rano z nią rozmawiałam, ale nie mówiła, że gdzieś wyjeżdża. – Dzisiaj rano? To znaczy, że ma inny telefon, bo ja się do niej dodzwonić nie mogłem! – Jeśli chcesz, to zadzwonię – deklaruje, a ja kiwam głową. Dziewczyna wyciąga z torebki telefon i przykłada go do ucha.

– Nie, nie. Na głośnik – informuję, więc przetącza na tryb głośnomówiący. – I masz się zachowywać normalnie, jak zawsze podczas rozmowy z nią.

– Zapomniałaś mi powiedzieć, jakie paznokcie zrobiłaś? – Chichoczący głos mojej siostry słychać po drugiej stronie aparatu. Krew zaczyna buzować w moich żyłach.

– Gdzie jesteś, bo Martin cię szukał. – Co za jebana kretyńska. Pukam się w czoło, nie dowierzając w to, co się dzieje. Tak, byłem zamroczony cipką i dobrym lodem. Nic więcej mnie jednak w niej nie urzekło, a ujawniony dziś brak mózgu odepchnął od niej na dobre.

– Szukał? A czego chciał? – Penelope milczy i wpatruje się we mnie, jakbym może miał z nią grać w kalambury i pokazać, co chciałem? Macham ręką, żeby powiedziała cokolwiek.

– Nie wiem no, po prostu cię szukał. Ty gdzieś wyjechałaś? – pyta, a po drugiej stronie słuchawki panuje głucha cisza. – Sonia?

– Martin... Nieładnie wciągać w poszukiwania moją przyjaciółkę.

Ty mała suko.

SONIA

Mój brat to jednak kutas. Występuje się moją przyjaciółką, bo nie może mnie znaleźć. Dno.

– Gdzie jesteś, Sonia?! – burczy w telefon. Jakbym miała się wystraszyć. Już sikam po nogach.

– Martin, nie spinaj się, bo żyłka ci pęknie.

– Ty kretyńko. Wiesz, co narobiłaś?! Ty w ogóle czasami myślisz?!

– Ale co ja takiego zrobiłam? – Uśmiecham się pod nosem i upijam łyk wina. Trzeba przyznać, jest naprawdę pyszne. Coletti potrafią robić dobre rzeczy. Kubki smakowe ich rodziny są warte miliony. Dla takiego wina warto jest grzeszyć, oj tak.

– Postuchaj... Masz dwie opcje, dziewczyno. Albo sama powiesz, gdzie jesteś, albo cię znajdziemy. Pierwsza opcja jest dla ciebie o tyle lepsza, że niczego nie zrobimy siłą. Druga... Sama wiesz, jak to się kończy.

– Nadal nie wiem, o co ci chodzi.

– Ty jesteś chora psychicznie. Razem z matką powinnaś być wylądować w szpitalu. Nie zagrażałabyś wtedy ani sobie, ani innym. – Szczerzę się. Och, szpital miałby wesoło, ale dobrze mi na wolności. I nie zamierzam tego zmieniać.

Nie odzywam się. Pociągam kolejny łyk wina z głośnym mlaśnięciem.

– Nie ma problemu. Życzę ci, abym to ja znalazł cię pierwszy, a nie Coletti. Wierz mi, ona wyciągnie spod ziemi samego diabła tylko po to, żeby cię dopaść. Powiniennem ci współczuć. I głupoty, i tego, jak bardzo masz teraz przejebane, ale w sumie nie współczuję. Chciałaś się pobawić w mafię, to się teraz pobawisz, ale obawiam się, że nie na twoich zasadach. Skoro Andrejew, a w zasadzie jakieś jego marne części, leżą gdzieś na dnie studzienki ściekowej, a część jego ludzi spłonęła w magazynach to wyobraź sobie, co się stanie z tobą. I może powiedz mi chociaż, kto ci pomagał? Dla nich będę łaskawy i tylko szybko odstrzelę im łby.

– A ja myślałam, że rodzina zawsze staje w swojej obronie. Zawiodłeś mnie, Martin. Boli, bardzo boli, że stajesz za Rosą, a nie za mną. Takich rzeczy się nie wybacza.

– Nie wybacza to się zamordowania niewinnych ludzi!

– Oj, braciszku, ja tylko zrobiłam przystępę dla Penelope i uspokoiłam swoje sumienie. A na marginesie powiem ci jedynie, że najciemniej pod latarnią. Myślałam, że ty jesteś inteligentny facet, a tu jednak kolejna kłapa. Ech, gdybyś był choć trochę taki jak tata, to może byśmy się dogadywali.

– Ja nie jestem tak zjebany jak ojciec.

– Nie był zjebany! – warczę i rzucam pieprzonym kieliszkiem o ścianę. Szkło rozbija się na całej przestrzeni, a na ścianie zostaje czerwony ślad po winie. – Życzę ci miłego życia, braciszku. A od mojego się odpierdol. Po prostu zapomnij, że masz siostrę. Tak będzie dla nas wszystkich lepiej. –

Rozłączam rozmowę, wyciągam kartę i pośpiesznie spuszczam w toalecie. Cholerny telefon będę musiała utopić gdzieś indziej.

No to oficjalnie zostałam odcięta od San Francisco na zawsze. Od mamy, od Penelope. Świetnie. Och, nie. Jest jeszcze jedna osoba, ale teraz będzie dużo trudniej się skontaktować. Cholera jasna, nic nie idzie tak, jak bym chciała.

No to, Soniu, czas zacząć nowe życie. W tej jakże malowniczej i gorącej jak piekło dziurze.

MARTIN

No nie wierzę! Bezczelna gówniara. Teraz tym bardziej nawet nie chciałbym jej pomagać, a wręcz będę się cieszył, jak Rosa ją w końcu sprzątnie. Chce się bawić w kotka i myszkę, to się pobawimy. Gorzej dla niej jak zamiast kotka pierwszy znajdzie ją tygrysek, a w zasadzie tygrysica. Normalnie... Muszę kupić bilet na ten spektakl.

Rzucam telefonem o ścianę.

– Ej, to był mój iPhone!

– Nie przyda ci się w grobie. – Rozpinam guziki marynarki i luzacko siadam za biurkiem.

– Co? – Kiwam głową na Kevina, żeby ją stąd zabrał i zrobił, co trzeba. – Martin, ja przecież nic nie zrobiłam! Zadzwoiłam, jak chciałeś. Chcę wrócić do domu. Ja nie maczałam palców w tej bombie, naprawdę. Zapomnę o wszystkim i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

– Uuhuhu... Łaskawa jesteś. Zapomnę o wszystkim. – Parskam śmiechem. No, koleżanko teraz sama na siebie podpisałaś wyrok. – Nic nie zrobiłaś? Mhm. – Wyciągam papierosa i wkładam do ust. – Nic nie zrobiłaś, ale przypadkowo przyjaźnisz się z moją siostrą i przypadkowo połowa rodziny Colettich w tym momencie leży na cmentarzu, bo Sonia tak sobie wymyśliła, że ich zabije dla zabawy. I zupełnie przypadkowo wiesz, że zabiła ich bomba. A jeszcze bardziej przypadkowo byłaś kiedyś z Tommasem i cholernie przypadkowo go zdradzałaś, a on bardzo przypadkowo się na tobie odegrał. Same przypadki w tym twoim życiu, Penelope. – Przykładam zapalniczkę do papierosa, zaciągamy się i czerwone światełka zaczynają się żarzyć na końcu bletki. – Obu brakuje piątej klepki, jeżeli myślałyście, że ujdzie wam to na sucho. Zabierz ją stąd. Upozorujcie gwałt i napad rabunkowy ze

skutkiem śmiertelnym, nie chcę się później szarpać z jej ojcem. I nie martw się, skarbeczku, będę tak pięknie udawał na twoim pogrzebie, że jest mi przykro, że sam sobie wręczę Oscara. – Kolejne pociągnięcie papierosa. Przyjemne uczucie, kiedy dym wypełnia płuca.

– Martin, nie, nie. Ja nie chcę! Ja naprawdę nie wiedziałam, co ona planuje. Powiedziała mi dopiero po pogrzebie Tommasa, że to ona, ale nie chciałam jej wierzyć. Przecież ona jest nikim, nie mogła tak sama sobie tego zrobić. Martin, błagam...

Szlochanie na mnie nie działa. Piękne oczy na mnie nie działają i te żałosne sztuczki też nie działają. Gaszę papierosa w popielniczce.

– Masz rację, Penelope. Masz rację. – Wstaję i z wsuniętymi do kieszeni spodni rękoma podchodzę do dziewczyny, którą widzę dzisiaj ostatni raz w swoim życiu. – Teraz Sonia jest nikim.

Rozdział XIII

PABLO

Od paru godzin siedzę w szpitalu i czekam na wieści o Camillii. Nie jadłem, nie spałem, ze stresu jestem spocony jak świnia i czuję się jak zbędna tutaj kupa gówna. Nie pozwolili mi nawet wejść razem z nią na salę. Nie wiem, po co tutaj jestem, skoro najzwyczajniej w świecie nie mogę być przy swojej żonie podczas tak ważnego dla nas przeżycia. Popieprzone przepisy.

– Panie Falconi?

– Tak! – W trybie ekspresowym wstaję na równe nogi.

– Stan pacjentki jest stabilny, dziecka także. Zrobiliśmy badania, uzupełniliśmy braki krwi, bo mocno jej ubyło, co powodowało realne zagrożenie. Jesteśmy jednak w stanie to naprawić. Nie będziemy wywoływać porodu dzisiaj, mamy wielką nadzieję, że uda się nam podtrzymać ciążę jeszcze przez przynajmniej dziesięć dni. To dla dobra matki i dziecka. Musimy mieć panią Falconi pod stałą opieką medyczną, więc do tego czasu pacjentka zostaje w szpitalu.

Uff. Oddycham z wielką ulgą. Obie są bezpieczne i to dla mnie najważniejsze. Jedyne, co mnie niepokoi, to jej pobyt tutaj przez kilka dni, bo w obecnej sytuacji... Wolałbym mieć ją zawsze blisko siebie, a nie mogąc całą dobę siedzieć w szpitalu. Rosa mnie potrzebuje i nawet to, że ona i Camilla to przyjaciółki ponad życie, nie mogę jej prosić o zwolnienie z obowiązków wobec *famiglii*.

– Mogę do niej pójść? – pytam, a lekarka robi minę pod tytułem „pan żartuje?”, więc ja też pogram w miny. Opuszczam usta w podkówkę tak, jak zawsze robiła to Biani, gdy próbowała wymusić coś na Arturze i Tommasie. – Mógłbym się wkurzyć i wejść tam razem z drzwiami, bo jestem do tego zdolny. Proszę mi wierzyć. Jednak staram się jak człowiek grzecznie prosić o chwilę czasu z moją żoną. Zatem bardzo mocno proszę?

Dziewczyna pociera twarz rękoma i przez chwilę nie udziela mi żadnej odpowiedzi.

– Ech, dosłownie parę minut. Poźniej proszę jechać do domu i odpocząć. Zgodnie z prośbą *donny* Rosy dostaniecie salę jak najbardziej na uboczu tak, żeby ochrona mogła przebywać w pobliżu bez jakichkolwiek problemów, podejrzeń i zbędnego zwracania na siebie uwagi. Wszystko rozumiemy, panie Falconi, i proszę nam wierzyć, że zrobimy, co w naszej mocy, aby obie były bezpieczne i zdrowe. A teraz proszę wybaczyć, ale z tego, co wiem, to mój kolega jest w tej chwili ze szwagierką *signory* Coletti, więc mnie tam pilnie potrzebują. Rodzenie bliźniaków to nie lada wyczyn. – Uśmiecha się i znika za rogiem korytarza.

Mielę w głowie słowa lekarki. *Donna* Rosa nie byłaby sobą, gdyby nie zrobiła czegoś takiego. Mając na głowie tak wiele swoich spraw, znajduje czas na to, aby pamiętać o każdym, kto nie jest jej rodziną, ale jest jej bliski. Takich ludzi na świecie jest garstka, a już w naszym świecie to istny cud, że takie osoby się zdarzają. Ona właśnie jest takim mafijnym cudem.

Wchodzę do sali, gdzie podłączona pod kroplówki i do woreczka z krwią leży Camilla. Na ten widok ściska mi serce. Wobec takich sytuacji jesteśmy tak bardzo bezradni i zdani na lekarzy, i łaskę Boga. W takich chwilach wiemy, że to nie my jesteśmy panami naszego losu, a ktoś znacznie większy.

Cam odwraca głowę w moją stronę i delikatnie się uśmiecha.

– Prawie dostałem zawału, knypku. – Podchodzę do łóżka i pochylam się, aby cmoknąć czoło swojej żony.

– Neandertalczyk i zawał? Niebywałe – żartuje.

Uśmiecham się szeroko, głaszcząc przy tym jej ciemne włosy. Dziś naprawdę się o nie bałem. O nie obie. Camillę kocham całym sercem i to normalne. Tak to przecież działa. Poznajesz człowieka. Widzisz jego wady, zalety. Poznajesz demony, które go prześladują. Kochasz jego wygląd, styl, mowę. Widzisz i czujesz. Nasz mózg i serce tak są skonstruowane. Zakochujemy się w tym, co widzimy i słyszymy, a Cristina... To jest niebywałe i pięknie niewytłumaczalne, że można kochać tak bardzo kogoś, kogo się jeszcze nie poznało, nie widziało i nie słyszało. Kogoś, kto pojawi się na Ziemi dopiero za kilka dni i wtedy stanie się dla mnie całym światem, tak jak jej mama.

EMANUELE

I po co mi było przylatywanie tutaj? Się zachciało. Włochy. Pomaganie siostrze. A teraz co? Rozpinam kolejny guzik koszuli i podwijam mankiety. Stoję jak cielak na sali porodowej i nie wiem, w co mam ręce włożyć i jak się zachować. Czuję się jak w jakiejś ukrytej kamerze. Trzeba było siedzieć w Stanach. Ciepłe biuro, żadnych przygód poza tymi sądowymi. Adrenalina tylko na ringu, co było dla mnie wystarczające. Nie wiem, co mnie podkusiło. Nie wiem i za cholere nie będę potrafił chyba nigdy odpowiedzieć na to pytanie.

– A tata taki zestresowany, że chyba nie wie, co powinien zrobić? Nie chodziło się do szkoły rodzenia? – Jedna ze starszych pielęgniarek zwraca się bezpośrednio do mnie. Tata? Zestresowany? Już mam jej odpowiedzieć, ale Patrizię łapie kolejny skurcz, więc skupiam uwagę na dziewczynie, a nie głupim gadaniu złośliwego babsztyla. – Sprawdzę rozwarcie. Niech pan się nie boi i podejdzie do mamusi, zawsze jest raźniej, jak partner trzyma rodzycę za rękę. Mam panu tłumaczyć, jak powinien zachowywać się prawdziwy mężczyzna w takiej sytuacji?

Nie, dziękuję za taskę, myślę ze złością.

Stawiam dwa kroki naprzód i się zatrzymuję. Cholera. Dlaczego ja to tak bezwiednie zrobiłem? Nie mam bladego pojęcia, ale się nie wycofuję, podchodzę bliżej niej i podaję rękę leżącej Pat. Nie patrząc zupełnie na mnie, łapie odruchowo moją dłoń, a ja lekko się nad nią pochylam.

– Będzie dobrze, Patrizia. – Szepczę do jej ucha. W odpowiedzi wydusza jedynie „mhmm” i dalej skupia się na oddechu. To akurat widziałem w jakichś filmach. Wdychasz nosem, wydychasz ustami. Czy tam odwrotnie. No jakoś tak. Ponoć. Chyba. Cholera. Nie wiem no. Już cały się zestresowałem jak jakiś smarkacz w szkole, który stoi spocony przed tablicą. – Oddychamy. – Powtarzam i sam biorę głęboki wdech, mając nadzieję, że to mi pomoże. Czuję się trochę jak idiota, ale czego nie robi się dla kobiet.

– Mamy dziesięć centymetrów. Drugi lekarz zaraz przyjdzie – informuje położna i jak na zawołanie do pomieszczenia wchodzi młoda lekarka. – Przy bliźniętach przydają się do pomocy każde ręce, tym bardziej że *signora* Coletti prosiła o jak najlepszą opiekę. Tak więc zaraz, pani Patrizio, będziemy rodzić, a tata niech się przygotuje. – Uśmiecha się, patrząc na dziewczynę, a później na mnie. Odwzajemniam ten uśmiech. Mimowolnie.

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Gdzie moja poważna mina adwokata? Moje opanowanie i dystans do wszystkiego?

– Jak poczuje pani skurcz, przemy. Liczymy do dziesięciu i przerwa. Do następnego skurczu.

I tak właśnie robimy. Na pierwszy nie musimy czekać długo, bo nie mija nawet minuta, a Patrizia zaczyna przeć, ściskając moją rękę do białości. Mam ochotę wymruzczyć chociaż ciche „aua”, „kurwa”, „fuck” albo coś podobnego, ale wyszedłbym na miękką pizdę. Zaciskam więc zęby. To będzie cud, jak mi, kurwa, nie powypadają od tego szczękościsku.

Po pierwszym skurczu Pat rozluźnia uścisk, a ja w tym czasie wyciągam rękę z jej dłoni, żeby zmienić ją na drugą, jednak, jak się okazało, moje obliczenia, że zdążę to zrobić, są nietrafione. Zanim udaje mi się podać drugą kończynę, Patrizia łapie mnie za wewnętrzną stronę uda, niebezpiecznie blisko najcenniejszego narządu, jaki mam, tuż po mózgu, i wbija tam paznokcie. Ja pierdolę. Wstrzymuję oddech.

– Pan niech oddycha, bo zaraz nam pan zemdleje, taki czerwony na policzkach. – Co za wstrętny babsztyl z tej położnej. Ciekaw jestem, czy gdyby jakiś facet złapał ją... Patrzę na starszą kobietkę i się wzdrigam. Nie. Nie. Nie było tego pytania. Emanuele, skup się na Patrizii. – Mocno. Przemy, przemy.

Kiedy na sali porodowej nastaje zupełna cisza, serce wali mi jak dzwon. Przed sekundą było głośno. Można było usłyszeć jęki rodzącej, jakieś pielęgniarskie rozmowy, a teraz... Jest cisza.

– I mamy dziewczynkę. – Lekarka uśmiecha się szeroko i unosi w górę małego, zakrwawionego człowieczka. – Tata chce odciąć pępowinę? – Pyta, a ja macham głową, że nie. Nigdy w życiu. Brzydzę się takich rzeczy. Krew działa na mnie odpychająco, a jeszcze, nie daj Boże, skrzywdziłbym maluszka i miałbym do końca życia wyrzuty sumienia. Nie ma mowy. Ja tutaj jestem tylko dla towarzystwa. – Słusznie. Tatusiowie często mdleją podczas odcinania. Tyle emocji, a pan się jeszcze przyda. Mamy drugie dzieciątko do urodzenia, prawda? – Jak zahipnotyzowany potakuję. – No to przemy. I zaraz będzie po wszystkim.

I tak się dzieje. Kolejny skurcz i na świecie pojawia się druga z dziewczynek. Tylko tym razem zamiast błogiej ciszy mamy wrzask i krzyk. Dwa zupełne przeciwieństwa.

W tym samym momencie odczuwam ulgę i brak uścisku na nodze. Pod wpływem emocji zapomniałem, że Patrizia tak mocno ścisnęła moje udo. Pielęgniarka przynosi dwa małe zawiniątka. Tę cichą, drobną istotkę podaje Patrizii, a mi wciska w ramiona krzyczącą... Chciałem powiedzieć diabolicę, ale mała od razu przestaje jazgotać, kiedy trafia na moje ręce. Jedyne dźwięki, jakie wydaje, to słodkie mlaśnięcia małymi usteczkami i jakieś drobne poburkiwania. Ja wiem, że dzieci mają słaby wzrok. Mając siostrę lekarkę, nasłuchiwałem się o pewnych sprawach i do tej pory je pamiętam, ale ona... Wbija we mnie tak duże, szare oczy, że czuję, jakby ktoś mnie hipnotyzował. Magia. Aniołek. Mały, różowy, czarnowłosy aniołek.

– Dzielna byłaś. – Odrywam wzrok od maluszka, wyduszając przy tym w stronę Pat to krótkie stwierdzenie i przyznając, że jestem dziwnie wzruszony całą tą sytuacją.

Dziewczyna przekręca głowę, żeby spojrzeć mi w oczy, a ja... Wcale nie dziwię się Rosie, że tak mocno kochała oczy Tommasa. Te dwie różnobarwne tęczęwki są niesamowite i mają w sobie coś magnetycznego.

Obawiam się, że lekko... Przepadam.

Kurwa.

Rozdział XIV

ROSA

Budzę mnie pierwsze słoneczne promienie. Byłam tak zmęczona wczorajszymi akcjami, że odcięło mnie w sekundę, kiedy na chwilę położyłam się na sofie w salonie.

Przeciągam się jak kot. Spanie w sukience nie należy do najwygodniejszych. Chwytam za telefon leżący na stoliku kawowym. Na brodę Merlina, tyle nieodebranych połączeń? Jakim cudem? Przecież ja nawet jak śpię, to zawsze słyszę dzwoniący telefon, a już na pewno słyszę, jak ktoś próbuje dobić się kilka razy.

– Kurwa.

– Nie, to tylko ja, Rosito. – Wychyłam się ponad oparcie i spoglądam na Irene. – Dzień dobry. Wyłączyłam dźwięki. Zastugiwałam na odpoczynek. *Signora Ninetta* także, obie spałyście na dole, jak przyszłam. Nie martw się, rozmawiałam i z Patrizią, i z Pablem. Wszystko jest w porządku. Emanuele śpi na górze. Pablo u siebie. Wrócili jakieś dwie godziny temu. Ninetta poszła do domu dosłownie parę minut temu. Powiedziała, że się przebierze i wróci. – Okej. Widzę, że coś mnie ominęło. – Podam kawę i śniadanie. Jeżeli chcesz, to leć szybko pod prysznic. Za piętnaście minut będzie gotowe.

– Dzień dobry, Irene. Dobrze, dziękuję. Ogarnę się i zaraz schodzę. – Podnoszę tyłek i kieruję się na schody. – A gdzie Eveline?

– A to nikt ci nie mówił, Rosita? – Unoszę brew. A o czym niby znowu ktoś mi nie mówił?! – Eveline zrezygnowała z pracy. Dzień po wybuchu była roztrzęsiona i przerażona. Powiedziała, że nie da rady. Być może nikt nie zaprzętał ci głowy takimi drobnostkami, dziecino. Masz teraz inne sprawy. Ale radzę sobie. Nie musisz nikogo zatrudniać.

Pozostawiam to bez komentarza i wędruję na górę. Hmm... Dlaczego ja nie zauważyłam jej nieobecności? Chyba nie jestem uważna w tym, co robię. Swoją drogą to ciekawe. Może faktycznie się wystraszyła, a może to nie przypadek? Później poproszę Carla, żeby to sprawdził.

Po mniej więcej dziesięciu minutach ubrana w zwiewną, czarną sukienkę schodzę na dół. Szybki, orzeźwiający prysznic dał mi kopa i skutecznie pobudził, a jeszcze jak wypiję kawę, to będę jak nowo narodzona. Wychodzę na patio, gdzie czeka na mnie i gorący napój, i śniadanie przygotowane przez Irene. Siadam u szczytu stołu i delektuję się chwilą ciszy, która mnie otacza.

– Dzień dobry.

Odwracam głowę i uśmiecham się do Sylvii.

– Ciociaaa... – Rozkładam ręce, w które za chwilę wpada mała Alejandra.

– Cześć, słoneczko. Och, jak ja tęskniłam. – Całuję tę małą istotkę w czubek głowy. Bardzo tęskniłam. Nie tylko za samą Alejandrą, ale ogólnie tęskno mi za dziećmi w tym domu. Za ich przytuleniem, radosnym śmiechem. Nie nadrobi za trójkę, ale chociaż trochę cieplej będzie na sercu. Niedługo mała Cristina będzie dawała nam tutaj popalić. I bliźniaczki Pat.

Wstaję od stołu i witam się ze swoją szwagierką.

– Dawno cię nie widziałam. – Ściska mnie mocno. Odwzajemniam się tym samym. – Naprawdę dawno. – Odsuwa się i patrzy mi głęboko w oczy. – Tommaso jest na pewno dumny i ma ciebie w swojej opiece. Nas wszystkich.

Zaczynam czuć ucisk w gardle, który z każdą chwilą jest mocniejszy. Wykrzywiam tylko usta w wymuszonym uśmiechu. Cholera, nikt nie ma pojęcia, jak trudno mi ogarnąć tę sytuację na dwóch frontach. Aż się boję, jak później wszyscy zareagują i za kogo będą mnie uważali.

– Nunzio w pracy? – pytam, na co Sylvia potakuje głową. – Ma dużo obowiązków, wiem, przepraszam, ale niestety na razie tak będzie. Ja mam sporo na głowie i chciałabym jak najszybciej to skończyć. Wierz mi, najchętniej zrobiłabym to sama, ale w tej sytuacji nie dam rady, a nawet nie mogę. Pablo i Carlo pilnują mnie, i wielu rzeczy zabraniają samej robić. Myślałam, że to ja tutaj jestem od zakazów, nakazów i rozkazów, ale chyba się myliłam.

– I bardzo dobrze, że cię pilnują. Nie możesz się narażać. I przestań! Gdyby nie Alejandra, to sama też chętnie bym ci pomagała, ale niestety, ktoś musi pracować, a ktoś zajmować się domem. Choć sama nie wiem, co jest trudniejsze. – Chichocze.

No tak. Zajmowanie się domem to w sumie prowadzenie takiej małej mafii. Masz swoich małych capo, którym raczej nie możesz się przeciwstawić. Jak popełniasz jakieś zbrodnie – na przykład zjadasz tabliczkę czekolady swojego dziecka – to musisz jak prawdziwy mistrz zacierać te ślady. Do

tego trzeba być dobrym aktorem, bo jak dziecko przypomni sobie o tej czekoladzie, to musisz w idealny sposób odgrywać swoją rolę i pomagać mu szukać, dawno już zutylizowanej, tabliczki. Oj tak. To nie jest łatwe zadanie.

Po parunastu minutach mała Alejandra biegnie do domu. Zapewne pomęczycy Irene o jakiś deser. W tym czasie dołącza do nas mama Ninetta. Odświeżona i elegancka razem z nami popija kawę w ogrodzie. Zerkam na zegarek. Za jakąś godzinę powinni wstać panowie, więc pojedziemy do szpitala.

– Dzień dobry, wszystkim. – O proszę. Nawet nie godzinę. Ninetta i Sylvia witają się z Pablem. Już mam odwrócić głowę, żeby na niego spojrzeć i się przywitać, wpytując przy tym o szczegóły związane z Camillą, ale czuję na swoich barkach ramiona, które owijają mnie wokół szyi i mocno ściskają.

– Dziękuję, Rosa. – Falconi przytula mnie od tyłu. Dotykam dłonią jego przedramienia i lekko je ściskam. Cholera jasna. Oczy zaczynają się szklić, kiedy słyszę ciche westchnienie przy moim uchu. – Dziękuję, nie wiem, jak się odwdzięczę. – Mam tak bardzo ściśnięte gardło, że wiem, że jak się odezwę to po mnie. Będę beczeć. Głęboki oddech, spokój.

– Nie ma za co, Pablo. To jest nic w porównaniu do tego, co ty robisz dla mnie. – Cofa ręce i siada obok na krześle. Po policzku sływa mi jedna łza.

Jaki ze mnie mięczak. Szybko ją wycieram i wstaję, żeby pójść na górę.

– Przepraszam was na chwilę. – Długimi susami przemierzam schody, mijam bawialnię i udaję się do... ale chwileczkę. Drzwi do pomieszczenia są uchylone. Cofam się.

– Tęsknię za wami. Najbardziej za tobą, Biani. W sumie za chłopakami też mocno. A ciocia Rosa jest taka smutna, jak was nie ma. Chyba tak samo bardzo smutna jak ja.

Moje serce znowu pęka.

Wsuwam się do bawialni, chcąc pozostać niezauważona, ale mała Alejandra jest bystrzejsza.

– Ciociu...

– Tak, skarbie? – Wyduszam i mimo wszystko próbuję się uśmiechnąć. Chociaż delikatnie, aby nie dać poznać po sobie bólu, jaki mnie wypełnia.

– Ja tak bardzo za nimi tęsknię. Gdybym mogła oddać wszystkie swoje zabawki za to, żeby mogli wrócić, tobym oddała bez zawahania.

I w tym momencie pękam nieodwracalnie. Rozsypuję się.

Jak małe, bezbronne dziecko, któremu właśnie ponownie zawala się świat.

EMANUELE

Jezu, cóż to była za emocjonująca noc. Chyba żaden sparing nie dał mi tyle adrenaliny co kilkugodzinny pobyt na porodówce. Niesamowite przeżycie.

Zerkam w dół. Cholera, ale brudas. Zasnąłem w garniturze jak jakiś menel. Ech, dobrze, że Elena tego nie widzi, bo słuchałbym, jakim to ja niewychowanym człowiekiem jestem.

Wygrzebałem z szafy jakiś ręcznik, więc udaję się do łazienki. Ściągam górne części garderoby i wrzucam je do prania. Nawet cholerny garnitur przesiąkł obrzydliwym zapachem szpitala. Wyciągam pasek ze spodni i zsuwam je w dół. *O, kur...* Moje udo wygląda, jakby wbił w nie pazury jakiś wilkołak. Pięknie. Masz krzepę, Patrizia. Kręcę głową sam do siebie. Pięknie się zaczęła ta nasza przygoda we Włoszech.

Odświeżony schodzę na dół. Dziś jest gorąco, więc postanowiłem założyć szorty. Może nie podsunę się w górę, ukazując moje piękne, fioletowe znamię.

Dźwięki dobiegające zza szklanych, dużych drzwi przykuwają moją uwagę. Wychodzę zatem na zewnątrz i rozglądam się dookoła. Przy stole siedzi Rosa razem z dwiema kobietami, a Pablo bawi się z małą dziewczynką w piaskownicy. Trochę mi wstyd, że nie pamiętam wszystkich imion, byłem tutaj zdecydowanie zbyt rzadkim gościem. *Signorę* Ninettę kojarzę, druga z kobiet na pewno nie jest mi obca, widziałem ją parę razy, ale tej małej nie pamiętam zupełnie.

– Ooo, nasz twardziel – odzywa się Pablo. Złośliwy fiut. Gdyby nie to dziecko przy nim pokazałbym mu środkowy palec, ale zachowam się z klasą.

Puszczając mimo uszu głupi tekst, podchodzę do stołu.

– Dzień dobry. – Najpierw kiwam głową do Ninetty Coletti, później podchodzę do dziewczyny, której imienia nie kojarzę. – Musisz mi wybaczyć, ale nie pamiętam, jak masz na imię.

– Sylvia. – Uśmiecha się. – Nic nie szkodzi, troszkę nas tu jest, a ty byłeś rzadkim gościem, więc masz prawo nie pamiętać wszystkich.

– Cześć, siostra. – Witam się z nią, czochrając przy tym jej włosy. Zasiadam na krześle obok niej i szybko skanuję jej twarz. – Płakałaś?

– Nic się nie stało, Emanuele. – Zbыва мне krótko i nasuwa na oczy ciemne okulary. Chrzękam niezadowolony z takiej odpowiedzi. Nie lubię, jak ktoś próbuje coś ukrywać, a moje adwokackie oko widzi, że coś jest jednak nie tak. – A. Dzień dobry, faktycznie, nie odpowiedziałam.

Wzdycham. Kobiety. Przekleństwo wszystkich mężczyzn.

Sięgam po szklankę i nalewam soku.

– Cześć.

– Cześć – odpowiadam dziewczynce, która wygląda jak mała kopia Nunzia. – Jak masz na imię?

– Alejandra, a ty?

– Emanuele.

– Jesteś nowym żołnierzem? – Rosa wybucha śmiechem, a ja uśmiecham się lekko pod nosem. – O, ciocia w końcu się śmieje.

Moja siostra pochyla się i całuje czubek małej główki. Tak, ciocia w końcu się śmieje, powtarzam w głowie.

– Nie, jestem bratem tej pani. – Pokazuję palcem na, teraz już, *donnę*.

– O, to jesteś wujkiem. Super! Nie zastąpisz mi wujka Tommasa, ale też się cieszę. Chciałabym jeszcze Biancę, Vincenta i Adriana mieć tutaj, może Bóg mnie posłucha i też kogoś ześle, żebym nie była jedynym dzieckiem w tej rodzinie. – Odbiega od stołu, a ja jestem w szoku. Nie wiem, co mam powiedzieć ani jak zareagować.

Wszyscy milczymy, nie potrafiąc w żaden sposób się wystawić. Jak to jest, że dzieci czasami potrafią nas tak bardzo zagiąć? Pamiętam, jak trójca nieraz wbijała mi ćwieka.

Spoglądam kątem oka na Rosę, której spod okularów wypływa łza, a ona sama próbuje ukryć grymas żalu, zaciskając usta w wąską linię. Chrzęka pod nosem i szybkim ruchem się wyciera.

– A co ty tam masz? – Zmienia temat i odwraca naszą uwagę od tego, co powiedziała Alejandra.

– Tygrys cię dziabnął? – Spoglądam na udo. Pieprzone krótkie spodenki.

– Tygrysica – wtrąca Pablo, który właśnie opada na krzesło po mojej prawej stronie. Fiut.

W drodze powrotnej do domu tak mocno tarłem udo, że nie sposób było tego nie zauważyć, więc musiałem mu wyjaśnić, jaki jest tego powód. Jego naśmiewania się nie było końca. Wrzucam winogrono do ust i pozostawiam to bez komentarza.

– Emanuele?

– To nic.

Rosa ściągga okulary i patrzy na mnie tak, jakby chciała zabić.– Ech – wzdycham

– Patrizia mnie trzymała za udo, jak rodziła – wyjaśniam, na co Falconi wybucha głośnym śmiechem. – Się, kurwa, ciesz. Zobaczymy, jaki będziesz kozak przy porodzie Camilli, jak zamiast za udo złapie cię za jaja i razem z nią będziesz miauczał na porodówce na wysokim C. – Wszystkie kobiety wydobywają z siebie głośny rechot. Obrzucam spojrzeniem Pabla, którego twarz przybrała purpurowy odcień.

Wrzucam kolejne winogrono do ust i rozgryzam je z głośnym mlaśnięciem.

– Uh, to będzie poezja, a wtedy to ja będę się śmiał, jaki to z ciebie twardy zawodnik, Pablo Falconi, bo baba będzie trzymała w rękach całe twoje męstwo.

Czasami boimy się okazać słabość i przyznać przed sobą, że mamy dość, więc jak przyznać się do tego przed kimś? Zdarza się tak, że skumulowane emocje wybuchają w najmniej oczekiwanym momencie. Wybuchają i sprawiają, że tworzą się bolesne rany. Nie takie na ciele.

Rozdział XV

Tylko takie na duszy.

ROSA

Siedzę i obserwuję małe, migoczące obrazy na monitorach. Mam zakaz przebywania w tym pomieszczeniu, ale dzisiaj, korzystając z okazji, że Pabla nie ma, postanowiłam sama się tu zaprosić.

Dziś wielki dzień. Patrizia wychodzi ze szpitala, a Camilla ma kolejne badania, więc obaj z moim bratem pojechali, żeby wszystko załatwić, jak należy. Przez te dwa dni, kiedy dziewczynki były pod obserwacją lekarzy i nie mogły wrócić do domu, ja miałam czas, aby razem z Ninettą przygotować u niej pokoje potrzebne dla całej trójki. Patrizia sama dała nam odczuć, że wolałaby być teraz jak najbliżej nas i nie chciała wracać do domu, w którym mieszkała z Eduardem. Ja też bym nie chciała przebywać w ścianach, które przypominają mi ciężkie chwile. U mnie za dużo się dzieje, więc lepiej, żeby tutaj ich nie było. Dom Ninetty jest bezpiecznym miejscem. Blisko mnie, dookoła żołnierze i co najlepsze – bezpośrednio obok domu Ninetty postanowiłam ogarnąć dom dla Pabla i Camilli. Nie chcę, żeby czuli się zobowiązani do bycia ze mną przez całą dobę. Mają swoje życie, a jako rodzice zaczynają nowy rozdział. Emanuele zapewni mi teraz towarzystwo i to na najwyższym poziomie. Kiedy Camilla już urodzi, przekażę im klucze i mam nadzieję, że będą zadowoleni.

– Miałaś tu nie wchodzić.

Ech. No i jest.

Carlo właśnie wchodzi do pomieszczenia.

– Weź, nie zachowuj się jak Pablo.

– To ty nie zachowuj się jak dziecko. Nie możesz tu być, więc zabieraj tyłek i do domu. Twój telefon dzwonił kilka razy. Jak zauważyłem, że leży bezpiecznie na blacie, to od razu wiedziałem, gdzie polazłaś. – Jakie maniery.

– Zapominasz się.

– Nie zapominam, Rosa! Mam ci przypomnieć...

– Nie, kurwa, nie masz mi przypomnieć! – Podrywam się z fotela. – Nie masz mi przypomnieć, jakie to jest kurewsko niebezpieczne. I nie masz mi przypomnieć, że muszę uważać! Bo ja świetnie pamiętam o tym każdego dnia. Codziennie rano budzę się, dotykam łóżka po stronie Tommasa w nadziei, że pod ręką zamiast zimnej, jebanej pościeli będzie ciepłe ciało mojego męża! Rozumiesz to?! Że jak będę szła zasranym korytarzem, to usłyszę krzyczące z radości dzieci! Ja wiem! Pamiętam, że muszę uważać! Ale wy nie wiecie, jak bardzo to boli. Nie wiecie, jak cholernie człowiek jest złamany w środku i jak bardzo chciałby pieprzyć wszystko to, co się tutaj dzieje, i zniknąć! Ale nie może, bo wtedy cała reszta rodziny miałaby przejebane, a tego bym sobie nie wybaczyła! Dlatego jestem tutaj i robię to, czego wcale robić nie chcę. Szczerzę zęby jak cholerny klaun w fundacji i wszędzie gdzie się pojawię. Bo szefowej mafii nie wypada okazywać słabości. Nic jej nie wypada prócz mordowania, więc jak mam ochotę przez cholerne pięć minut pobyc tu sama, żeby jakkolwiek naładować baterie, które nadają się na śmietnik, to się nie wpierdalajcie z łaski swojej. Najlepiej jest ciągle mnie upominać i rozkazywać! Wiesz, jaką my robimy wszystkim krzywdę?! WSZYSTKIM! Alejandra powiedziała do mnie, że oddałaby wszystko, żeby tylko trójca wróciła. Do Emanuelego powiedziała, że fajnie, że jest, chociaż nie zastąpi jej wujka Tommasa! Wtedy pękło mi serce nie na pół, nawet nie

na milion kawałków, a na cholerny biliard i nie mogę ich połączyć do kupy! Wyobrażasz sobie, jaki my zrobimy rozpiardol każdemu w głowie?! Bo ja wyobrażam i powoli zaczyna mnie to przerastać. Cały czas ktoś mnie upomina, wytyka zbyt szybkie i nieprzemyślane podejmowanie decyzji, a wy co zrobiliście?! Przemyśleliście swoją decyzję?! Skończcie mi mówić, co mogę, powinnam i muszę! Bo to ja tutaj jestem pierdolonym szefem. Może nieudacznym, ale nadal zasranym szefem! I ten zasrany szef każe ci teraz sprawdzić Eveline, która dziwnym zbiegiem okoliczności nie pracuje u nas od wypadku i nikt nie raczył mnie o tej sytuacji poinformować!

Wychodzę z trzaśnięciem drzwiami i udaję się do domu. Szlag. To powoli zaczyna iść za daleko. Nikt chyba nie przemyślał dokładnie konsekwencji, jakie poniesiemy wszyscy i jaką cenę przyjdzie nam zapłacić za te grzechy.

Przechodzę przez patio i przekraczam próg. Nie zastanawiając się długo, stawiam stopy na schodach do piwnicy. Potrzebuję treningu. Mocnego. Takiego, który wypali moje mięśnie i przy okazji wszystkie złe emocje, jakie ostatnimi czasy się we mnie gromadzą. Nie chcę przenosić swoich złości i frustracji na innych, ale czasami zwyczajnie, po ludzku nie daję rady. Parskam pod nosem. Po ludzku. Już dawno nie czuję się jak człowiek.

Kiedy dochodzę do salki bokserskiej, orientuję się, że nie mam telefonu, a trening bez muzyki nigdy nie wychodzi mi tak, jak powinien. Wracam na górę i zgarniam urządzenie leżące na blacie kuchennym.

NIEODEBRANE POŁĄCZENIE: MARTIN CARTER – 5

NIEODEBRANE POŁĄCZENIE: PABLO – 3

NIEODEBRANE POŁĄCZENIE: NUMER NIEZNANY – 1

Ostatnie ciekawi mnie najbardziej tylko szkoda, że nie można na nie odpowiedzieć. Wybieram numer Martina i ponownie zmierzam w kierunku salki bokserskiej.

– Już myślałem, że cię wykończyli – śmieje się do słuchawki.

– Mnie się nie da wykończyć, Carter – odpowiadam z przekąsem. – Jak na razie to ja staram się wykańczać wszystkich. Dzwoniłeś, żeby przekazać mi jakieś radosne nowiny?

– Właściwie to tak i nie – odpowiada. Aha. No i zapowiada się ekstra. – Radosna nowina to taka, że rozmawiałem z Sonią i pozbyłem się Penelope. Dla własnego bezpieczeństwa, ale przy okazji robiąc przysługę i wam. – Mhm. Nam.

– A ta mniej radosna?

– Nie wiem, gdzie jest moja siostra, bo nawiąta, jak tylko się dowiedziała, że poleciałem do Włoch. Chyba przeczuwała pismo nosem. Próbowałem uzyskać jakieś informacje od Penelope, ale też nic ciekawego się nie dowiedziałem. Znajdę ją, ale nie obiecuję ci, że to potrwa kilka lub kilkanaście godzin. Jak widzisz, trochę nie doceniłem swojej siostry. Nikt z nas jej nie docenił, więc tak naprawdę w tym momencie ona może być wszędzie. – Pieprzona prawda. Nikt nie docenił, bo nikt nie myślał, że jakaś podrzędna dziewczyna może zrobić coś takiego.

– Rozumiem. Zadzwoń później do Michelego i poproszę, abyście połączyli swoje siły. Tommaso jest jego kuzynem, rodzinie się nie odmawia, więc na pewno pomoże.

– Był.

– Jak to był?

– Był kuzynem Michelego, Rosa. Wiem, że trudno przyswaja się pewne informacje, ale o zmarłych mówi się w czasie przeszłym. Dlatego był. Ty cały czas mówisz o nim, jakby nadal istniał.

– Tak.. Faktycznie. – Odburkuję. Wymieniam jeszcze parę zdań i żegnam się z Carterem. Do Pabla nie oddzwaniam. Na pewno rozmawiał już z Carlem, a ja potrzebuję chwili dla siebie, bo inaczej pozabijam wszystkich dookoła.

Wkładam słuchawki do uszu i wciskam play na telefonie. *I don't dance* DMX-a tak to przyjemnie uderza w bębny ucha. Nasuwam rękawice i zaciskam pięści. Wyprowadzam pierwszy cios. Drugi. Kolejny. Uderzam, jak najszybciej mogę, wiszący worek i daję upust wszystkim złym emocjom.

O zmarłych mówi się w czasie przeszłym. W głowie cały czas miał się słowa, które usłyszałam od Martina.

O zmarłych tak, ale niektórzy zmarli...

Są w stanie zrobić nam zajebiste *paranormal activity* i powstać z martwych.

Rozdział XVI

ROSA

– Czekaliśmy na was.

– A my nie mogliśmy się doczekać wyjścia ze szpitala. – Uśmiechnięta Patrizia przekracza próg domu Ninetty. Za nią z jednym nosidełkiem w ręku kroczy Carlo, a z drugim... Mój brat. Jaki śmieszny widok. Szczerczę się szeroko i poruszam wymownie brwiami w jego stronę. Odpowiedź, jaką dostaję, jest ambitna: pukanie palcem w czoło, a to wywołuje u mnie natychmiastową reakcję. Niekontrolowane chichotanie.

Powolnym krokiem podchodzę do niego i zaglądam w głębi nosidełka.

– Ojej, cześć, aniołku. – Wyciągam rękę, aby dotknąć małej dłoni, ale zatrzymuje mnie pacnięcie wielkiej łapy.

– Umyłaś ręce? Nie. Więc nie dotykamy. – Ze zdziwienia otwieram i oczy, i usta, bo takiej reakcji mojego brata się nie spodziewałam. Ninetta radośnie coś podśpiewuje pod nosem, udając, że to na pewno przypadkowa radość, a Sylwia ledwie powstrzymuje śmiech. O ty dupku... Do mnie? W ten sposób? My się jeszcze policzymy.

Pat poszła się ogarnąć i odświeżyć, Carlo razem z Emanuele'em postanowili poskręcać bujaczki, które Ninetta kupiła dziewczynkom w prezencie, a nie było kiedy tego zrobić – tak swoją drogą jestem ciekawa, czy panowie sobie poradzą z tym jakże ważnym zadaniem – no a ja razem z Sylvią wybrałyśmy pomoc Grecie – gosposi mamy – w przygotowaniach do obiadu. Trochę mi głupio, że podczas pobytu mojej szwagierki w szpitalu byłam tam jedynie raz i nawet nie miałam okazji odbyć zbyt długiej wizyty. Za dużo obowiązków i własnych problemów. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że Tommaso, mając ich tyle samo, a nawet i więcej, bo ja część swoich przekazałam Nunziowi i Pablowi, potrafił zorganizować dużo lepiej czas dla rodziny niż ja. W tym muszę się jeszcze podszkolić, żeby choć trochę dorównać *donowi*.

Spoglądam na zegarek. Za chwilę powinni też dołączyć do nas Nunzio wraz z Alejandrą i wtedy cała rodzina będzie w komplecie. *Prawie cała*.

– Gotowe, bujaczki skręcone. – Oznajmia z dumą Emanuele. – Pokażesz mi, gdzie tutaj jest łazienka? – zwraca się do Carla. – Pójdę umyć ręce i zapytam Patrizię, czy nie trzeba jej pomóc w zejściu na dół – informuje, po czym razem znikają w głębi korytarza.

No proszę. Kto by pomyślał, że mój brat tak się wczuje w rolę opiekuna. To miłe, bo może Patrizia chociaż trochę odżyje i będzie jej łatwiej przystosować się do nowej roli, jaką w życiu dostała. Od śmierci Eduarda była zgaszona i trochę wycofana, choć tak naprawdę myślę, że spadł z niej wielki ciężar, który przez niego nosiła. Mimo że był śmieciem, to mocno go kochała, ale mam nadzieję, że teraz już o nim zapomni.

– Jak się czujesz jako mama?

– Dobrze. – Odpowiada nieśmiało, a ja nie daję za wygraną. Patrzę na Patrizię i wykonuję ręką gest, aby kontynuowała. – No naprawdę dobrze. Jest trochę ciężko. Nie wiedziałam, że samo karmienie przysporzy mi na początku tylu trudności i miałam mały kryzys, ale już jest okej. – Zerka na bujaczki, w których smacznie śpią oba maluszki. – Podziwiam, że ty tak świetnie poradziłaś sobie

z Biancą, Adrianem i Vinniem – dodaje odruchowo. Trochę się spinam na to stwierdzenie i odczuwam ogromną tęsknotę za swoimi trojaczkami.

A właśnie. Przez całe to zamieszanie zapomniałam zapytać o ich imiona. Ale wstyd. Kroję mięso znajdujące się na talerzu i wsuwam kawałek do ust. Poezja. Po chwili zastanowienia postanawiam zadać to – jakże pewnie ośmieszające mnie – pytanie.

– Nie wiem, czy tylko ja jestem do tyłu i nie wiem, czy nikt nie wie, ale jakie imiona nadałaś dziewczynkom? – Rozglądam się niepewnie po wszystkich znajdujących się przy stole. Ku mojemu szczęściu chyba nie jestem jedyna, która nie wie, bo i Ninetta, i Nunzio przestają żuć swój posiłek, i spoglądają na Patrizię, która dłubie w talerzu jak małe dziecko.

– Hmm... Eduardo chciał, żeby nazywały się Olivia i Vittoria – mówi niepewnie, a mnie jest cholernie smutno, bo pamiętam zupełnie inną Patrizię. Pełną radości i uśmiechu, żywą. Wszędzie było jej pełno, ale odkąd zaszła w ciążę, trochę się zmieniła. Im było dalej, tym gorzej. Ja wiem, że to hormony, i wiem, że śmierć Eduarda ją przybiła, a raczej to, że okazał się kłamcą, ale nie miałam pojęcia, że aż tak. Jest słabiej, niż myślałam. Już mam otworzyć usta...

– A ty czego chcesz, Patrizia? – Emanuele zadaje pytanie i wbija wzrok w siedzącą naprzeciwko niego dziewczynę, która nadal gmera widelcem w sałacie. – Patrizia. – Ponownie zwraca się do Pat, ale tym razem trochę głośniejszą i bardziej stanowczą, próbując tym zwrócić na siebie jej uwagę. O wow. Nie wiedziałam, że mój brat potrafi być jednocześnie tak spokojny i tak bardzo... Męski. Do tej pory wydawało mi się, że jest poukładanym i na co dzień spokojnym panem adwokatem. Chyba się myliłam.

Nadal cisza.

– Nie każ mi po raz trzeci wymawiać twojego imienia.

Obserwuję reakcję mamy Ninetty i w sumie spodziewam się za chwilę jakiegoś soczystego opieprzu, ale ku mojemu zdziwieniu siedzi dziwnie spokojna, przyglądając się całemu zajściu.

– N... No... Ja chciałam Valentinę i... – Patrzy na mnie pięknymi oczami przypominającymi mojego męża. – Rosalię. – Dziwne ciepło rozchodzi się w moim sercu. *Rosalia*. To chyba nieprzypadkowy wybór, bo zdrobnieniem od niego jest między innymi Rosa. Wybór imienia córki Pabla też nie jest losowy, ponieważ Cristina to imię zmarłej żony Carla, a że razem z nim uratowaliśmy życie wielu osobom, w tym właśnie jemu, przypuszczam, iż miał to być gest wdzięczności. Pamiętam, jaki Carlo miał wyraz twarzy, gdy Falconi poinformował, jak mała będzie się nazywała. Ja teraz pewnie wyglądam tak samo i jestem naprawdę wzruszona.

– A więc Valentina i Rosalia – kwituje mój brat. – Żeby nam zdrowo rosły i były tak dzielne jak mama. – Unosi kieliszek z winem, a za nim wszyscy siedzący przy stole. Tymi słowami Emanuele przywołuje delikatny uśmiech na twarzy dziewczyny. Odwzajemnia się tym samym i dodatkowo delikatnym mrugnięciem oka. Hmm... Wymiana ich spojrzeń nasuwa pewne przypuszczenia. Śmiem twierdzić, że w ciągu tych kilku dni coś się wydarzyło i zapewne za jakiś czas się przekonamy co dokładnie. Mój brat chyba postanowił wziąć na siebie ogromną odpowiedzialność, nie mając o tym nawet pojęcia. Oboje ją wezmą. Jeśli tak, to będę im dopingować jak najwierniejszy kibic. Ukradkiem rzucam spojrzenie na Ninettę, która uśmiecha się pod nosem.

Oho. Nie tylko ja będę kibicować.

W tym samym czasie...

Szpital...

PABLO

Siedzę pochylony na krześle przy łóżku Camilli i opieram czoło o materac. Jestem wypompowany. Tych kilka dni w szpitalu wykończyło mnie chyba bardziej niż wszystkie mafijne sprawy. Jeżeli ja stresuję się tak przed porodem, to co będzie w trakcie? Aż strach się nad tym zastanawiać. Całe szczęście, że zostało dosłownie parę dni i będziemy mogli zakończyć szpitalne wakacje.

Unoszę głowę. Cam śpi spokojnie, więc pozwalam sobie wyjść na chwilę na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Bezszelestnie wymykam się z sali. Przy drzwiach kiwam głową na przywitanie chłopakom, którzy niedawno przyszli na swoją wartę. Teoretycznie jest to zbędne, bo ja nie jestem Coletti. Nie jestem nikim ważnym w strukturach mafii, żeby chcieć krzywdzić mnie lub kogoś mi bliskiego, jednak bardzo się cieszę, że Rosa w ten sposób potraktowała Camillę, zapewniając jej najlepszą opiekę pod każdym względem.

Przed szpitalem spotykam jeszcze dwóch z naszych żołnierzy. Z nimi również się witam i odchodzę trochę dalej, żeby wykonać parę telefonów. Obecna sytuacja nie zwalnia mnie z wykonywania swoich obowiązków, więc wyciągam urządzenie w poszukiwaniu numeru, pod który chcę zadzwonić.

POŁĄCZENIE PRZYCHODZĄCE: CARLO

– Oj, Carlo. Tęsknisz za mną?

– Taa, tak bardzo, że prawie płaczę. Jak Camilla?

– W porządku. Choć zaczyna ją powoli łąpać jakaś chandra. Mnie przez to wszystko też. Dzisiaj wrócę na noc, jutro mam parę spraw do załatwienia razem z Rosą.

– Mhm. Świetnie, tylko uważaj, żebyś nie dostał opierdolu.

– Co?

– Oberwało mi się za nas wszystkich, kurwa. Takiego opieprzu i takich gorzkich żali nie słyszałem od niej nigdy. Wiesz, kto powinien tego wysłuchiwać? – Oczywiście, że wiem kto, ale niestety nie tym razem. – Powinienem być zadzwonić i przekazać jej słuchawkę. Ech. Wydaje mi się, że trochę ją jednak przerasta ta cała sytuacja. Wszyscy myśleliśmy, że jest silna, ale to jednak nadal kobieta, Pablo. Żona i matka, więc dla niej podwójny ciężar. To nie był najlepszy pomysł. Zbyt pochopnie podjęte działania.

– Może i nie był, ale nie był też nasz. I musimy to uszanować. Teraz jest za późno, żeby się wycofywać. Nie, kiedy to zaszło tak daleko i częściowo wiemy, na czym stoimy. Jeszcze najważniejsze przed nami, czyli pozbycie się Sonii. A wtedy będzie już tylko lepiej, Carlo. Wspólnie to ogarniemy i nie możemy się poddawać. Ani ona, ani my.

Coraz głośniejszy dźwięk syren oznacza, że do szpitala zbliża się karetka. Prawie nie słyszę Carla, więc proszę, aby przez chwilę wstrzymał się z rozmową. Na podjeździe pojawia się ambulans. Ratownicy medyczni szybko wyskakują z kabiny pojazdu i otwierają tylne drzwi. Na wysuwanych noszach leży dziewczyna. Wygląda dość blado i pomimo założonej maski tlenowej jej twarz wydaje mi się znajoma, na pewno. Personel karetki i pracownicy oddziału ratunkowego, którzy wybiegli do pomocy, szybko wymieniają kilka zdań. „Próba samobójcza. Dwa razy reanimowaliśmy. Trzeciego może nie przeżyć” – informuje jeden z sanitariuszy. O jasna cholera. Taka młoda dziewczyna? Co musiało zdarzyć się w jej życiu, że podjęła decyzję o tak drastycznym kroku?

– Rosa kazała nam sprawdzić tę gosposię, która zwolniła się po wypadku. Eveline, pamiętasz? Podejrzewa, że jej nagłe odejście jest dość dziwnym zbiegiem okoliczności. Spróbuję ustalić jej obecne miejsce pobytu. – Głos Carla przywołuje mnie z powrotem na ziemię. I wtedy mi świta, skąd ją znam.

– Nie musisz – odpowiadam. Ratownicy znikają za drzwiami oddziału ratunkowego, a ja podążam ich śladem.

– A to wiesz, gdzie ona teraz jest?

– Wiem. Właśnie przywieźli ją do szpitala, więc teraz usiądź i módl się, żeby nie wyciągnęła nóg.

Rozłączam się. Jeżeli cokolwiek wie na temat wybuchu, to lepiej dla nas żeby była żywa. Przynajmniej na razie.

Rozdział XVII

ROSA

Umowy. Umowy. Umowy. Od wszystkich tych wiążących papierzysk boli mnie już głowa. Będąc u boku Tommasa i wtykając nos – jak to twierdzili on i Pablo – starałam się być jak najbardziej zagłębiona w biznes. Szkoda tylko, że nigdy nie chciałam usiąść do papierologii, bo może szłoby mi to teraz dużo łatwiej.

– Co? Nudna robota? – Mierzę wzrokiem Emanuelego. – Och, już nic nie mówię.

– Nie znoszę przy tym siedzieć. Nie wiem, jak można spędzać tyle czasu za biurkiem. Przecież to nudniejsze niż oglądanie telenoweli.

– Nie każdy jest stworzony do takiej pracy. – Wzrusza ramionami i przekłada kolejny stosik zadrukowanych kartek. – Ja tam lubię czytać, sprawdzać, czy wszystko się zgadza. Dlatego zostałam adwokatem. Choć nie do końca tak sobie wyobrażałam moją pracę.

– No, adwokat diabła ma zdecydowanie więcej pracy niż zwykła papuga – nabijam się. Rzucam długopis na gromadkę papieru, okulary przesuwam na czubek głowy i osuwam się na oparcie fotela. – Ja też nie do końca tak wyobrażałam sobie swoje życie. A już na pewno nie to w mafii. Początek znajomości z Tommasem nie był kolorowy. – Uśmiecham się sama do siebie na myśl o naszym poznaniu. – To było popieprzone. I chore plus skrajnie nieodpowiedzialne. A jeszcze jak usłyszałam pierwszy raz sformułowanie „*don Tommaso*”, to zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie jest jakiś żart. – Wstaję i podchodzę do przeszklenia. Przez dłuższą chwilę obserwuję ludzi, którzy są już w klubie. Emanuele staje ramię w ramię ze mną. – Nigdy nie myślałam, że swoje całkiem spokojne i poukładane lekarskie życie zamienię na taki rollercoaster jak mafia. A jak już je zamieniłam, to starałam się jak najbardziej wspierać Tommasa, mimo że często się nie zgadzaliśmy. I cały czas słuchałam, że to nie miejsce dla mnie, że ja powinnam siedzieć w domu. Ale to nie byłoby moje życie. A teraz... Oddałabym naprawdę wszystko, Emanuele, żeby właśnie tak było. Kura domowa, której mąż jest szefem choleryjnej *famiglia*. – Odgarniam włosy za ucho i oplątam się ramionami jak małe dziecko, które czasami czuje się bardzo zagubione w tym wielkim i okropnym świecie.

Ostatni raz przeczesuję wzrokiem parkiet i wracam za biurko. Przesuwam dłoń po blacie i zatrzymuję wzrok na zdjęciu, które na nim stoi. Naszym zdjęciu. Moim i Tommasa. Cholera, ale mam dzisiaj sentymentalny dzień.

– Nieraz doprowadzałam go do granic możliwości i testowałam jego cierpliwość, a on? On był zawsze dla mnie takim Tommasem, jakim obiecał, że będzie. Dobrym, kochanym i cierpliwym. Starał się załatwiać każdy konflikt. Tęsknię jak jasna cholera i bardzo chcę, żeby to wszystko się już skończyło...

Emanuele siada naprzeciwko mnie i luzacko zarzuca kostkę na kolano. Przystawia palce do ust i przez chwilę siedzi w milczeniu, nie ruszając nawet powieką.

– Wiesz... Zauważyłam jedną rzecz. – Patrzy na mnie coraz bardziej podejrzliwie. Czuję się trochę nieswojo. – Cały czas mówisz o Tommasie i dzieciakach, jakbyś miała nadzieję, że jak się skończy cały ten cyrk, to oni wrócą. Nie używasz słowa „umarli” albo „zginęli”. Mówisz „zniknęli” lub coś podobnego. – Oj, Emanuele, nie tak, nie snuj teorii. – Ja wiem, że ty jesteś twarda babka, ale jakoś

trudno mi sobie wyobrazić tak szybkie poskładanie się do kupy po ŚMIERCI – akcentuje ostatnie słowo – nawet w twoim przypadku.

– Nie masz dzieci, więc nie wiesz, jak by to wyglądało u ciebie. Tym bardziej gdybyś obrał za cel zemstę. – Próbuję ratować się z opresji i na oczekaniu wymyślam dość mocny moim zdaniem argument. Trochę jak zagoniona do pułapki zwierzyzna. Tak się właśnie teraz czuję. – I wierz mi, że ja zniosłam to ciężko... Bardzo. Chciałam nawet... – Zatrzymuję się na chwilę. Nie powinnam nikomu mówić, że upadłam tak bardzo, by chcieć zrobić tak straszną rzecz. – Strzelić sobie w głowę w gabinecie Tommasa, ale w ostatniej chwili znalazł się tam Pablo. – Mój brat patrzy na mnie jeszcze bardziej podejrzliwie. Jasna cholera.

– Szczerze? W tym momencie zaczęłam się głębiej nad tym zastanawiać i stwierdzam, że to cholernie dziwne. Zwłaszcza po próbie samobójczej.

– Bo ja jestem jak feniks, Emanuele. Ten z Pottera. Umieram, a za chwilę odżywam na nowo. – Mina mojego brata doprowadza mnie do szału. Mam ochotę pacnąć go w ten czarny łeb. – Może zamiast skupiać się na mnie i tworzyć dziwne teorie – nalewam do szklanki soku i biorę łyk – skupmy się na tobie... tatusiu – mówię, a wyraz twarzy mojego brata z podejrzliwej zmienia się w lekko zaskoczoną i speszoną. – Wczułeś się w rolę opiekuna dziewczynek bardzo mocno. Czy się mylę?

– Pomagam Patrizii, Rosa, to nic wielkiego. Normalny, dobry uczynek.

– Mhmm. – Mruczę z przekąsem. – Na pewno. Wasza wymiana spojrzeń podczas obiadu też mówiła, że to nic wielkiego. I takie poświęcenie jak wielki siniak na udzie to też nic wielkiego. – Naśmiewam się. Emanuele pociąga łyk whiskey ze szklanki. I zaraz drugi. – Zestresowałeś się?

– Jesteś okrutna. Specjalnie zmieniłaś temat, ale w porządku. – Rozsiada się wygodniej i luzuje krawat. Czyli zestresowany. Wiedziałam. – Lubię te maluszki. Mimo że czasami bywają megairytujące, bo płaczą, a ja nie wiem, o co im chodzi. – Robię minę pod tytułem „Tak, tak. Na pewno tylko o to chodzi”. – Są jak dwa małe aniołki. Valentina, jak się urodziła, była tak cicha, że zastanawiałem się, czy na pewno wszystko z nią w porządku, za to Rosalia to całkowite jej przeciwieństwo na porodówce. – Śmieję się głośno i jednocześnie jestem pod wielkim wrażeniem, że Emanuele pamięta, która z bliźniaczek jaka była tuż po pojawieniu się na świecie. – Nie śmieję się, Ros, jest tak samo irytująca jak jej cioteczka. – Tym razem to on kpi sobie ze mnie. – Ech... Poród to było dla mnie niesamowite wydarzenie. Z jednej strony chciałem cię za to udusić, a z drugiej dziękować, że mogłem tego doświadczyć, bo sam pewnie nigdy nie będę miał dzieci. – Dopija drinka. – Przynajmniej nie w tym życiu.

– Nigdy nie mów nigdy. Patrizia to jeszcze młoda dziewczyna. Val i Ros trochę podrosną, a wtedy kto wie... – Emanuele puka się w czoło i wraca do papierów.

Biorę z niego przykład i także zaczynam przeglądać leżące przede mną kartki. Jeszcze raz zerkam na brata i się uśmiecham.

Oj, braciszku. Życie bywa nieprzewidywalne. I jeszcze wszyscy się o tym przekonamy.

PABLO

Na samą myśl o spotkaniu z Rosą boli mnie głowa. Chryste. Robię się jak baba, która ciągle ma migrenę. Niesamowite. Przebywanie z Camillą przez tyle godzin sprawia, że nabieram babskich pierwiastków. Zaraz zacznę marudzić i jeździć na zakupy. Co za świat.

Przechodzę przez parkiet Publicco i kieruję się do wejścia znajdującego się za taflą wody. Po drodze witam większość pracujących dla Colettich ludzi.

– Ja pukam, ty z nią rozmawiasz. Ja się dzisiaj nie odzywam. – Zerkam przez ramię na Carla, który wydaje się całkiem poważny.

– Wracamy do szkoły? – Patrzę na Carla, który unosi brew. – Ja pukam, ty mówisz. Tak samo było w szkole. Ty się obraziłeś? Jak mały dzieciak?

– Nie, ale nie będę zbierał opierdolu za wszystkich. Ani cięgów za to, że chcę dobrze, ale oczywiście ona tego nie docenia. Pierdolę ja już to wszystko. Czasami mam dość. Łatwiej się pracowało z Tommasem niż z nią. – To fakt.

To ja jednak jako pierwszy pukam do gabinetu i nie czekając na zaproszenie, wchodzę, a tuż za mną Carlo. Emanuele i Rosa siedzą przy biurku zawałeni stosem kartek.

– A my dzisiaj nie mieliśmy się bawić w „prawda czy fałsz?” – pytam, a *donna* unosi głowę i patrzy pytająco. – Wariograf?

– Aaa... No coś ty. Ja żartowałam. Myślisz, że mamy na to czas? Przesłuchać tylu ludzi? Chciałam sprawdzić reakcję wszystkich na tę wiadomość. To też dużo podpowiada. Zapomniałam wam powiedzieć, że to był tylko taki, wiecie... *Joke*. – Robi znak cudzysłowu w powietrzu. No to chyba żart.

– Kurwa, świetnie, to ja przez parę dni siedziałem w cholernej piwnicy z jakimś gościem, który ma przeprowadzać te badania, i ogarnialiśmy sprzęt tylko po to, żeby usłyszeć, że jednak to był blef? – Carlo warczy mi do ucha. Jakby nie mógł powiedzieć tego głośno.

– Co? – pytam, udając, że nie słyszałam. – Możesz głośniej?

– Nic – odburkuje.

– Ojej, kogoś osa uźdliła w dupę? – pyta Rosa, lecz on nie odpowiada. Nawet nie patrzy w jej stronę. – Ty się na mnie obraziłeś, Carlo?

– Nie. Nie obraziłem, ale nie będę przyjmował batów za nic, Rosa. Dlatego lepiej jak cofnę się krok i pozostanę tylko żołnierzem, a nie żołnierzem i kumplem w jednym. Tommaso potrafił zjebać nas od góry do dołu, ale tylko wtedy, kiedy zasłużyliśmy. Ja sobie nie zasłużyłem i nie będę ukrywać, że lekko się z tego tytułu wkurwiłem. Teraz mogę ci powiedzieć, że niestety, ale Eveline popełniła samobójstwo. Możesz i za to mnie opieprzyć, choć to przecież nie moja wina, ale co tam. Jak już jebać to od góry do dołu.

Juhuu. Medal dla mistrza oznajmiania wiadomości leci do Carla. Zacznijmy zabawę. To teraz brakuje nam tylko noży w obu rękach i napięprzanka. Albo nie. Rękawic. To coś, co Rosa lubi najbardziej. Objąć czyjeś gęby.

Wstaje od biurka i podchodzi do Carla.

– Samobójstwo? Cholera. Sprawdź dlaczego. Czy miała jakieś problemy i takie inne pierdoły.

– Sprawdziłem. Nic a nic. Pieniądzy jej nie brakowało. Z rodziną miała dobry kontakt. Coś jeszcze, szefowo?

– Masz... rację.

Nowość. Rosa przyznała mu rację. Czekać, zapiszemy to w kalendarzu na czerwono.

– Nie powinnam była wyładowywać na tobie swojej frustracji – kontynuuje. – Po prostu jestem trochę zbyt mała na to wszystko i nie zawsze dzieje się tak, jak bym chciała. Pablowi też oberwało się za cały ten cyrk, kiedy powiedział mi o wszystkim tuż po tym, jak chciałam się postrzelić. Wierz mi.

Carlo patrzy na mnie, a ja jedynie wzruszam ramionami, bo co innego miałbym zrobić. To prawda. Też mi się oberwało i jeszcze nie raz się oberwie, ale czy kogoś to obchodzi? Nie.

– Wybacz. Nie chciałam, żeby to tak wtedy zabrzmiało. Poza tym jestem przed okresem, a wiecie, wtedy hormony i te wszystkie sprawy się kumulują i biorą górę. Zachowujemy się czasami jak wściekłe pokemony – żartuje.

Carlo wywraca oczami.

– Przeprasiny przyjęte. Tylko ze względu na ten okres. – Naśmiewa się.

- Noo... Bóg doskonale wiedział, co robi, dając kobietom okres raz w miesiącu – wtrąca Emanuele.

- Dlaczego?

- Bo mają we krwi tyle zła, że trochę jej trzeba upuścić. Po okresie są potulne jak baranki, a później parę dni przed znów zaczyna się armagedon. Zauważyliście to?

We trzech wybuchamy śmiechem. Jedynie Rosa patrzy na nas ze złością w oczach. Wraca na fotel i wygodnie się w nim rozsiada, szczerząc się przy tym jak Joker: No... To zaraz będziemy mieli pierdolnięcie.

- Mhm... A mężczyźni są na tyle głupi, żeby to znosić, nas kochać i jeszcze nam ufać. Ja bym nie ufała stworzeniu, które krwawi kilka dni i nie umiera, a wy się w takich stworzeniach nawet zakochujecie. – Bierze długopis w rękę i z uśmiechem na twarzy pochyla się nad papierami.

Tak szybko jak zaczęliśmy się śmiać, tak szybko przestajemy.

No i przyszło „pierdolnięcie”.

Ojcie mafii. HELP!

Rozdział XVIII

ROSA

– Czy Martin się odzywał? – pytam Pabla, który zmierza za mną po schodach na parter domu. Zapinam mankiety koszuli. Przed wylotem muszę na chwilę wpaść do fundacji. Uhh. Kiedyś uwielbiałam to robić. Być na miejscu, brać udział w spotkaniach, doradzać i pomagać. Teraz jeżdżę tam jak za karę. Nienawidzę udawania i tych ciągłych kondolencji. Cieszę się, że robimy coś dobrego, ale skupianie się na mnie i ubolewanie nad moim losem czasami wyprowadza mnie z równowagi.

– Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. Przypuszczam, że Carter dzwoniłby bezpośrednio do ciebie. Jeżeli chcesz, wykonam telefon do kogoś z jego chłopaków.

– Nie, nie trzeba. W takim razie złożymy mu niezapowiedzianą wizytę. Minęło już kilka dni i chciałabym wiedzieć, na czym stoimy. Carlo trafił może na jakikolwiek ślad? Trochę zastanawiający jest ten fakt o Eveline. Ktoś, kto nie ma żadnych problemów, raczej nie targa się na swoje życie, nie uważasz?

Wychodzimy z domu. Wsuwam się na przednie siedzenie samochodu, a za kierownicą zasiada Pablo.

– Być może, ale ludziom nie zajrzesz do głowy. Mało jest przypadków chociażby wśród celebrytów, że ktoś popełnia samobójstwo, mimo że wie, że to bajkowe życie? Człowiek mierzy się z takimi demonami, o których się nawet nikomu nie śniło. Chyba sama doskonale to wiesz.

Nie odpowiadam. Tak, ja doskonale to wiem i faktycznie Pablo ma rację. Trochę racji. Czasami otoczka, jaką budujemy wokół siebie, jest tylko przykrywką. Często ludzie przybierają maski, żeby nas zmylić. Jedni wydają się poszkodowani przez życie, a tak naprawdę są szczurami, które kombinują, jak wykorzystać naszą empatię. Drudzy przywdziewają maskę twardziela, który sobie świetnie radzi, a w rzeczywistości jest zupełnie odwrotnie.

To tak jak u mnie.

– Nie musiałas tu przyjeżdżać.

– Chciałam, mamo. Dawno się nie widziałyśmy. Przez ten nawał pracy nie miałam kiedy przylecieć. Bardzo dużo spadło mi na głowę. – Głaszczę rękę Eleny, która leży w łóżku.

– Widzę, kochanie. Jesteś strasznie blada, może powinnaś więcej odpoczywać? – Zaciskam usta w wąską linię i usilnie staram się nie warknąć. Następna, która wypomina mi bladość, chociaż ja wcale tego nie zauważyłam. – No tak, zapomniałam, że szefowa mafii nie ma kiedy odpoczywać – dodaje.

– No właśnie, mamo. – Uśmiecham się, choć tak naprawdę chce mi się płakać. Moja mama to silna kobietka, a teraz leży przykuta do łóżka, przegrywając z jakimś kurestwem. W takich momentach zastanawiam się, gdzie jest Bóg. Czy w ogóle jest i w jakim celu zsyła na ludzi tyle ciężarów i chorób, które wykańczają. Jeżeli choroba Eleny miała być karą dla mojego ojca, Emanuelego i dla mnie za to, co złego zrobiliśmy w życiu, to jest skuteczna.

– Cieszę się, że przyjechałaś, teraz będę mogła odejść w spokoju. Strasznie żałuję, że tak rzadko widywałam trojaczki. – Mój Boże, nie. Tylko nie to. – Że byłam słabą babcią, bo powinnam częściej was odwiedzać i nie zwracać uwagi na chorobę. Żałuję, że nie zrobiłam tylu rzeczy w życiu, choć bardzo mocno chciałam, ale zawsze brakowało mi odwagi. – Z jej oczu zaczynają płynąć łzy. Kurwa

mać. Zaraz sama zacznę ryczeć. – Dlatego tobie niech nigdy nie brakuje odwagi, Rosa. Wiem, że teraz, gdy nie ma Tommasa, Adriana, Vincenta i Bianki, wcale nie chce ci się działać i iść do przodu, ale musisz. I świetnie sobie, dziecino, radzisz. Jestem dumna. I oni, patrząc z góry, też są dumni. Gdy będę już tam razem z nimi, to wyściskam ich mocno i powiem, że tak dzielnej kobiety jak ich mamusia nie spotkałam nigdy. A Tommasowi pogratuluję, że tak cię przygotował do życia w tym piekle.

Pękam. Nie wiem, który już raz w ciągu ostatnich kilku dni. Liczba kawałków mojego serca jest nie do zrachowania. To okropne. Moja umierająca matka myśli... Pochylam się nad nią i całuję białą jak porcelana policzek. Szepczę jej parę słów do ucha i cmokam jeszcze raz. Elena płacze jeszcze bardziej, ale tym razem delikatnie się uśmiechając.

– Powierzyłam ci największy sekret, jaki mam, mamo. Sekret wart ludzkie życie. Dla nich zawsze byłaś, jesteś i będziesz cudowną babcią, a Tommaso ciebie uwielbia. Eleno Provenzano, nigdy nie wątp w to, jak cudownym człowiekiem jesteś i ile dałaś nam wszystkim radości. Bez ciebie nasze życie nigdy nie będzie takie samo, ale mam nadzieję, że zaznasz teraz spokoju. Nie wybaczyłabym sobie po tym wszystkim, co usłyszałam, że mogłabyś myśleć tak okropne rzeczy. – Przytulam dłoń mamy do swojego policzka. – Przepraszam, mamo, to nie tak powinno wyglądać.

– Och, skarbie, zrobiłaś, co należy. Jesteś idealna do roli, jaką ci powierzono. Właśnie tym to udowodniłaś. Jestem dumna, Roso. Niesamowicie dumna. I spokojna. Jak nigdy przedtem. – Uśmiecha się i głaszcze mój policzek.

Po paru minutach wychodzę z pokoju mamy, aby ochłonąć. Opierając się plecami o zimną ścianę, wgapiam w swoje buty i normuję oddech, aby przywołać spokój i odgonić łzy. Przechodzę do salonu i zamieniam kilka słów z tatą, po czym udaję się na parking do samochodu.

– Jesteś jakaś bardzo... Wyciszona. Współczuję ci z powodu matki – stwierdza Pablo, a kiedy tylko kiwam głową, milknie i skupia się na drodze.

Skrzywdziliśmy wielu ludzi, a co najgorsze – tych bliskich dla nas. Nie wrogów, ale najbliższych naszemu sercu. Boję się myśleć o karze w następnym życiu za to, jakimi jesteśmy grzesznikami teraz.

MARTIN

– Lepiej mnie nie wkurwajcie! – warczę. – Jak, kurwa, można nie znaleźć człowieka w tych czasach? – Zwracam się do Kevina. – Jak!?

– Normalnie, szefie. Coletti też jak szukali Andrejewa, to im zeszło. Pamiętasz, ile czasu upłynęło?!

Cristopher, myślę, że gdybyś nie był moim najlepszym człowiekiem, dostałbyś właśnie kulkę w łeb.

– Ja nie jestem Coletti, a Sonia nie jest pieprzonym ruskim wojskowym, tylko tępą blondynką, która gra nam na nosie. – Nalewam kolejną szklankę złotej whiskey. Ta sytuacja doprowadzi mnie do białej gorączki albo zawału. Nie wiem, co gorsze. – Chcę znaleźć Sonię przed tym, jak Coletti włączy do tego Marokańca. To będzie idealna szpilka dla mnie. Wyraźny sygnał, że uważa nas za zasranych nieudaczników. – Chłopaki kiwają głowami i wychodzą z pomieszczenia.

Spodziewałem się tego, że moja siostra kiedyś przysporzy mi problemów, ale w życiu bym nie pomyślał, że na taką skalę. Odstawiam szklankę na bok i przysuwam laptop. Jeszcze raz przejrzę cholerne wyciągi z konta Sonii i bilingi rozmów. Może coś umknęło chłopakom.

– Wejść – odpowiadam na pukanie do drzwi.

– Szefie, ma pan gości – słyszę i unoszę głowę. – Niespodziewanych gości. – To już wiem, bo przecież nikogo nie miałem dzisiaj w planach przyjmować. – Ważnych gości.

– Wpuść.

– Dobry wieczór.

– Kogo jak kogo, ale ciebie to się, Roso, nie spodziewałem. – No, proszę jaka niespodzianka. Kiwam do Kevina, aby przysłał z czymś do picia jedną z kelnerek. Wychodzę zza biurka, żeby przywitać kobietę, kiedy do pomieszczenia wchodzi kolejny gość. – O. Ciebie też bym się nie spodziewał, Michele. – Najpierw witam się z *donną*, a później z Lucianem. Zapowiada się ciekawa rozmowa. Szkoda tylko, że niewiele będę miał do powiedzenia w tej sprawie, bo jak na razie gównu wiemy i gównu możemy.

Zapraszam przybyłych na sofę i sam siadam naprzeciwko. W tym samym momencie do pomieszczenia wchodzi młode dziewczyny z tacami. Jedna stawia przed Rosą lampkę wina, druga szkocką przed Michelelem. Oboje sięgają po drinki.

– A wdowy nie noszą obrączki na drugiej ręce? – zagaduję luźno. Dopiero zauważyłem, że Rosa swoją nadal nosi jako mężatka, a nie wdowa.

– Wdowy noszą – mówi z przekąsem i przesyła mi takie spojrzenie, że po plecach przechodzą ciarki. – Ja nie noszę. A ty się martw sobą, Carter, bo po tobie ani obrączki, ani słuchu nie będzie, jak zginiesz w tym smutnym jak pizda mieście.

Uhu. Ktoś chyba ma zły humor. Nie odpowiadam. Upijam mały łyk ze swojej szklanki.

– Przyjechałem z Rosą, żebyśmy mogli omówić parę rzeczy. Słyszałem, że to twoja siostra stoi za morderstwem, bo wybac, Carter, ale inaczej tego nie da się nazwać – mówi coś, co wiem i nawet nie zamierzam temu zaprzeczać. – Ustaliłeś, gdzie ona jest?

No i zaczniemy zabawę...

– Nie. Wszystkie bilingi sprawdzone. Przelewy, wypłaty. Żadne lotnisko nie odprawiło Soni Hopkins. Mogłem jedynie popytać w luźnych rozmowach, bo oczywiście dzięki waszemu rozpierdolowi z Andrejewem miałem na karku policję. I dalej węższą wokół mojej osoby przy każdej możliwej okazji, więc każdy uważa, a informatorzy trzymają się na uboczu. To kwestia czasu, aż ona się znajdzie, ale nie zrobimy tego w trzy dni.

– Niby mafia, takie możliwości, a jak przychodzi co do czego, to bywa, że całe gównu możemy. Czas jest akurat tym, czego mam najmniej. – Rosa jednym łykiem dopija swoje wino. – Tydzień. – Patrzy na mnie i Michelego. – Panowie, szanujmy się. Tydzień to dużo czasu. Obaj macie możliwości. Ja jestem daleko, więc nie mogę tyle co wy, chyba że chcecie mieć tutaj przy sobie Pabla. Martin, ewentualnie prześlij mi bilingi, my też zerknijemy – wpada na pomysł, na który w życiu się nie zgodzę. Nie potrzebuję tu włoskich żołnierzyków. Rosa wstaje i poprawia marynarkę. – Jeżeli w tydzień jej nie znajdziemy, ani wy, ani ja, to zawrę pakt z samym diabłem i wtedy on dołączy do poszukiwań.

– O kim ty mówisz?

– O Haririm – odpowiadam za nią Michelelemu, którego mina mówi sama za siebie. Tak, tak, bracie. Ja też bardzo mocno chcę z nim mieć do czynienia. Tak mocno, że na samą myśl mam ochotę się wyrzygać.

– Wiecie co, fascynuje mnie to, że jak ktoś o nim słyszy, to trzęsie spodniami. Ja też chcę tak na was działać. – Uśmiecha się szelmowsko.

– Nie chcesz.

– Oj, chcę.

– Nie, nie chcesz – powtarza za mną Michele.

– Panowie. Teraz chcę jeszcze bardziej. Im bardziej każdy mówi mi, że nie chcę, tym bardziej ja tego pragnę. – Zmierza w kierunku drzwi. Bardzo krótka i konkretna wizyta, jak widzę. – Chcę, aby nazwisko Coletti robiło takie samo wrażenie jak Hariri. Chcę, żeby każdy, kto je usłyszy, czuł to samo co wy teraz. Niechęć i strach. Wtedy będę się czuła bezpiecznie. I moja rodzina także. Zrozumcie, że ja nie chcę być niczym marzeniem, niczyją fantazją albo snem. Chcę być największym koszmarem.

Jak Candyman, którego imię wypowiedziane pięć razy sprawia, że budzi się potwór i wysysa życie z każdego grzesznika.

Po tych słowach Rosa wychodzi z mojego gabinetu, a my z Michele postanawiamy wyzerować całą butelkę whiskey.

– No, Luciano, zdrowie. – Unoszę szklankę w górę. – Obyśmy mieli go wystarczająco dużo, żeby przetrwać tę nierówną walkę dwóch zranionych jak dzikie zwierzęta kobiet.

Rozdział XIX

Trzy dni później...

PABLO

Przecieram oczy i spoglądam na zegarek, który wskazuje trzecią w nocy. Siedzę z jednym komputerowym mózgowcem w gabinecie Tommasa, żeby włamać się do kamer monitoringu w USA. Nie wiem, jak ten człowiek chce to zrobić, ale jeżeli mu się uda, to zapewne dostanie medal, bo już paru speców próbowało i, jak widać, do tej pory jeszcze nikt nie złamał barier ochronnych. Ja przeglądam bilingi i przelewy, które dostałem od Kevina. Niby sprawdzano je kilka razy, ale czasami nawet najlepszym coś umyka, więc ja zrobię to jeszcze raz.

– Wszedłem.

Co?! Przysuwam się bliżej chłopaka. Nie wierzę.

– Co mamy sprawdzić konkretnie? – dopytuje młody.

– Wszystkie kamery najbliższej tego adresu i tego konkretnego dnia. – Podsuwam mu kartkę pod nos, a on w kilka sekund wbija wskazany przeze mnie ciąg liter. Na ekranie pojawia się pięć kamer. – Szukamy blondynki, niewielkiej, szczupłej, która mieszka w tym budynku. Najprawdopodobniej powinna być z torbą podróżną. – Chłopak potakuje głową i przewija film. Razem z nim wgapiam się w przelatujące obrazy. Proszę bardzo. Po raz kolejny Włochy udowadniają USA, że są lepsze. Nawet w tym. – STÓJ! – W ułamku sekundy zatrzymuje nagranie. – Możesz cofnąć kilka sekund? – Robi to, a na ekranie ukazuje się ona. – Jebana suka. Jest. – ROSA! – krzyczę, nie zwracając uwagi na późną porę. Mija kilka minut i zjawia się w gabinecie z kubkiem kawy, który ściska w obu dłoniach.

– Coś ważnego? Bo przeglądam dokumenty, Pablo. – Za nią wchodzi do środka zaspany Emanuele.

– Mamy obraz z kamer. Teraz wystarczy prześledzić całość i będziemy w domu.

– No a co na tych kamerach? – Odwracam monitor i pokazuję, co udało się nam wyśledzić. To znaczy, co małolat wyśledził. Zupełnie niewzruszona ziewa i pociąga łyk kawy. – Całość? Ty wiesz, ile to nam zajmie? – mówi zmęczona. Spodziewałem się więcej entuzjazmu, ale chyba wycieńczenie organizmu wzięło tym razem górę nad jej umysłem.

– Dokładnie to czterdzieści osiem sekund. – Odpowiada chłopak, który nadal klika coś na komputerze. – Skan twarzy daje nam wiele możliwości. Program robi analizę i będziemy mieli obraz z każdej kamery tego dnia, gdzie i o której dana osoba się pojawiła.

– Co ty gadasz!? – W Rosę wstępuje nowa energia. Staje za plecami hakera, który kończy cały proces. W końcu mamy jakiś progres. Alleluja.

– San Francisco International Airport to ostatnie miejsce, w którym kamery zarejestrowały obecność tej dziewczyny. Konkretnie godzina 18.47.

– Możesz sprawdzić, jakie loty były tamtego dnia w takich godzinach? – Rosa przysuwa krzesło. Chłopak potakuje głową i zabiera się za dalsze działania. Od patrzenia, jak szybko klika w klawiaturę, dostaję oczopląsu. To ktoś może mieć tak sprawne palce? Patrzę na swoje łapy, a następnie na dłonie małolata. Serdele versus kabanosy. I wszystko jasne.

– Tamtego dnia były cztery, ale nie ma pewności, czy akurat tymi najbliższymi odleciała. Łącznie do końca dnia lotów odbyło się siedem. Konkretnie – wskazuje palcem na ekran – Dubaj, Srilanka,

Polska, Włochy, Holandia, Meksyk i Maroko.

O, proszę. Rosa podnosi głowę i uśmiecha się bardzo szeroko. Wiem, co ten uśmiech zwiastuje, i wiem, że teraz wszyscy razem potańczymy przy diabelskim kotle wspólnie z – patrzę na *donnę* – córką Lucyfera i cholernym Belzebubem.

ROSA

Świetnie! Te wszystkie informacje to zawsze jakiś mały krok naprzód! Minusem jest to, że nie wszędzie mamy jakieś kontakty, ale liczę, że albo w USA, albo w naszym wspomniałym Maroku będą mogli nam pomóc w sprawdzeniu każdego z wymienionych kierunków. Wyciągam telefon i wybieram numer, którego ostatnio używam najczęściej.

– Rosa, chyba musimy umówić się na randkę, bo często do mnie dzwonisz.

– Carter, niech cię nie ponosi fantazja. Nie jesteś w moim typie.

– Ach, no tak. Zapomniałem. Ja nie jestem dwumetrowym drwalem jak świętej pamięci Coletti. – Zaciskam usta, żeby nie strzelić niczego głupiego. – Co moje uszy dzisiaj usłyszą z tych jakże pięknych usteczek? – Martin, jesteś jednak wielkim dupkiem. Wzdycham głęboko, żeby usłyszał moje ubolewanie nad jego idiotyzmem.

– Sonię ostatni raz widziano na lotnisku. Musisz użyć swojego blasku i czaru do sprawdzenia, gdzie poleciała. Było siedem wylotów, więc tutaj też masz ułatwienie. Chyba że mam tam wysłać Pabla, bo sobie nie radzisz.

– Żart jak zawsze na poziomie – kpi. – Jak udało się to wam sprawdzić? Próbowaliśmy zhakować kamery, jednak zabezpieczenia cały czas nas wyrzucały.

Patrzę na młodego chłopaka.

– Jak widać, mam najlepszego człowieka od spraw IT, więc uznajmy, że to magia.

Młody podnosi wzrok zza ekranu, a ja dostrzegam jego lekko zaczerwienione policzki. Chyba powitam nowego członka naszej *famiglii*, choć nie wiem, czy tak młody chłopak poradzi sobie z tak dużym wyzwaniem, jak praca dla mafii.

– Mhm. – Martin burczy w słuchawkę.

Ja wiem, że Amerykanom zawsze trudno jest przełknąć to, że ktoś jest w czymś lepszy, choć nie miałam zbyt dużych nadziei, kiedy Carlo przywiózł młodego do naszego domu, a tu proszę. Miłe zaskoczenie.

– Dobra – dodaje – wyślij mi wszystko, co potrzebne. Od razu pojadę to sprawdzić.

Rozłączam się. Podsuwam chłopakowi adres, na który ma wysłać maila z najpotrzebniejszymi danymi dla Martina. Mam nadzieję, że uda mu się uzyskać konkretną informację, co zawęzi krąg naszych poszukiwań.

Zerkam na zegarek, który wskazuje prawie czwartą nad ranem. Cholera, doba ma zdecydowanie zbyt mało godzin. Ktoś mógłby pożyczyć mi chociaż kilka dodatkowych.

– Dobra, wszyscy jesteśmy już zmęczeni. Idziemy spać, bo rano będziemy mieli parę rzeczy do zrobienia – zarządzam, a Emanuele, który był nieobecny duchem przez całe nasze spotkanie, potakuje jedynie głową i znika za drzwiami swojej sypialni. – Jak ty się nazywasz?

– Angelo Milani, *donna* Coletti.

– I ile masz lat?

– Siedemnaście, *signora*. – Pablo odchrząkuje i strzela młodego w potylicę. – Skończę za osiem miesięcy. – Poprawia się i pociera tył głowy. Parskam śmiechem. A to faktycznie już siedemnaście, a nie szesnaście. Dorosły człowiek, nie ma co.

– Tak, my wszyscy też byliśmy kiedyś w takim wieku, że dodawaliśmy sobie lat. Poczekaj, aż minie ci trzydziestka. Wtedy będziesz te lata odejmował. – żartuję. Chłopak rozluźnia się i delikatnie uśmiecha, kiwając przy tym głową. – Więc, Angelo Milani, jeżeli zechcesz dołączyć do naszej rodziny, chętnie cię w niej powitam. Tylko musisz być świadom jednego – mówię, a on bacznie mi się przygląda, skupiając na tym całą energię. – Zapewne poznałeś historię mojej rodziny i wiesz, dlaczego szukamy tej kobiety. – Potakuje energicznie. – Ja nie wybaczam błędów. Nie wybaczam zdrady. Do *famiglia* przynależą ci, którzy chcą przynależeć. Nikogo nie zmuszam i nie trzymam na siłę, ale są to jednak swojego rodzaju wyrzeczenie i samodyscyplina. Mafia to nie zabawa i nie boisko do grania w piłkę. Jeżeli do niej wstępujesz, to z pełną świadomością nie tylko przywilejów, ale także konsekwencji.

– Tak jest, *donna Coletti*.

– Sprawdź go w każdym najmniejszym szczególe – rozkazuję Pablowi, choć czy to ma jakiś sens? Jako haker, i to świetny, może dowolnie zmieniać dane w swoich papierach. – Jeśli wszystko będzie w porządku, pokażesz mu, co i jak. Macie mieć na niego oko – zwracam się do Pabla. – A teraz wszyscy do spania.

Wychodzę z gabinetu i znikam za drzwiami sypialni. Czuję się jak neptyk. Mama chyba miała rację. Wszyscy mają ostatnio rację. Ja zdecydowanie za mało odpoczywam.

Zrzucam szlafrok i wsuwam się pod kołdrę. Głowę przekręcam w stronę, gdzie powinien leżeć Tommaso. Kładę dłoń na jego poduszce i rozżalona zaciskam na niej pięść.

Cholernie tęsknię, Coletti. Cholernie.

Rozdział XX

MARTIN

No i brawo. Włochy chciały udowodnić, że są chociaż krok przed nami, i udowodniły. Gdyby nie cholerne węszenie policji, które mamy między innymi dzięki podpaleniu zasranego magazynu, gdzie Rosa zrobiła rozpiardol, tobym już dawno wiedział, co i jak. I dlaczego nasz haker nie potrafił przebić się przez zaporę?

– Chciałeś mnie widzieć?

– Tak, Kevin. Pojedziesz na lotnisko i podpytasz o wyloty w dniu, kiedy zniknęła Sonia. Rosa ustaliła, że była na terminalach o konkretnej godzinie. Wszystko mi przestała. – Pokazuję mojemu człowiekowi informacje, które otrzymałem na maila.

– Sprawdziałem już lotniska i nie było tam żadnej odprawy.

– Skoro nie było odprawy Soni Hopkins, to może była odprawa kogoś innego. – Kevin lekko się spina. – Daliście dupy po całości, bo nie znaleźliście takiej informacji, coś nie tak?

– Nie, wszystko dobrze. Pojadę na lotnisko i popytam, chociaż z całym szacunkiem, ale uważam, że to strata czasu. Nie wiem, skąd Coletti wzięła takie informacje. Może to tylko blef albo ślepy traf?

– To bardzo proste. Zatrudniła hakera, który złamał zabezpieczenia i zhakował kamery. Coś, o co prosiłem ciebie, czyli żebyś ogarnął i poszukał najlepszego z najlepszych, udało się jej.

– Rozumiem – odpowiada krótko. Przyglądam się mężczyźnie stojącemu przede mną i przypomina mi się jedno zdanie, które powiedziała Sonia. *Najciemniej pod latarnią*. Co prawda nie chce mi się wierzyć, że tak zaufany dla mnie człowiek mógłby okazać się kłamliwym psem, jednak, jak już pokazało mi życie, nikomu nie można wierzyć w pełni. Zasada ograniczonego zaufania. Jak przy kobietach.

– Weź ze sobą Cristophera – rzucam luźno.

– Poradzę sobie. To tylko pieprzony wywiad na lotnisku, szefie.

– Haker cię przerósł i jedna wizyta na lotnisku także to zrobiła, więc teraz weź ze sobą Cristophera, Kevin. Im bardziej będziesz mnie przekonywał, że sobie poradzisz, tym gorszy będzie to miało skutek. – Wstaję i podchodzę do chłopaka, który wygląda na, delikatnie mówiąc, wkurzonego. – A może ty nie chcesz brać ze sobą Crisa, bo mógłby odkryć coś, czego nie chciałbyś, żeby odkrył?

– Coś sugerujesz?

– Ja? Skąd. – Wyciągam telefon z kieszeni spodni i dzwonię do Crisa. – Przyjdź na górę – mówię krótko, po czym chowam urządzenie z powrotem do kieszeni. Mija parę chwil i drugi z chłopaków pojawia się w moim gabinecie. – Christopher, pojedziesz z Kevinem na lotnisko. Po drodze dowiesz się, co i jak. Chciałbym, żeby tym razem zostało to wykonane, jak należy. Dwaj duzi chłopcy chyba dadzą radę pomimo późniejszej pory, tak?

Panowie wychodzą, a ja postanawiam sam przysiąc do przejrzenia bilingów połączeń telefonu Soni, bo ostatnio kiedy miałem to zrobić, Rosa zaszczyciła mnie swoją wizytą. Do tej pory tym wszystkim zajmowali się Kevin z Christopherem. Ufam swoim ludziom. Przynajmniej się staram, ale mam jakieś dziwne przeczucie, że chyba ktoś zaczął bawić się w mały sabotaż.

– Szefie, miałeś rację. Sonia faktycznie była na lotnisku. – Christopher pojawia się w moim gabinecie. – Wybacz, że tyle to trwało, ale na lotnisku było pełno policji, jak nigdy. Nie wiem, czy szykują jakąś akcję, ale musieliśmy być dyskretni.

– W porządku, Cris. Rozumiem. Czy wiadomo, w jakim kierunku poleciała?

– Niestety nie, dziewczyna nie miała pewności co do kierunku odlotu, a przy wejściach do samolotów nie ma kamer. Ostatnie to te przy pierwszej odprawie i przejściu przez bramki. Przy drugiej już nie. Pewność mamy tylko taką, że wyleciała.

No to nic nowego nie mamy.

– Gdzie Kevin?

– Zaraz przyjdzie, na chwilę zagadała go któraś z barmanek.

– Widzisz to? – Wskazuję palcem zadrukowany wers na papierze. – Ten numer pojawia się parę razy w bilingu i należy do jakiejś starszej pani. Ponoć, ale ilekroć bym nie zadzwonił, tyle razy połączenie jest odrzucane.

– Wiesz, szefie, starsi ludzie bardzo często nie odbierają nieznajomych numerów, bo się boją. Mało to teraz trąbią o różnych oszustwach? – Faktycznie może racja.

– Kto siedział przy sprawdzaniu tego?

– Kevin. – Kevin? Kevin na lotnisku i nic. Kevin przy bilingach i nic. Kevin przy hakerach i nic. Christopher przy wyciągach z banku i wiemy przynajmniej, na jakie konta zostały zrobione przelewy, plus wiemy, w jakich bankomatach zostały wypłacone pieniądze. Ciekawe. Mam pewien pomysł.

– Wybacz, szefie, ale na dole zatrzymały mnie dziewczyny. Któryś z gości miał problem z płatnościami. – Nie odpowiadam. Biorę telefon w rękę i wybieram numer, który widnieje na spisie połączeń. Przykładam słuchawkę do ucha.

– Kevin, od kiedy masz dwa telefony? W tym telefon... – zatrzymuję się i sprawdzam nazwisko, jakie przy nim widnieje – Elizabeth Miller? – Chłopak nerwowo przełyka ślinę. – Kevin. – Nadal nie odpowiada. Cmokam z dezaprobatą. No, kurwa, faktycznie najciemniej pod pieprzoną latarnią. – Nie chce mi się wierzyć. Tak blisko mnie, a zarazem tak daleko. To niesamowite, jak kobieta cipa potrafi zawrócić w głowie. Co takiego moja siostra miała między nogami wyjątkowego, że dałeś się skusić? Pierdolone wesole miasteczko? Tak dobrze się tam bawiłeś, że postanowiłeś postużyć jej jak pies i stworzyć matę mafię za moimi plecami?

– Szefie, nie. Ja wytłumaczę.

– Co wytłumaczysz? Tu nie ma co tłumaczyć, Kev. Zjebałeś, a wiesz, jak kończą ci, co zjebali. Najchętniej od razu rozwalilibym ci łeb, ale myślę, że Rosa Coletti będzie napawała się twoim cierpieniem bardziej niż ja. Niepotrzebnie obiecywałem jej, że przekażę każdego, kto pomagał Soni. Ach, aż żałuję. Nawet nie chcę cię słuchać. Wystarczy mi wszystkie drobne dowody na twoją niewierność. I przyznam się szczerze, Kevinie, jestem mocno zawiedziony, rozzarowany i powiem, że nawet rozgoryczony. – Chłopak w milczeniu przygląda mi się z nienawiścią w oczach. – Cris, zabierz go na dół. Nie chcę słuchać żadnego pierdolenia. Wiedz tylko, że zajebicie mnie zawiodłeś, bo nigdy bym się nie spodziewał po tobie czegoś takiego. Ja zadzwonię do Włoch. Będę jak Gabriel, przekażę dobrą nowinę. – Odwracam się na pięcie i zmerzam w kierunku biurka.

– SZEFIE!

BANG.

Ciepło rozchodzi się po mojej prawej łopatce. Pieprzony pies.

BANG!

– Nie, Cris, on musi żyć. Teraz tym bardziej musi. – Siadam na fotelu i przykładam dłoń do krwawiącej rany. – Wezwij lekarza – syczę przez zęby. – Sprawdź, czy żyje. – Kiwam głową

na ścierwo, które leży przed moim biurkiem. Mężczyzna podchodzi i przykłada dwa palce do szyi cholernego zdrajcy. Kiwa głową na znak, że wyczuwa puls. – Zabierz go do piwnicy. Później lekarz przyjdzie go opatrzyć, żeby przeżył do momentu, aż dostarczymy jego i Sonię do Włoch.

Zostaję sam w gabinecie. Jebany, zdradziecki świat. Nikomu nie możesz ufać. Ludzie, którzy patrzą ci w oczy, kłamią, jakby byli najlepszymi aktorami świata. Zresztą... Przecież ja sam zdradziłem ojca. Zdradziłem i patrzyłem, jak Provenzano zamyka go za kratami na resztę życia.

Teraz ja zostałem zdradzony.

Niech mi ktoś kiedyś powie, że karma nie istnieje. Istnieje. I nigdy nie gubi adresu.

ROSA

– To co, dzisiaj wielki dzień? – Uśmiecham się do Camilli, która zestresowana czeka na cesarskie cięcie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoli na naturalny poród w takiej sytuacji. Wiem, że Cam chciała tego uniknąć, ale czasami się po prostu zwyczajnie nie da. Tu najważniejsze jest zdrowie jej i małej Cristiny.

– Wielki. Stresuję się, jak nie wiem co. To nie tak miało być. – Przeciera twarz dłońmi, po czym krzyżuje łokcie nad głową, zasłaniając oczy.

– Jeżeli musisz, to popłacz. Teraz, bo później całą swoją energię powinnaś skupić na córeczce. Macierzyństwo wcale nie będzie łatwe, Cam. I poród to najłatwiejsza część, wierz mi – pocieszam ją, choć zapewne marnie mi to wychodzi. – Zaraz będzie Pablo. Musiał pomóc przy czymś Nunziowi. Sama rozumiesz, interesy. – Czuję wibracje w tylnej kieszeni jeansów. Wydobywam telefon z jakże uciążliwego miejsca, jakim jest kieszeń na dupie, bo przecież z przodu ich brakuje. Projektanci miewają bujną wyobraźnię.

– Martin, mówiłam, że randka się nie odbędzie.

– Teraz nawet bym nie chciał, bo postrzelony nie mógłbym cię nawet zaciągnąć do łóżka.

– Co?! – Wychodzę z sali, na której leży Camilla. – Jak to postrzelony?!

– Posłuchaj. Na lotnisku nie dowiedzieliśmy się niczego konkretnego, przy samych wejściach do samolotów nie ma kamer, więc kierunek mojej siostry pozostał nieznan. Na pocieszenie mam dla ciebie Kevina, który, jak się okazało, bawił się w swoją mafię razem z Sonią. Odkryłem to dzisiaj przypadkiem. Pieprzony sukinsyn mnie postrzelił. – Staję jak wryta. Kevin i Christopher to prawa i lewa ręka Martina. Jeżeli ludzie, którzy są tak blisko i którym dajesz tyle zaufania, potrafią tak zjechać, to nasz świat schodzi na psy. W tym samym momencie na korytarzu pojawia się Pablo. Nadal nie wiem, co mam powiedzieć do słuchawki. – Jesteś tam, Rosa?

– Y... Tak. Ja... Cholera, przykro mi, Carter. – Falconi zatrzymuje się przy mnie. Jest mi naprawdę przykro. Wiem, jakie to uczucie być zdradzonym. Mnie najpierw zdradziła przyjaciółka, później narzeczony, a na końcu część *famiglii*, którą uważałam za niezniszczalną, a jednak rozpadła się przez jednego szczura. Jak domek z kart. Wystarczy jedna źle ustawiona i przy delikatnym podmuchu wszystko się posypie. – Jeżeli uda ci się coś wycisnąć z Kevina, zrób to, jeżeli nie, to go zabij. Mnie zależy na Soni, a wiem, że rozpiera cię żądza mordy. Nie odbiorę ci tej przyjemności. – Milknę na chwilę. Pablo stoi zdziwiony, nie wiedząc, o co mi chodzi. – Zadzwoń do Michelego. – Patrzę prosto w oczy Falconiego. – I do Musada. – Kręci głową, dając mi znać, że to zły pomysł. – Jesteśmy już bliżej niż dalej, Carter. Dziękuję. – Rozłączam połączenie. – Idź do Camilli.

– Najpierw powiesz, o co chodzi. – Siadam na pierwszym lepszym krześle. – Słyszałaś?

– Carter został postrzelony przez Kevina.

– Co?! Tego jego przydupasa?!

Potakuję.

– Był tym, który pomagał Soni.

Gwizd zdziwienia roznosi się po korytarzu. Mój telefon ponownie wibruje. Naciskam zieloną słuchawkę.

– Cześć, tato.

– Rosa... – Jego ton zwiastuje, że nie dzwoni z dobrymi wiadomościami. – Mama... – Drżący głos mojego ojca sprawia, że serce wali mi w piersi. Upuszczam urządzenie na podłogę i ostatnie, co słyszę, to trzask.

Trzask pękającej obudowy telefonu.

Otwieram oczy. Mrugam kilka razy, żeby przyzwyczaić źrenice do ostrego światła.

– *Donna* Coletti, proszę spokojnie leżeć. Ma pani podłączone kroplówki. – Aua. Jak mnie cholernie boli głowa.

– Co się stało?

– Zemdląta pani. Musieliśmy podać płyny, bo jest pani dość mocno osłabiona. Zrobiliśmy też kilka podstawowych badań, pan Falconi nalegał.

Pablo, ty mendo, wykorzystywać moją niedyspozycję i to robić podstępem?! A gdzie poszanowanie praw człowieka i pacjenta? Dupek.

– Ja... Zawołałam lekarza. – Pielęgniarka znika, a ja powoli odzyskuję świadomość.

Rozmawiałam przez telefon z Martinem. Tak... Kevin, Martin. Później dzwonił tata i... Łzy podchodzą mi do oczu, a następnie dwoma cienkimi strumieniami spływają po policzkach. Mamo...

W sali pojawia się lekarz.

– *Signora* Coletti. Jestem...

– Do rzeczy. Proszę wybaczyć, ale teraz i tak nie zapamiętam ani imienia, ani nazwiska, więc proszę tylko o wytyczne i chcę stąd wyjść. Mam dużo pracy. – Pociągam nosem i pośpiesznie wycieram łzy. – Zaniemówił pan?

– Nie, przepraszam. Czy... Czy nie zauważyła pani żadnych zmian u siebie w ostatnim czasie? – Podsuwam się lekko do pozycji półsiedzącej i układam głowę na oparciu łóżka. – Zmęczenie, osłabienie... Bładość?

No następny. Bładość będzie słowem zakazanym. Przysięgam.

– Czy wy wszyscy możecie dać mi spokój z tą bładością?! Zmęczona byłam, owszem, bo mało spałam, odkąd moja rodzina zniknęła. Dużo pracowałam i mało jadłam. Dzisiaj dowiedziałam się, że zmarła mi matka, bo wykończył ją cholerny rak. Zadowoleni? Zmienię dietę i wrócę do normalnego trybu, jak tylko się trochę ogarnę.

– Rak?

– Rak. Przeliterować? R. A. K albo inaczej nowotwór. – Czuję się poirytowana. Ostatnio chyba wszyscy się zmówili przeciwko mnie. – Daj mi te papiery, sama zobaczę wyniki, skoro ciężko ci je wydukać. Jestem lekarzem. Potrafię to zrobić.

– Em... *Signora* Coletti. – Wyciągam rękę po dokumenty i mierzę chłopaka spojrzeniem nieznoszącym sprzeciwu. Podaje mi kartki. Przeglądam każdą po kolei. *Niedobór, niedobór, niedobór.* No tak, a czego mogłabym się spodziewać. Jedna pozycja ponad normę. WBC.

– Białe krwinki ponad normę? Powtórzcie badanie. To pewnie błąd.

– Nie. Robiliśmy je dwa razy. Pozwoliłem sobie również zrobić wymaz leukocytów i... Na kolejnej stronie znajdzie pani wynik. – Przerzucam kartkę i śledzę tekst wzrokiem.

– Nie. To błąd. Powtórzcie to.

– *Signora* Rosa...

– Powiedziałam!

– Powtórzmy, jak sobie pani życzy, ale to niczego nie zmieni. Przykro mi. Teraz tym bardziej jestem pewien, że to nie błąd. Proszę się z tym przespać, na pewno nie wypuścimy pani w takim stanie.

– Sama wyjdę w takim stanie, bo muszę polecieć na pogrzeb matki – warczę. – Nie zamierzam tu spędzić nie wiadomo ile czasu, bo go nie mam. – Milknę na chwilę. Raz. Dwa. Trzy. Liczę w myślach. Wiesz, Boże, ja nie pisałam się na taką wojnę. Nie pisałam... Uspokajam się i spokojniejszym tonem zwracam się do lekarza. – Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nikt. – Kiwa głową. – Proszę podać mi to, co trzeba, żebym stanęła na nogi. Muszę pozatratować kilka ważnych dla mnie spraw i wtedy będziemy myśleć co dalej. – Chłopak otwiera usta, żeby coś powiedzieć, jednak unoszę dłoń. – Nie ma sprzeciwów. Robię to na własną odpowiedzialność.

Odpuszcza i znika za drzwiami sali.

Camilla pewnie leży na stole operacyjnym, a ja, zamiast ją wspierać, kisnę w szpitalnym łóżku. Przewracam się na bok i wbijam wzrok daleko w widok rozciągający się za oknem. Niebo. Idealnie niebieskie niebo.

Jak wiele jeden człowiek jest w stanie znieść? Jak wiele!? I ile walk da radę stoczyć?! Bo ja mam ich przed sobą za dużo. Dużo za dużo. I dzisiaj pierwszy raz w swoim marnym życiu zaczęłam tak naprawdę wątpić w istnienie sprawiedliwości.

I Boga.

Rozdział XXI

EMANUELE

Siedzę w ogrodzie Ninetty i popijając jakąś ziołową herbatkę, którą *signora* Coletti mi zaparzyła, obserwuję Patrizię na leżaku. Swoją drogą jestem ciekaw, co to za napój, bo podawała to z takim uśmiechem, jakby próbowała mnie zaczarować jakimś eliksirem. Dziewczynki śpią smacznie w wózku, który postawiłem obok siebie, więc Pat może chwilę odpocząć. Dostownie chwilę, bo przy bliźniaczkach nawet piętnaście minut spokoju jest na wagę złota.

Rosalia daje się we znaki nam wszystkim – mały krzykun – ale to Patrizia ma najtrudniej. Karmienie, przewijanie i ciągła opieka nad bliźniaczkami to cholernie trudne zadanie. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której musiałaby zajmować się wszystkim sama. Nie dziwię się, że Rosa do trojaczków potrzebowała Camilli. Nam do bliźniaczek też by się ktoś przydał. I nie mówię tu o pomocy ciotek, wujów czy babci. Raczej o niani. Chwila... Dlaczego ja pomyślałem NAM?!

Przecieram zmęczoną twarz. Tak, to ze zmęczenia, tak pomyślałem. W dodatku parę godzin temu dostałem wiadomość od ojca o śmierci mamy. Byłem na to gotowy, choć nie wiem, czy nawet spodziewając się czyjś odejścia, potrafimy tak w stu procentach być na to przygotowani. Jakaś cząstka nas zawsze pozostaje pełna nadziei, że może jednak to się nie wydarzy. Niestety, ale nie w tym przypadku.

– Może chciałbyś napić się jeszcze czegoś? Może kawy? – Odrywam wzrok od gazety, którą przeglądam, odkładam ją na stół i wstaję, aby odsunąć krzesło stojące przy stole.

– Nie, dziękuję, *signora*.

– Emanuele, nie bądź w mojej obecności tak sztywny i zachowawczy – Ninetta siada na meblu, który odsunąłem. – Jestem normalnym człowiekiem, takim samym jak ty.

No nie do końca, myślę. Ja nigdy nie byłem tak wysoko w strukturach mafii. W rodzinie Colettich wszystkie kobiety zawsze miały coś do powiedzenia i nieraz to one podejmowały decyzje, które szefowie jedynie przypieczętowali swoimi słowami. Dlatego Rosa tak idealnie tutaj pasuje.

– Współczuję straty mamy – mówi dalej. – Elena była cudowna. Zapamiętam ją jako silną i wspaniałą kobietę, która wychowała idealne dzieci.

Kiwam głową i wracam na swoje miejsce. Takie rozmowy są zawsze niezręczne. Kondolencje, podczas których nie umiemy się zachować, przytłaczają, krępują i zarazem frustrują. Przynajmniej w moim przypadku tak jest. Niby nigdy nie brakuje mi słów i zawsze mam coś do powiedzenia, jednak w takich przypadkach odbiera mi mowę. Współczucie, które wywołuje w nas mieszane emocje, jest bolesne. Nie znoszę tego.

– Odbiegając od przykrego tematu, nie miałam okazji podziękować ci za opiekę nad Patrizią i moimi wnuczkami. Zatem z całego serca dziękuję. – Oddycham z ulgą, bo dzięki Bogu nie brniemy w uzalanie się nad losem moim i mojej matki.

– Nie ma za co dziękować. To żaden wyczyn.

– Wyczyn i to wielki. Wiesz, chłopcze, ja jestem już stara i zdążyłam poznać życie. Poznałam też wielu ludzi i to niekoniecznie tych dobrych. Opieka nad kimś i poświęcanie mu czasu jest zazwyczaj wynikiem albo chęci wyciągnięcia korzyści – już mam ochotę otworzyć usta – albo czystego uczucia i dobrego serca. Twoja siostra nieraz pokazała nam, jak krystaliczne potrafi być i jak człowiek

bezinteresownie potrafi komuś pomagać. Mimo że jej serce jest złamane, pokiereszowane i doświadczone przez życie nieprzyjemnościami, to nadal potrafi obdarzać ciepłem. Uważa siebie za twardą kobietę, której nic nie złamie. Robi kamienną twarz, zaciska zęby i idzie dalej. Ale to tylko skorupa, bo wszyscy wiemy, że to ją złamało. I to nie raz. Tylko najpiękniejsze w niej jest to, że doświadczając takich rzeczy, jak zdrada, jak śmierć najbliższych, jak mafia, która robi pranie mózgu, ona nadal walczy z tą złą częścią siebie i potrafi być aniołem. Dla najbliższych. Teraz, jak nie ma Tommasa – Ninetta przełyka ślinę i urywa na chwilę swoją wypowiedź, próbując opanować emocje – i dzieci, mogłaby się stąd zabrać i wrócić do Stanów, zostawiając nas ze wszystkim samych. Nie miałyby do czynienia z mrokiem, w który weszła. Postanowiła jednak zostać. Jestem dumna, że mamy ją w rodzinie. – Po co ona to wszystko mi mówi? Wiercę się na krześle jak małe dziecko, które nie ma pojęcia, jak ma się odnieść do tych wszystkich słów. – I obserwując ciebie, widzę jej odbicie. Jesteś taki sam jak Rosa, Emanuele. – Na pewno nie jestem. Nie ma takiej opcji. – Nie opiekujesz się Patrizią, bo tak wypada. Przypuszczam, że te dwie małe perełki zawładnęły twoim sercem, jak tylko pojawiły się na świecie. Ty tego nie dostrzegasz, ale potrafisz siedzieć godzinami i je obserwować. Jak któraś piszczy, podchodzisz i sprawdzasz. Mimo że nie są z twojej krwi, poświęcasz im tyle uwagi, ile pewnie dałbyś swoim własnym dzieciom. Na świecie jest niewielu mężczyzn, którzy w tak wspaniały sposób zaopiekowaliby się nie swoimi dziećmi. Do tego trzeba być mężczyzną z krwi i kości, a nie chłopcem.

Nieprawda. Tylko jej się wydaje.

Z wózka wydobywa się kichnięcie, a ja wychylam się, żeby zajrzeć. Ninetta chichocze pod nosem i wzdycha głęboko. Kręcę głowę.

– No właśnie o tym mówiłam. I jeśli mam być szczerą, Provenzano, to mam nadzieję, że oprócz Rosalii i Valentiny, Patrizia też zawładnie twoim sercem. Macie dobre geny. – Nie wiem, czy to złośliwość, czy komplement. Wstaje i podchodzi do wózka. – Wszyscy jesteśmy jeszcze w żałobie i nie będzie łatwo. Patrizia straciła bliźniaka i męża. Z tego drugiego jestem zadowolona, bo to nie było dobre małżeństwo. To znaczy: było, na początku, ale nie pod koniec jego trwania. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Tam na górze wiedzą, co robią. – Przykrywa Valentinę i oddala się w kierunku domu.

A ja zostaję z rozpiardolem w głowie. Nie planowałem żadnych związków i miłości. To nie dla mnie. Nasz świat nie sprzyja szczerym uczuciom, bo w większości przypadków kończą się one cierpieniem. Tak jak u Rosy. Kochała Tommasa całym sercem i w jednej chwili musiała pogodzić się z tym, że jego już nie będzie. Jego i trojaczków, więc ja wcale nie chcę się angażować, bo mógłbym nie być tak silny i twardy jak ona, a moje serce mogłoby zostać przemielone. Muszę przestać dawać jakieś mylne sygnały.

– Emanuele? Pomógłbyś mi wstać? – Patrizia wymachuje rękoma i nogami jak poparzona. – To dziadostwo jest straszne – warczy zupełnie poważnie.

Uśmiecham się sam do siebie, podchodzę do niej i wyciągam dłoń, aby mogła się podtrzymać. Wstawanie z hamaka przypomina czasami walkę o przetrwanie. Cholerstwo potrafi tak się zakręcić, że chwila i leżysz na glebie.

Pat staje na nogi i unosi wysoko głowę, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Dziękuję. Co ja bym zrobiła, gdyby nie było ciebie obok, mój wybawco. – Uśmiecha się tak szeroko, że dostaje mimicznych zmarszczek wokół oczu.

Co ja przed chwilą mówiłem? Że nie chcę się angażować?

Cholera.

PABLO

Który to już tydzień bez Colettiego? Próbuję zliczyć, ale szczerze mówiąc, to trochę straciłem rachubę. Na pewno zdecydowanie za długo to trwa. Wszyscy raczej spodziewaliśmy się szybkiej akcji, konkretnych działań i ludzi, a tu takie rozczarowanie. To był jednak zły plan. Zrzucanie Rosie tylu rzeczy na bary to prawie jak wydanie wyroku na jej zdrowie psychiczne. Jeszcze się okaże, że przez nawet obowiązków i ambicje Rosa się wykończy. Zupełny bezsens. Plus wszystko to, co się dzieje w Stanach. Wystarczy poruszyć jeden klocek i zawali się cała budowla. Jak Jenga.

– Panie Falconi, gratulujemy. Zaraz będzie pan mógł pójść do sali, do której przewieziemy pańską żonę i syna. – Dzięki Bogu już po wszystkim. Wstaję z krzesła, na którym siedzę w poczekalni, aby móc... Chwila, że co?!

– Syna?! Jak syna?

– Tak, wiemy, że to miała być dziewczynka, pańska żona nas uświadomiła. – Patrzę z niedowierzaniem. To ukryta kamera czy co za cholera?! – Wie pan, technologia jest na wysokim poziomie, jednak człowiek to nadal człowiek i proszę mi wierzyć, że bywają sytuacje, gdzie wydaje się, że jest to owinięta wokół nóżki pępowina, a jak się potem okazuje, to po prostu męskie przyrodzenie. Z chłopca trudno zrobić dziewczynkę doświadczonemu ultrasonografiście, ale z dziewczynki chłopczyka czasami się zdarza. Jak widać, państwo są tego najlepszym przykładem.

Zawał. Potrzebuję tlenu. Przez chwilę przyswajam informacje. To na pewno żart, który wymyśliła Camilla. Na pewno! Zmierzam jasnym korytarzem do samego końca i stoję przed ostatnimi drzwiami po lewej stronie. Głęboki wdech, naciskam na klamkę i wchodzę do pomieszczenia.

– Cześć, knypku. – Camilla odwraca głowę w moją stronę i delikatnie się uśmiecha. – Jak się czujesz? – Podchodzę bliżej i cmokam zmarszczone czoło żony.

– Nieźle. Na razie jeszcze znieczulenie trzyma, więc nie odczuwam żadnych minusów. – Przenosi wzrok na małe zawiniątko leżące w łóżeczku z przeźroczystego tworzywa. – Ale zaskoczenie co?

– T... To nie żart? Myślałem, że prosiłaś lekarza o wkręcenie mnie. – Camilla śmieje się głośno nie zważając na szwy.

– Nie, głupku, nie wpadłam na to, ale następnym razem pomyślę.

Nie ma mowy! Żadnych następnych razów. Ja miałem dosyć tych ośmiu miesięcy, drugiego takiego maratonu nie zniosę i żadne siły świata mnie do tego nie przekonają.

Przechodzę dookoła łóżka, na którym leży Camilla, i pochylam się nad swoim... Synem. Sam nie wiem, jakie uczucia mnie teraz przepętniają. Byłem przygotowany na córkę. Oswoiłem się z tym, że całe życie będzie moją księżniczką, a teraz... Będę musiał przygotować się na to, że mój syn kiedyś będzie tak samo jak ja bronił kogoś ponad swoje życie. Z jednej strony rozpira mnie duma, że mam pierworodnego, bo każdy facet w głębi serca pragnie mieć syna, ale z drugiej wiem, że w świecie mafii posiadanie syna nie zawsze uszczęśliwia ojców. Nie tych, których dzieci są niżej w hierarchii.

– To wywinęłeś nam numer, młody... Cholera, a jakie imię wybierzemy?

– Falconi, nie przeklinaj przy dziecku. – Zaraz się chyba uduszę ze śmiechu. Zapowiada się wesołe ojcostwo. – Nie wiem, myślałam, że może... Alessandro? Czy wolałbyś jakieś hiszpańskie, jak twoje? – Cholera, sam nie wiem. Naprawdę nie mam bladego pojęcia, jakie imię chciałbym wybrać swojemu synowi. Zastanawiam się chwilę. – Albo może Lucas?

– Lucas – potwierdzam bez dłuższego namysłu, bo bardzo podoba mi się to imię i pasuje do tego małego, różowego ludka. Lucas Falconi. Powtarzam w myślach. Jestem cholernie szczęśliwy i dumny. – Trzeba będzie kupić nowe ubranka. Mój syn nie będzie nosił różowego – zapewniam.

– Falconi, róż to kolor odważnych mężczyzn. Zapamiętaj to na przyszłość. – Cam chichocze, a po chwili ja też zaczynam podrygiwać ze śmiechu.

Zrobimy tak, że będziesz twardym gościem, synu i nawet różowe body albo rampersy nie ujmą twojej męskości.

Rozdział XXII

ROSA

– Dzwoniłeś do Michelelego?

– Dzwoniłem, ale powinnaś trochę odpuścić. Odpocząć. Twoje zamartwianie się niczego już nie zmieni, Ros, wierz mi.

Stukot moich szpilek o posadzkę odbija się od kościelnych ścian. Wychodzę ze świątyni i głęboko nabieram świeżego powietrza. Ninetta prosiła, żeby pójść z nią na mszę, więc to zrobiłam, mimo że dzisiaj nie czuję się najlepiej. Faktycznie powinnam więcej odpoczywać i lepiej o siebie zadbać, ale ja na razie nie mam na to czasu. Są rzeczy ważne i ważniejsze, a dla mnie w tej chwili najważniejsze są spokój i bezpieczeństwo mojej rodziny. Dopiero wtedy będę mogła w stu procentach poświęcić czas i energię na to, aby zadbać o siebie.

Nagle odwracam się na pięcie i stoję w miejscu. Pablo o mały włos na mnie nie wpada i wkurzony wbija we mnie swoje spojrzenie.

– Pozwól, że to ja będę decydować o swoim urlopie – syczę wkurzona. Zaczyna mnie coraz bardziej irytować to ciągłe mówienie, co powinnam, a czego nie. Co mogę, a czego nie. Naprawdę nie czuję się jak stuprocentowy szef. – Tommaso miał dużo więcej do powiedzenia niż ja, a to chyba nie powinno tak wyglądać? – Pablo zaciska zęby, a później z niezadowoleniem cmoka i zaciska pięść.

– Tommaso Coletti a Rosa Coletti to dwie różne bajki. Gdybyśmy pozwolili na to, żeby coś ci się teraz stało, to każdy z nas miałby przejebane. Nasze ograniczenia wobec twojej osoby nie są naszym widzimisię. Doskonale wiemy, co robimy. Nie po to zorganizowaliśmy tak wielką akcję, żebyś teraz przez swoje wielkie ego zjebała! Rozumiesz to, DONNA?

Teraz to ja przygryzam wkurzona policzek.

Cholera, wiem. Po razy kolejny już przyznaję rację Pablowi.

– Wrzucasz potem euro do słoika. Przeklinasz i to przed świątynią! Co za grzesznik!

– Co? A niby ty to nie? Przeklinasz więcej niż ja i Tom... – Gryzie się w język i rozgląda dookoła.

– Dobra, nie było tematu. Rozkaz przyjęty, szefowo.

Po paru minutach dotacza do nas Ninetta, która jeszcze musiała zamienić kilka słów z babciami emerytkami. Uwielbiam ich rozmowy przed kościołem. Takie pobożne, miłujące cały świat, ale za źle dobrane do sukienki rajstopy mogą obrobić ci tyłek i plotkować na twój temat godzinami.

– Mamo, Pablo odwiezie cię do domu. Ja jeszcze chwilę tutaj zostanę. Chciałabym posiedzieć sama. – Choć ostatnie wydarzenia przepełniły mnie niechęcią do rozmów z Bogiem, to czuję dziwną potrzebę spędzenia tu dłużej chwili w samotności, w miejscu gdzie wzięliśmy z Tommasem ślub. –

Wróć po mnie, jak odwieziesz mamę. – Zwracam się do Pabla, którego mina jednoznacznie wyraża dezaprobatę względem mojego pomysłu. Tak, wiem, przed chwilą o tym rozmawialiśmy. I szczerze? Mam to głęboko w dupie.

– Nie powinnaś być tu sama. Zadzwoń po Daria, przyjedzie po mnie.

– Nie. Pablo cię odwiezie, nic mi nie będzie. To kościół, a nie jakieś pole walki. Jestem tu bezpieczna. Gdzie można czuć się bezpieczniej aniżeli w kościele? – Na moje pytanie nie mam niestety odpowiedzi, bo ona jest tylko jedna. Nigdzie. I każdy to wie, bo gdzież można byłoby się schronić przed całym złem tego świata jak nie w domu Ojca?

– Rosita, ja naprawdę...

– Mamo, powiedziałaś coś!? – warczę ostrzej. Trochę za bardzo ponoszą mnie emocje, ale kogo by nie ponosiły, gdyby miał tyle na głowie i nic nie szło po jego myśli, a jeszcze dodatkowo nikt nie szanowałby tego, co mówi?!

Oboje żegnają się ze mną i znikają wśród tłumu ludzi wsiadających do swoich aut. Wracam ponownie do świątyni, w której jest pusto. Tylko ja, Bóg i moje demony, które za wszelką cenę staram się zwalczyć.

Siadam w ostatniej ławce i rozglądam się po pięknych malowidłach.

No to co... Porozmawiajmy sobie o wszystkim, co się dzieje w moim życiu. Nie wiem, czy pomyliłeś scenariusze i dla mnie przyklepałeś inny, ale byłoby świetnie, gdybyś to naprawił. Nie zastrzyżym sobie na to. Nie jestem dobrym człowiekiem. Może nie tak dobrym, jakim chciałbyś, żebym była, ale nie jestem też potworem. Nigdy nie chciałam w Ciebie zwątpić. Możesz w to wierzyć lub nie. *Klepię się w czoło. Przecież on wie, co ja tak naprawdę myślę i czuję.* Ale po wczorajszym zwątpiłam. I w Ciebie, i w Twój wielki plan dla ludzkości. Może mój anioł stróż nawalił? Jak tak, to daj mi innego, może będzie miał lepszy planer. Ech. Czuję się dziwnie chora. Ale nie tak, jak faktycznie jestem, tylko tak, jakby gnęła mi dusza, a nie chciałabym, żeby całą mnie pochłonął mrok, więc jeżeli istnieje i jest jakakolwiek sprawiedliwość na tym świecie, to błagam, nie dorzucaj mi więcej ciężarów, bo ich zwyczajnie nie udźwignę, a jeżeli mi się to jakimś cudem uda, to na pewno nie będę już nigdy takim człowiekiem, jakiego resztkami sił w sobie bronię. Nie chciałbyś chyba kolejnego wielkiego grzesznika na tym ziemskim padole. Jeżeli nie zdecydujesz się mi pomóc, Boże, to po prostu nie utrudniaj, bo jeszcze bardziej zwątpię w boskie miłosierdzie, miłość i dobroć.

Siedzę jeszcze chwilę w milczeniu, wpatrując się bezwiednie w ołtarz. Kiedy w torebce zaczyna wibrować telefon, wychodzę. Wyciągam urządzenie i wciskam zieloną słuchawkę.

– Cześć, tato. Jak się czujesz?

– Cześć, kochanie. A jak się czuje ktoś, komu umiera największa miłość życia? Chyba doskonale wiesz. – Zaciskam usta. Wykończę się tym wszystkim.

– Głupie pytanie, przepraszam. Dzisiaj wylatujemy, więc w nocy będziemy w San Francisco. Ninetta też chciała przylecieć, więc będzie ze mną i Emanuelem – informuję.

Pablo w związku z tym, że ma teraz Camillę i Lucasa zostanie na miejscu. Carlo i Dario polecą z nami. Taki mam przynajmniej plan, a jak się ostatnio przekonałam, to plany lubią się pierdolić.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, po czym się rozłączam. Wsuwam rękę do kieszeni, z której wyciągam wizytówkę i wybieram widniejący na niej numer. Mijają trzy sygnały i nic. Odsuwam telefon od ucha, tracąc nadzieję, że ktoś w tej chwili odbierze ten zasrany szajs.

– Słucham.

– Nie wiem, jaką macie teraz porę dnia, więc z góry przepraszam, ale musiałam zadzwonić.

– A z kim mam przyjemność rozmawiać? Tak bez przywitania to mało kulturalne.

– Nie wiem, czy będzie to dla ciebie przyjemność, Musad, ale będziesz miał okazję oczyścić swoje sumienie. Z kulturą u mnie ostatnio bywa ciężko.

– Coletti... No proszę, jednak zadzwoniłaś. W czym mogę pomóc?

– Ciekawe, że tak szybko trafiłaś, iż to ja do ciebie dzwonię. To nie dziwne?

– Jesteś jedyną osobą, wobec której mam dług, Rosa, więc to nie było trudne.

Aha. Faktycznie, zapomniałam, że diabły nie mają zobowiązań wobec nikogo. Raczej zdarza się odwrotnie.

– Swoją drogą – kontynuuje – składam najszczerze kondolencje. Wieści szybko się rozchodzą.

Mhm. Zajebicie szybko.

– Dziękuję, ale skupmy się na sednie sprawy, z którą dzwonię. Sonia Hopkins. Ta suka podłożyła bombę w samochodzie Tommasa. Parę szczegółów, które powinieneś znać. Ustaliliśmy, że wyleciała ze Stanów. Zmieniła tożsamość, bo na żadnej odprawie nie stawiała się z prawdziwym paszportem. Jeden z samolotów odlatywał wtedy do Maroka. Chciałabym, żebyś to sprawdził. Może wybrała się akurat tam, choć to mało realne. Ona kocha luksus, a u was jest, jak jest. I bez obrazy Musad, Kocham te wszystkie klimaty, jednak sam rozumiesz.

– Zaraz sobie pomyślę, że chcesz mnie obrazić.

– Ja? Skąd. Ja tylko stwierdzam fakt. – Mruknięcie niezadowolenia po drugiej stronie słuchawki oznacza, że chyba jednak lekko go obraziłam. – Wierzę w twoją moc, Hariri. – Tym razem ze słuchawki dobiega gardłowy śmiech.

– Ze skrajności w skrajność. Tak potrafią tylko kobiety. Najpierw nam dowalić, a później chwalić i zapewniać, że w nas wierzą. Ależ oczywiście, *donna Coletti*, to da się zrobić. Daj mi dzień. Maksymalnie dwa. – Zapewnia mnie o swoim z góry założonym sukcesie. – Wyślij mi jej zdjęcie. I pozostałe kierunki lotów. Czy Maroko, czy nie, znajdę ją.

Jestem pod wielkim wrażeniem jego pewności siebie.

– USA i Włochy nie zrobiły tego przez kilka tygodni, a Maroko zrobi w dwa dni? Jeżeli ci się to uda, przyznam przed każdym, że Musad Hariri jest cudotwórcą.

– Przygotuj sobie mowę, *donna Coletti*.

– Zaraz prześlę wszystko, czego będziesz potrzebował. Musad, najlepszy smaczek... – Robię pauzę. Słyszę mruknięcie „mhmm”, więc mój rozmówca jest ciekawy tego, co powiem. – Sonia to siostra mafioza ze Stanów. Martina Cartera.

– Na Allaha. Tego Cartera, który przejął interesy po ojcu? – pyta, a ja potwierdzam. – Tyle lat nikt nic o niej nie wiedział i proszę. Skończy z wielkim hukiem. Jak rozumiem, nie dowiem się, jaki miała w tym interes? – Oczywiście, że nie, bo przecież ja sama tego nie wiem. Milczę. – Tak myślałam. No cóż. W takim razie zabieram się do pracy. Zadzwoń, jak już będę ją miał w swoich rękach.

– Jesteś cholernie pewny tego, że uda ci się to zrobić.

– Rosa, jeżeli w tej branży nie będziesz pewny siebie, to pożrą cię żywcem. Pamiętaj. Teraz mniej czas na żałobę. Ostatnio dużo przeszłaś, jak na jednego człowieka. Do usłyszenia. – W słuchawce słyszę dźwięk rozłączonego połączenia.

Żebyś wiedział, Musad, że cholernie dużo, a jeszcze więcej przede mną, bo na razie nie zapowiada się na spokój.

Pod bramę kościoła podjeżdża Pablo. Wrzucam telefon z powrotem do torebki i wsuwam się w milczniu na siedzenie pasażera. Kierunek – dom. Muszę zabrać parę najpotrzebniejszych rzeczy, zgarnąć Ninettę razem z Emanuelem i pojechać na lotnisko, a potem lecieć do pieprzonego i smutnego San Francisco.

Tak, jak kiedyś kochałam to miasto, tak teraz go nienawidzę.

Rozdział XXIII

SONIA

Miałam nadzieję, że jak wylecę do takiego miejsca, to pokorzystam z różnych dobrodziejstw, jak słońce albo jędrne męskie dupy, i co? I nie zawiodłam się. To raj na ziemi. Dlaczego wcześniej tego nie zrobiłam? San Francisco to smutne jak... Smutne miasto. Zupełna odmienność od tego, co mam tutaj. Pomimo biedy, jaka panuje wśród społeczności, odpowiada mi to miejsce. Przynajmniej na razie.

Dopijam kolejnego drinka. Kevin nie odzywał się od dawna, więc pewnie mój braciszek dał sobie spokój z poszukiwaniami wyrodnej siostry. Zawsze mnie odtrzącał, nigdy się nie interesował. Nawet jak postanowiłam przenieść się do publicznej szkoły, to nie był na tyle troskliwy, żeby chociaż sprawdzać, co u mnie. Nikt mnie nie pilnował cały czas, tylko raz na ruski rok mój braciszek wysyłał paru chłopaków na szybkie rozeznanie, a przecież pochodziłam z rodziny mafijnej. Mnie trzeba było chronić i pilnować na wszelki wypadek. Gdyby ojciec żył... Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

I te jego wyrzuty. Co ja takiego straszego zrobiłam, jak mogłam. Bła, bła, bła. A Rosa... Ma za swoje. I Dionisio ma za swoje. Wszyscy mają za swoje. Śmieję się w głos, nie zwracając uwagi na przechodzących obok mojego leżaka ludzi. Zemsta ma bardzo słodki smak. I koi. Po śmierci pieprzonego Colettiego i jego szczeniaków ogarnął mnie błogi spokój. Ubolewałam trochę nad tym, że Rosy nie było wtedy w cholernym aucie, ale tak naprawdę dzięki temu cierpienie było podwójne. Nikt nie miał pojęcia, jaki ból rozrywał mnie, kiedy ten, którego kochałam, zmarł. I to przez nich. Konkretnie przez niego. Cieszę się, że mogłam być karmą. Karma ma na imię Sonia.

Upijam łyk kolejnego już drinka. A nie, przepraszam. Teraz karma ma na imię Melinda.

Narzucam pareo, zgarniam torebkę i opuszczam plażę. Potrzebuję kąpieli i dużej ilości kremu albo olejku. Do apartamentu, w którym mieszkam, mam jakieś piętnaście minut drogi spacerem, więc nie jest to wcale daleko. Biorąc pod uwagę, ile kilometrów musiałam biegać, jeszcze jak kumpłowałam się z Rosą, to taki dystans jest wręcz niczym. Niestety ze względów bezpieczeństwa nie mogę obnosić się tym, że rzygam pieniędzmi, nie mogę jeździć autem takim, jakim bym chciała, i nie mogę mieszkać w dzielnicy, która jest w moich klimatach. Na razie nie mogę, ale niedługo to się zmieni. Może nawet wyjadę z tej biednej dziury, poznam bogatego szejka i będę żyła jak pączek w maśle z dala od syfu.

– Aua! – Pocieram zbolące ramię. – Uważaj, jak chodzisz – warczę po angielsku. W odpowiedzi słyszę jakieś arabskie, niezrozumiałe dla mnie słowa. Cholerni muzulmanie. Chyba jednak szejka nie będzie dobrym wyborem. Albo będzie. Jak zmuszę go do ciągłego rozmawiania w moim języku. – Wypadałoby powiedzieć „przepraszam”! – Tym razem mówię po francusku, bo przecież nauka angielskiego to największe zło dla tych biedaków, a oni tutaj o dziwo mówią częściej po francusku niż po angielsku.

Oglądam człowieka, który mnie potrącił. Okej, ten nie wygląda jak przeciętny Marokańczyk. Ubrany w eleganckie spodnie i koszulę wydaje się trochę lepszym sortem niż większość tego kraju. Mężczyzna obcina mnie od góry do dołu pogardliwym wzrokiem.

– Ja patrzę, ale księżniczka chyba miała głowę w chmurach. – Odpowiada, ale po angielsku. Co za fiut. – Spuść nos niżej, damulko, bo kiedyś ktoś ci go utrże.

– Księżniczka mówi, żebyś spieprzał jej z oczu. I patrzył, gdzie łazisz. – Rzucam na odchodne. – Jakie maniery. Powinniście uczyć się od Stanów kultury, a nie taka dzicz.

– Dama z wielkiego kraju? – Przygląda mi się baczniej. – Cóż robi w Maroku? Przecież to jak Trzeci Świat dla takich ludzi jak wy. Trzeba było wybrać bardziej „cywilizowane miejsce”, jak ci nie pasuje – syczy poirytowany.

– Zabiłam kilku ludzi i przyleciałam na wakacje – żartuję, głośno się przy tym śmiejąc. Ojej, niby żarcik, a wcale nie żarcik, ale przecież nikt nie musi tego wiedzieć. Kto by podejrzewał małą rudowłosą kobietkę o takie rzeczy. No nikt. Swoją drogą nie znoszę tego koloru włosów, ale te chwilowe zmiany były konieczne.

Twarz chłopaka zmienia się z poirytowanej na podejrzliwą. Mruży oczy i przygląda mi się ze szczególną uwagą, po czym wyciąga telefon, grzebie w nim chwilę i znów wraca spojrzeniem do mojej osoby.

– To mówisz, że kogoś zabiłaś? Ciekawe, że się tak z tym obnosisz. – Podchodzę bliżej niego, zadzieram głowę i wbijam spojrzenie w dwie czarne źrenice.

– A nie wyglądam na psychopatkę? – Pochyla się. – Nie obnoszę. Po prostu wtedy takie głąby jak ty rezygnują z dalszej konwersacji. Zażartować nie można?

– Nie wyglądasz, fakt. A psychopaci nigdy nie wyglądają jak psychopaci, ale skoro tak, to chyba muszę cię zaprosić do swojego auta. Nie mogę sobie pozwolić na konkurencję w tym mieście. Dwóch psycholi nie może przebywać na tak małej powierzchni. A czy z tym mordowaniem to był żart, dopiero się przekonamy. – Kiwa ręką i za chwilę pojawia się ciemny SUV. O kurwa, zaraz się w coś wpakujesz, Sonia. Albo zyskasz dzianego męża. Jedno z dwóch. Nie kuś losu!

– Nigdzie nie jadę. Spadaj. Łazisz jak ślimak i potracasz ludzi na ulicy, a później pakujesz ich do samochodu i może gwałcisz albo zabijasz? To twoje hobby? Powodzenia z inną, ja się w to nie bawię – burczę i próbuję go wyminąć, jednak auto, do którego miałam wsiąść, staje mi na drodze.

– Nikt nie powiedział, że potraciłem cię przypadkiem. Może chciałem to zrobić. Może chciałem się podroczyć? Popytać? Poznać osobę, która nadepnęła na odcisk Lucyferze. – Staje niebezpiecznie blisko. – Wsiadaj. Ktoś chciałby się z tobą przywitać, panno Hopkins. – O, nie, nie, nie!

– Mylisz mnie z kimś. Jestem Melinda Callahan. – Wyciąga telefon i pokazuje mi zdjęcie z kamery. Jasna cholera.

– No chyba jednak nie. Rudy ci nie pasuje. W blond wyglądałaś jak niczego sobie dupa, a teraz jak zwykła dziwka. – Szczerzy się szeroko jak psychopata. Powoli sięgam do torebki, chwilę w niej grzebię po omacku i pod palcami czuję metalowy pojemniczek. Szybkim ruchem wyciągam i psikam gazem w obu facetów. – Suka!

Biegnę ile sił w nogach. Jak ona mnie tutaj znalazła?! Cholera jasna i co teraz? Muszę szybko zgarnąć pieniądze z mieszkania i ulotnić się gdzieś, jak najszybciej się da. Schować chociaż na chwilę, a później zmienić cholerne miejsce zamieszkania, najlepiej znów przenieść się do innego kraju.

Wpadam do wynajętego lokum i pędem udaję się do sypialni, gdzie mam schowane najpotrzebniejsze rzeczy i kasę.

– Oho, ktoś się spieszy. – Dobiegający zza moich pleców męski głos sprawia, że staję sparaliżowana. – Nietładnie tak się nie przywitać, panno Hopkins.

Odwracam się. Na fotelu siedzi ubrany w czarny garnitur dość wysoki mężczyzna o śniadej karnacji i oczach tak ciemnych, jak oczy diabła. Obok niego na baczność stoi dwóch ludzi z bronią na jakichś szelkach. – Przewidywaaliśmy, że będziesz chciała uciekać, ale bez pieniędzy – rzuca na ziemię torbę z moimi plikami – chyba będzie ciężko, prawda?

– Czego wy ode mnie chcecie? Nie wiecie chyba, kim jestem i kim jest mój brat.

Uśmiech Jokera. To jedyne co teraz przychodzi mi do głowy, kiedy widzę twarz mężczyzny.

– Wiemy, wiemy. Zdradziecka siostra Cartera, która chciała wchłupać połowę mafii. Prawie ci się udało. To znaczy: udało ci się, gdyby Coletti nie była tak zawziętą suką. Współczuję ci zadarcia z nią. Ja jestem, kim jestem, ale Rosę wolę mieć po swojej stronie. Trzeba być bardzo odważnym albo bardzo głupim, aby zrobić coś takiego.

– Aha, działasz na zlecenie Rosy. Nawet tutaj ma swoje pieski? Pięknie. – Wybucham histerycznym śmiechem, bo co mi pozostaje. Juhu. No to jestem w dupie. A miało być tak pięknie. Plan był, jak widać, idealny. Prawie, bo oczywiście ta włoska suka nie mogła odpuścić. Powinnam zadzwonić do Kevina. Może coś wymyśli. Na pewno wymyśli i pomoże. Muszę tylko...

– Mogę wykonać ostatni telefon? – pytam.

Mężczyzna wstaje i zmierza w kierunku wyjścia.

– Do kogo? Przyjaciółka nie żyje, matka nie odbierze, brat nie chce cię znać, więc do kogo? Do tego przydupasa, którego Carter zadźgał, bo tamten go postrzelił? Próbuj, ale zmarli chyba nie odbierają telefonów. – Co?! Nie... Jak to wszystko... Pierdolony Martin. Jebana Rosa. Nienawidzę ich. Trzeba było wykończyć wszystkich, łącznie z moim bratem. Otruć, spalić, cokolwiek.

Jasna cholera...

– A może... – myślę przez chwilę mając nadzieję, że może uda mi się dogadać – ...mogłabym coś zaproponować? Mam pieniądze. – proponuję. Marokańczyk uśmiecha się złowieszczo i kręci głową z niedowierzaniem.

– Czeka cię lot do Włoch. Jako jedna z nielicznych będziesz miała okazję odbyć tę podróż moim prywatnym samolotem. Załóż najlepsze ubrania, jakie masz, panno Hopkins. U Rosy Coletti na takich spotkaniach obowiązuje strój wizytowy.

Rozdział XXIV

ROSA

Pogrzeby to chyba będzie moja ulubiona impreza. Ostatnio jestem na nich częstym gościem. Nawet nie gościem. Jestem jednym ze współorganizatorów jakże cudownych styp. Niedługo zapamiętam cały przebieg ceremonii i sama będę mogła je odprawiać. Ech. Czarny humor mnie nie opuszcza.

Długa kolejka żałobników i masa kondolencji. A najbardziej uwielbiam te smutne miny i powtarzające się słowa: „współczuję”, „wyrazy współczucia”, „moje kondolencje”...

– Moje kondolencje.

O, właśnie. Mało ambitne.

– Martin, wyglądasz jak kupa gówna – mówię zupełnie poważnie.

Nikt mnie nie przekona, że człowiek ma to w dupie, kiedy dowiaduje się, że najbliższe dla niego osoby okazały się tymi, które ranią najbardziej, bo jakby nie patrzeć nasze serce ranią tylko ci najbliżsi. To po nich mamy złamaną psychikę, serce i milion myśli w głowie, które nas wykańczają. To nie wróg sprawia, że umieramy od środka, bo opinie i działania takich ludzi mamy głęboko gdzieś. Umieramy, kiedy ranią nas najdrożsi. Sonia może nie była dla niego kimś ważnym, ale to jego krew. Z Kevinem był związany od początków swojej działalności w naszym świecie i choćby zaprzeczał, to nie ukryje, że zabolota go ta zdrada. I postrzelenie. Ręka na temblaku u mafioza ubranego w idealnie skrojony garnitur wygląda komicznie.

– Jak zawsze w formie – rzuca. – No cóż, nie każdy może przypominać królową. – Ogląda mnie od góry do dołu. – Albo anioła śmierci w czerwonych szpilkach. Czarny to nie twój kolor, wyglądasz wtedy blado i trochę przerażająco. Nawet ja się zaczynam bać.

Dajcie mi pistolet i wykopcie jeszcze jeden grób. Będą dwie pieczenie na jednym ogniu. Wykreślić słowo bladość ze słownika *famiglii*.

– Bo wyglądam jak chodząca śmierć, Carter. Jestem nią, więc jeżeli nie chcesz za chwilę spocząć na tym cmentarzu, to lepiej daruj sobie takie uszczypliwości.

Uśmiecha się lekko i odchodzi dalej, aby złożyć kondolencje mojemu bratu i ojcu.

Wzdycham głęboko. Jeszcze parę takich dni, kilka cudownych newsów i sama znajdę się na cmentarzu. Wykończą mnie wszyscy dookoła, a nie pieprzony no...

– Rosa.

– Michele. – Kiwam głową. Wyciąga dłoń w moją stronę, więc robię to samo. Ścisną delikatnie.

– Nie będę się powtarzał, ostatnio wyrazy współczucia i kondolencje słyszysz dość często, więc pozwolisz, że ja nic nie powiem i po prostu będę. Milczenie czasami wyraża więcej niż tysiąc wypowiedzianych słów.

Nawet nie wiesz, jak często, Luciano, nawet nie wiesz.

Przechodzi dalej jak każdy ze sznura żałobników. Wibrujący w kieszeni telefon daje o sobie znać któryś już raz. W takim momencie, cholera jasna. Odchodzę na bok i wyciągam go z kieszeni marynarki.

– Słucham.

– Po raz drugi składam kondolencje, *donna* Rosa.

– Dziękuję, Musad, wybacz, ale jestem na pogrzebie mamy. Oddzwonię do ciebie, jak wrócę do domu.

– Rozumiem. Ja chciałem tylko przekazać, że jestem właśnie w samolocie i lecę w wybornym towarzystwie do pięknego, ciepłego miejsca zwanego Włochami.

– Jakim towarzystwie?

– Może się przywitasz? – Słyszę w słuchawce rozmowę Musada z osobą trzecią. – Pomóc ci otworzyć usta? – Dłuższa chwila ciszy po drugiej stronie aparatu sprawia, że czuję stres.

– Cześć, Rosa.

O, Boże!

W tym samym czasie...

PABLO

Lekarza. Najlepiej od razu psychiatry. Potrzebuję na gwałt.

Siedzę na sofie i obserwuję armagedon, który właśnie nabiera mocy na moich oczach. Łatwiej mieć wszystkich na oku, jak są w jednym miejscu, więc Patrizia i bliźniaczki dla bezpieczeństwa przeprowadziły się do domu Rosy. I to był kurewski błąd, bo na zmianę płaczą. Nawet Valentina, która zawsze jest cichutka, zachowuje się tak, jakby coś ją ugryzło. A Lucas... Patrzę na swojego syna, któremu – jak widać – brakuje litości nade mną. On dzisiaj ma najgorszy jak dotąd dzień, przez co Camilla doszczętnie mnie sterroryzowała. Próbowałem jej pomóc, to jeszcze dostałem opierdól, że niczego nie potrafię. Weź, zrozum kobiety. Emanuele, Rosa, Carlo... HELP!

Wychodzę na patio, żeby zaczerpnąć choć trochę świeżego powietrza i na chwilę wyciszyć myśli. Ech, Coletti, za to, że sam muszę znosić takie cierpienia, przyjdzie ci słono zapłacić, kiedy tylko...

O. Nie tego z rodziny Colettich miałem na myśli, ale...

– Tak, Rosa? – odbieram telefon, który zaczął dzwonić. – Już po ceremonii? Myślałem, że będzie dłużej.

– Musad ma Sonię! – Na te słowa czuję paraliż, udar i zawał w jednym. – Słyszysz mnie, Pablo?!

– Jak, kurwa?

– Tak, kurwa – przedrzeźnia mnie. – Lecę do Włoch, ja postaram się od razu po pogrzebie pojechać na lotnisko. Przygotuj chłopaków na wizytę Harirego, a dla Sonii urządzcie najlepszy apartament w Publicco. – Pierdolony Marokańczyk. Zrobił to. I właśnie dlatego nikt nie chce z nim współpracować. On nie zna słowa „niemożliwe” albo „nie da się”. I przerażające jest to, że Rosa zaczyna być taka sama jak on. Dla niej nie ma słowa „nie”. – Pablo...

– Tak?

– Zadzwoni do niego i powiedz, że potrzebujesz pilnego spotkania.

– Nie, nie. Ja nie mogę, nie taka była umowa.

– Wiesz, gdzie mam wasze umowy w tym momencie? Zrób to. Przed tym, jak poślę Sonię do diabła, chciałabym, żeby poznała prawdę. Zabiorę ze sobą Martina. Na pewno ucieszy się na widok siostry i nie tylko. Mam bardzo ambitny plan i żywię nadzieję, że choć raz wszyscy mnie posłuchacie.

Rozłącza rozmowę, nie dając mi możliwości na wyduszenie z siebie żadnego słowa, a ja wgapiam się w czarny już ekran telefonu. Przez chwilę przetwarzam informacje i rozważam za i przeciw. Sam już zgłupiałem, zastanawiając się, czyje działania są lepsze i kogo powinienem ostatecznie słuchać. Jeden z Colettich teoretycznie nie istnieje, drugi jest i rządzi, ale tak naprawdę to wcale nie rządzi. Wariatkowo. Nas wszystkich czeka wariatkowo. Wybieram numer, który musiałem zapamiętać.

– Halo.

– Jest pilna sprawa. – Odpowiedzią na moje słowa jest westchnięcie. – Nie wzdychaj jak pizda – upominam.

– Ej. Nie zapominaj się. To raczej nienormalne odzywać się tak do swojego szefa.

Boki zrywać.

– Rozmawiam z duchem, to już samo w sobie nie jest normalne. Dzisiaj nie mogę przyjechać. Będę jutro – mówię krótko i ze względów bezpieczeństwa szybko kończę naszą konwersację. Jeszcze nie wiemy, czy Sonia, Eveline i Kevin to wszyscy, którzy maczali palce w podłożeniu bomby.

Rozglądam się po ogrodzie i próbuję pozbierać myśli do kupy. Myślałem, że jak znajdziemy Sonię, to ogarnie mnie spokój. Jednak się myliłem. Czuję się coraz mocniej zestresowany, tym bardziej że nie mam pojęcia, co wymyśliła Rosa.

Wracam do salonu. Lucas zasnął na rękach Camilli, a Patrizia razem z dziewczynkami właśnie zbiera się chyba na spacer po ogrodzie. Kiedy wychodzi, siadam obok żony.

– Znaleźli ją – informuję ściszym tonem. Oczy Cam wypełniają się łzami. – Co się stało? Nie cieszysz się? – Ocieram pierwszą łzę, która spływa po jej policzku.

– Cieszę. To są trzy szczęścia, Pablo, bo w końcu zaznamy spokoju, a Rosa odzyska dawne życie. Nawet nie masz pojęcia, jak trudno było mi patrzeć na jej ból i cierpienie. Ona na to nie zasłużyła. Jest tylu podłych ludzi na świecie, a to ona musiała przejść przez takie piekło. Mój Boże, dzięki Ci.

Wiem. Wiem, że świat nie jest sprawiedliwy i o tym przekonałem się już dawno.

Dlatego mam ogromną nadzieję, że teraz odzyska swój spokój.

Rozdział XXV

ROSA

Trzęsą mi się ręce, a serce łomocze jak kalosze w pralce. Sama nie wiem, czy to stres, ekscytacja czy może po prostu strach przed tym, co się stanie, jak już wszystko się skończy. Czy to, że zamknę ten jeden rozdział, nie sprawi, że rozpocznę jeszcze większe piekło dla kogoś? Bo ja do swojego już wdepnęłam i jeszcze w nim trochę pozostanę. Nie ukrywam, że bardzo tego chciałam, nie marzyłam o niczym innym tak bardzo jak o zemście i odzyskaniu spokoju, a dziś, gdyjechałam autem przez gęste chaszcze, naszła mnie refleksja, czy właśnie moja chęć zemsty nie sprawiła, że dotknęła mnie kara w postaci pojedynku, od którego będzie zależało nie czyjeś życie, a wyłącznie moje. Jest tyle pytań, na które chciałabym znać odpowiedź,

Wysiadam przed niewielkim domkiem. Biorę głęboki wdech. *Policz do dziesięciu Rosa.*

– Zestresowana?

– Skąd. Czy ja wyglądam, jakbym miała się zaraz zrzygać z nerwów? Na pewno nie – kpię. Co za posrane pytanie. „Zestresowana” to nieodpowiednie słowo. Zbyt małe w stosunku do powagi tej sytuacji. Jestem przerażona, a strach zaczyna paraliżować moje logiczne myślenie.

– Pamiętaj, że mamy tylko chwilę. Nie możemy tutaj być długo ze względów bezpieczeństwa. Czy ci się to podoba, czy nie musisz jeszcze przez tych kilka bądź kilkanaście godzin słuchać tego, co mówię. To dla dobra wszystkich.

– Chcesz mi powiedzieć, że mam tam wejść i po paru minutach wyjść? Ty siebie słyszysz?

– Słyszę. I zdania nie zmienię. Pół godziny maksymalnie.

Patrzę z niedowierzaniem. No to chyba jest jakaś totalna kpina.

PUK-PUK. PUK-PUK. PUK-PUK.

– Macie kod jak harcerze czy co? – Naśmiewam się z tego jakże komicznego, rytmicznego pukania do drzwi. Pablo wywraca oczami. Unoszę ręce w geście poddania, bo nie zamierzam się dzisiaj przepychać słownie. Chcę załatwić wszystko tak, jak należy, i pojechać do Publicco. Dostałam zaproszenie na imprezę, która ma się dzisiaj odbyć, i na pewno będę się na niej świetnie bawić. To coś jak Sylwester. Coś się kończy po to, aby można było zacząć coś nowego.

Po paru sekundach drzwi się otwierają. Pablo wchodzi jako pierwszy, a ja stoję jak wryta, bo mimo świadomości tego, co tam zobaczę, boję się, że to będzie bolało jeszcze bardziej niż migające na monitorach obrazki.

Stawiam krok. Później drugi i kolejny. Drzwi domku zamykają się, a ja...

– Rosa... Zrobiłaś to. – Odwracam się do osoby stojącej za moimi plecami. Mój Boże... Teraz mam swoją chwilę, żeby ryczeć jak małe, bezbronne dziecko w ramionach, które są dla mnie najbezpieczniejszą przystanią na świecie.

– Wszystko w porządku?

– Bardzo w porządku. – Uśmiecham się do Pabla, który siedzi na siedzeniu kierowcy.

To jednak było coś, czego tak usilnie potrzebowałam. Siedzenie w kościele albo na cmentarzu nie ładowało moich baterii tak jak dzisiejsza krótka wizyta. Czuję się tak spokojna i tak bardzo

oczyszczona ze wszystkich niepokojących myśli. Mój makijaż diabli wzięli, ale łyż i chwila ukojenia, jaką dały mi tak bardzo wyczekiwane ramiona, rekompensują każdą małą niedogodność.

Po kilkunastu minutach wysiadamy pod Publicco.

– Wysłateś Carla i Daria? – pytam, a Pablo kiwa głową. – Toto miał zaprowadzić Martina i Musada do mojego gabinetu, więc najpierw pójdziemy do nich. Carter nie spodziewa się takiej niespodzianki, chociaż jak zobaczy Haririego, to pewnie się domyśli. Albo i nie domyśli. Może będzie miał w głowie totalną rozpierduchę. – Szczęrze się kolejny już dzisiaj raz, a Pablo patrzy na mnie jak na totalną wariatkę.

Otwieram drzwi gabinetu i witam obu panów szerokim uśmiechem.

– Musad, Martin moje serce się na wasz widok raduje. – Carter patrzy na mnie jak na psychicznie chorego. Tak. Znam to spojrzenie. Identycznie patrzy Falconi. Trochę sfiksowałam przez tych parę tygodni, nie ma co zaprzeczać.

– Rosa Coletti, spotykamy się drugi raz i drugi raz jestem oczarowany twoim wyglądem. Pani śmierci.

– Musad, nie czaruj mi tak, choć nie ukrywam, że to, co mówisz, to miód na moje serce. – Chichoczę razem z nim.

– Widzę, że coś mnie ominęło. Chyba nie dostałem tych samych leków co wy, więc poproszę o taką samą dawkę, bo za chuja nie rozumiem, z czego wy się cieszycie. – Patrzymy na siebie z Musadem i wybuchamy jeszcze większym śmiechem. – No wariatkowo, ja pierdołę. – Carter pociera twarz rękoma, a potem patrzy na Pabla, który jedynie wzrusza ramionami, dając mu znać, że nic na to nie poradzi.

– Carter, cała mafia to wariatkowo, nie zauważyłeś tego? – Staję pomiędzy dwoma panami i na obu ich ramionach kładę dłonie. – Mam dla ciebie niespodziankę, Martin. Zerwane więzi zostaną dziś przywrócone. Wiemy, jak bardzo tęskniłeś za siostrą.

– Znaleźliście Sonię?! – pyta, a ja kiwam radośnie głową. – O, kurwa. – W oczach tańczą mi iskierki równie jasne, jak moje. Chyba nie tylko ja będę się cieszyć ze śmierci tej kretynki. – Dla ciebie też mam niespodziankę, Musad. – Marokańczyk patrzy dziwnie podejrzliwie. – W zasadzie ta niespodzianka będzie dla was obu. Albo i nie tylko. Ona będzie dla całego świata. – Falconi skinieniem daje mi znak, że wszyscy już dotarli, więc każdego zapraszam do zejścia na dół.

Schodzimy do piwnicy i im bliżej jesteśmy pomieszczenia, w którym spotkam swojego wroga, tym bardziej czuję się spięta, a zarazem tak bardzo szczęśliwa. Nie chciałabym, żeby poniosły mnie emocje. Pragnę zrobić to powoli. Powoli uświadamiać, że to, co zrobiła, sprawiło, że odrodziłam się jeszcze silniejsza, że wcale nie skrzywdziła nas tak, jak chciała to zrobić. Przede wszystkim chcę się na koniec dowiedzieć, dlaczego się uwzięła na moją rodzinę. Mam nadzieję, że dzisiaj będzie dzień, w którym dowiem się całej prawdy i spłynie na nas oczyszczenie, którego tak bardzo potrzebujemy, bo nie tylko ja tego chcę. Ta sytuacja pozwoli nam rozwiązać wiele wątpliwości i dowiedzieć się, co miała w głowie kobieta, która chciała odebrać drugiej wszystko, co najcenniejsze.

Metalowe drzwi. Zatrzymuję się przed nimi. Za mną Pablo i Dario, a dalej Martin i Musad. Wszyscy jak orszak, który zaprowadzi Sonię prosto do piekieł.

Jeżeli kiedykolwiek spotkacie dwie kobiety walczące ze sobą w zdrowej i równej walce, to zapamiętajcie ten widok. Wśród tej płci triumfują podstępny, ciosy poniżej pasa i okropne świństwa, które ranią bardziej niż prawy sierpowy. Znalazienie uczciwego przeciwnika graniczy z cudem.

Rozdział XXVI

ROSA

Naciskam klamkę i wchodzimy do oświetlonego, niewielkiego pomieszczenia. Na środku z dumnie uniesioną głową – pomimo że jest związana – siedzi Sonia. Rude włosy, czerwone usta i sukienka. Nadal tak bardzo wyzywająca. Nic się nie zmieniło oprócz koloru włosów. Taką ją zapamiętałam. Sukowatą i wredną, ale zarazem pełną dumy.

– Długo musiałam na was czekać – warczy opryskliwie. – Stała ta twoja gościnność, pani Coletti. Twój mąż był chyba lepszym panem domu. – Obcina mnie od góry do dołu. Nie powinna nawet słowem wspominać o Tommasie. – No proszę, jak bardzo schudłaś. W końcu wyglądasz z klasą. Idealna figura, blond włosy. Pięknie. Tylko jakoś mało opalona jesteś. Taka wiesz, jaśniutka ta twoja karnacja. Niewłoska.

Zabiję ją od razu, jak usłyszę słowo „blada”.

– *Donna* – mówi głośno Pablo, a ja się zastanawiam, co ma na myśli.

– Co? – Sonia wykrzywia usta z niesmakiem.

– *Donna*, tak masz się zwracać do *signiory* Coletti.

– Ach, no tak. Nasza mała Rosa została matką mafii, bo jej mąż niestety zmarł. Składam gratulacje, wspiąć się tak wysoko potrafią nieliczni, prawda? Coś tam czytałam, że jak się nie jest urodzonym w rodzinie mafijnej, to stanie na jej czele jest prawie niemożliwe, a tu proszę. Udało się, ale to moja zasługa, więc powinnaś podziękować, *DONNA COLETTI*. – Szczerzy się złośliwie.

Nie zabij jej, Rosa, calm down. Okaż jej resztki serca, które jeszcze bije w twojej piersi.

– Nie śmiejesz się, jesteś teraz strasznie sztywna – ciągnie. – Pamiętam cię bardziej wyluzowaną. Postawiłabyś chłopakom jakieś krzeselka, nogi ich będą bolały. Widownia na stojąco. Czuję się jak diva, *donna* Coletti. – Po raz kolejny mocno naciska na mój „tytuł”.

– A ja pamiętam cię jako spokojną, szarą myszkę w szkole. Później ci odwalilo i nadal nie potrafię zrozumieć, co sprawiło, że tak się zmieniłaś. Może zechcesz nam wszystkim to dzisiaj wyjaśnić? Zebraliśmy się tak uroczyście, w tak wielkim gronie – mówię, odpowiada mi cisza. Zupełna cisza. Za to złośliwy uśmiezek z jej gęby nie zniknął nawet na sekundę. – Stałaś się suką, która zaliczała każdego. W dodatku zraniłaś mnie, przyjaciółkę, która zawsze stała za tobą murem. Robiłam dla ciebie wszystko. – Opieram się tyłkiem o stojące naprzeciwko niej biurko. – Może zechcesz mi to wyjaśnić, wypowiadać się ze swoich grzechów przed tą ostatnią drogą. Chociaż w sumie... Nie wiem, czy ciebie zabiję. – Przykładam palec do ust, robiąc minę, jakbym się głęboko nad czymś zastanawiała i choć znów kiepsko się czuję, zachowuję pokerową twarz niczym najlepszy gracz. – Może któryś burdel będzie chciał nową dziwkę. Niektórzy dobrze płacą za to, żeby móc upodlić kobietę, jak najbardziej się da. Tyle że nie wiem, czy ciebie da się bardziej upodlić. – Odwzajemniam się równie złośliwym uśmiechem. – To powiesz mi, dlaczego tak bardzo uwzięłaś się na moją rodzinę? – Zakładam ręce na piersi i wyczekuję na odpowiedź tak samo, jak i pozostali. Sonia wzdycha jak najlepsza aktorka na scenie.

– Szczerze mówiąc, to ja sama nie wiem, czy bardziej chciałam, żeby cierpiał Dionisio czy ty. Twoje cierpienie byłoby jego cierpieniem, a jego tylko jego. I jakoś mi tak wyszło, że oboje cierpicie. To satysfakcjonujące jak jasna cholera.

– A co mój ojciec miał do tego?

– Przez twojego ojca straciłam największą miłość swojego życia. – Wyłapuję wzrok Martina, który ma równie zdziwioną minę co ja i wzrusza ramionami, dając mi do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o czym ona mówi. – Nadal nie rozumiesz. Przez twojego ojca ja straciłam swego ojca. – Milknie, a na twarzy daje się zauważyć rozpacz i smutek. Taki szczery i prawdziwy. – Kochałam go. Musiałam się po tym wszystkim pozbierać. Jak się dowiedziałam, kto go wysłał do więzienia, postanowiłam się zemścić. Odnalazłam cię przy pomocy Kevina, który był świetnym pionkiem w tej grze. Specjalnie zmieniałam szkołę, żeby się z tobą zaprzyjaźnić. Udawałam głupią cipę, choć to było bardzo trudne, bo ja jestem kobietą, która doskonale zna swoją wartość i umie walczyć o swoje. Później było już tylko lepiej. Zaczęliśmy się kumpłować. Obrabiałam sobie taki plan, że zdobędę twoje zaufanie, pokochasz mnie czysto przyjacielską miłością, a później cię wykończę psychicznie. Jakbyś ty upadła, upadłby i Dionisio. Celowanie w niego było bez sensu, bo by nie cierpiało, dlatego namierzyłam kogoś, kogo kochała.

– Każdy kocha swojego rodzica, ale to nie powód, żeby wybijać komuś połowę rodziny. Adam zasłużył sobie na więzienie.

– Ja go kochałam inaczej! I nie zasłużył! Ty też jesteś w jebanej mafii, a zasługujesz? Nie. Chodzisz wolna i cieszysz się, że zostałaś szefową. Miałam nadzieję, że się załamiesz, że strzelisz sobie w swój jakże obrzydliwie szczęśliwy łeb, ale trochę cię nie doceniłam. Zachciało ci się szukania mnie. Nie przemyślałam też paru kroków. Mogłam nie dzwonić zaraz po wybuchu. Nie wiedziałabyś, że to ja. – Wpatruję się w dziewczynę, która siedzi przede mną i zastanawiam, co miało znaczyć „ja go kochałam inaczej”. Cholera... Powoli zaczyna mi kipieć mózg.

– Wiedziałybyś. Zajęłoby mi to dłużej, ale dowiedziałabym się. Jonathan podczas ślubu Luciano powiedział mi parę dwuznacznych tekstów, nasuwając podejrzenie, że jesteś moją zmorą.

– Ach, tamtego dnia, kiedy dźgnęłam Colettiego nożykiem od listów? No... – Czuję, jak moje ciało wypełnia gorąco. Gorąco z wkurwienia. – Wtedy nie wyszło, mogłam zrobić to parę razy, a nie raz, ale trochę spanikowałam, jak usłyszałam kroki na korytarzu. Musiałam się ulotnić. – Wzrusza ramionami i wydyma usta jak mała, zasmucona dziewczynka, której nie wyszedł obrazek. – Wtedy też mi plan nie wyszedł do końca. Tak samo jak ten, gdy klęczałaś, a twoje szczeniaki siedziały ryczące w samochodzie. – Podnosi mi się ciśnienie. Podchodzę i uderzam ją w twarz.

– Nigdy nie nazywaj moich dzieci szczeniakami, suko. Nikt nigdy ich tak nie nazwie, nie dopóki ja żyję. – Zakrwawione usta i tak wyginają się w szyderczym uśmiechu.

– Tak, wiem, o zmarłych nie powinno się mówić źle. – Spluwa mi na buty.

Uch, to się jeszcze zdziwisz.

– W każdym razie – ciągnie opowieść – wtedy też mi nie wyszło, ale plusem było to, że uczepliłaś się Andrejewa, bo udało mi się wynajść paru Rusków do zastrzelenia was i to cię zmyliło. Czy tam Tommasa, nie wnika. Swoją drogą... Co to był za idiota. Rozumiesz, że on nie chciał mnie nawet bzyknąć? I odmówił sprzątnięcia was? Kretyn. Nie rozumiem tych ludzi, wschód świata to jednak idioci. Proponowałam mu taką kasę i takie ciało. Ech. – Czyli wszystkie nieszczęścia, jakie spotykały moją rodzinę, były wynikiem fantazji jednej suki, która coś sobie uroiła. Coś niesamowitego. – A w związku z tym, że Penelope była moją przyjaciółką i wiedziałam, co zrobił jej Coletti, postanowiłam upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zemścić się za nią i za siebie. Jak widać, się udało. Pomoc Kevina i tej twojej krótkoterminowej gosposi okazała się strzałem w dziesiątkę. Podłożyła bombę niezauważoną.

– Czyli wciągnęłaś w swoją chorą grę Eveline... – szepczę. – Dlatego popełniła samobójstwo. Wszystko jasne.

– Samobójstwo? Jaka miękka cipa. Świat nie jest dla słabeuszy.

Szpital psychiatryczny dla takich ludzi to za mało. Mam ochotę to zakończyć, ale został jeszcze Martin, który na pewno chętnie przywita się z siostrą.

– Nie przywitałaś się z bratem – zauważam.

– Jebać go. Jest zakłamanym egoistą patrzącym na siebie i swojego fiuta, nie interesował się mną przez całe życie, więc mam go w dupie. Szkoda, że Kevin nie trafił go w łeb, byłby spokój. – Posyła mu pogardliwe spojrzenie. – Zabił Penelope, zabił Kevina. Jest gnojem. Dobrze, że nie wykończył matki.

– Tak prostując sytuację, to... matki nie, za to ojca tak – mówi z ogromną dumą w głosie, a Sonia zamiera na chwilę. Obserwuję rodzeństwo. Powinam wziąć popcorn, bo to, czego się dzisiaj dowiadujemy, przechodzi moje najśmielsze oczekiwania i coś mi mówi, że przed nami jeszcze jakieś ciekawe smaczki.

– Jak to ojca?! Przecież tata powiesił się w więzieniu przez tego gnoja, Provenzano. – Martin podchodzi do niej i wyciera jej krew z kącika ust. Wywracam oczami. Troskliwiec się znalazł.

– Nie, to ja kazałem go powiesić. Zapłaciłem dobrze tym, którzy potrzebowali kasy. Pieniądze przekonają każdego. I ojciec zasłużył sobie na więzienie bardziej niż ktokolwiek. Poza ciemnymi interesami, jakie prowadził, miał też przerażające hobby, dostarczyłem więc dowody Dionisiowi i było po sprawie. Wiesz, dlaczego akta były utajnione? Bo pierdolony Adam Carter miał ciążotki do małych dziewczynek. Nikt o tym nie wiedział, tylko ja. Rozmawiałem z nim na ten temat w nadziei, że to jakaś chwilowa słabość albo pojebanie mózgowe na starość. Nie jestem święty i nikt z nas tutaj nie jest, ale to, co robił ojciec tym małym dzieciom, było obrzydliwe. Nie chciał się bawić w handel ludźmi, bo wolał pchać swojego kutasa w małe cipki albo małe usta, już o innej części ciała nie wspomnę. Brzydziłem się go – opowiada, a ja zaraz się chyba zrzygam. – Wszystko zrozumieć, ale nie przestępstwa na małych dzieciach. Mogę sprzedawać dziewczyny do burdeli, mogę prowadzić kluby, mieć swoje własne dziwki, dilać narkotykami, ale nigdy w życiu takich rzeczy. Matka dowiedziała się o tym przypadku, jak rozmawiałem z ojcem Rosy już po sprawie. Wtedy właśnie zwariowała i musiałem zamknąć ją w cholernym psychiatryku. Jak widać, ciebie też powinienem.

– Nie, kłamiesz! Tata mnie kocha! Tylko mnie kocha! I tylko mnie potrafił dotykać w tak cudowny sposób.

Co?!

– Co?!

Właśnie!

– Kochałam go, był moim ideałem. Zawsze zwracał na mnie uwagę, troszczył się o mnie, uwielbiałam spędzać z nim czas. Jak byłam coraz starsza, to na coraz więcej mogliśmy sobie pozwolić. Nikt nie całował tak jak on. Nikt tak delikatnie nie wprowadzał mnie w tajniki miłości. Później pokazywał, co mężczyzna może zrobić z kobietą, jaki może być seks...

– Kurwa, czy ty siebie, dziewczyno, słyszysz?! Chcesz mi powiedzieć, że nasz ojciec jebał i ciebie?!

Łoh, cóż za dosadne słowa, Martinie, klasa sama w sobie.

Patrzę na Musada i Pabla, których miny sugerują narastające torsje. Ja też mam ochotę puścić pawia.

– Patologia. Zaraz się zrzygam...

– Kurwa, Carter. – Odsuwam się od niego, bo naprawdę wygląda, jakby miał to zrobić. – Jak obrzygasz mi buty, wsadzę ci szpilkę w dupę, mięczaku.

Musad rechocze pod nosem, a Martin naprawdę zrobił się błądy.

– Połowę swojego życia spędziłam w przekonaniu, że to wina Dionisia, a to tylko twoja sprawka! Ty powinieneś być zdechnąć! Ty, skurwysynie!

Szlochanie, ryk zranionego zwierzęcia? Jeżeli ktoś kiedykolwiek słyszał zranione zwierzę, to właśnie taki dźwięk dzisiaj wydobyła z siebie Sonia, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja jej nawet nie współczuję. To przerażające.

– Ty serio powinnaś była wylądować w psychiatryku razem z matką. – Sonia pluje w twarz pochylonemu nad nią Martinowi. – Zabij ją, kurwa, i miejmy święty spokój, Rosa – rzuca wściekły, wycierając twarz.

– Nadal nie umiem pojąć, po co robiłaś te wszystkie szopki, ale dzięki temu nasuwa się jeden wniosek. Nauczka dla nas wszystkich i niech każdy weźmie to sobie do serca. Im więcej kombinujesz, tym gorzej to wychodzi. Trzeba było po prostu zabić mnie albo mojego ojca, a ty sobie niepotrzebnie utrudniałaś. Dlaczego? Dlatego, że sama nie wiedziałaś, komu zadać ból. I powiem ci, że prawie udało ci się mnie zabić. Bo po – robię cudzysłów w powietrzu – pogrzebie Tommasa, Adriana, Vincenta i Bianki chciałam strzelić sobie w łeb i tylko dzięki Pablowi stoję tu dzisiaj i patrzę ci w oczy. – Przystaję krząć po pomieszczeniu i siadam za biurkiem. – Powinnam powiedzieć, że jest mi przykro z powodu twój ojca, ale nie jest. Chciałaś z zimną krwią zabić tyle ludzkich istnień, w tym małe dzieci, że dla mnie jest to niewybaczalne. – Milknę i kręcę głową. Chyba czas odstąpić wszystkie karty. – Tommaso umrze dopiero teraz, ale ze śmiechu z twoich poczyną.

– Co? – Nie odpowiadam na pytanie Sonii, patrzę na Pabla, który bez słów rozumie, co chcę przekazać, i powolnym krokiem wychodzi z pomieszczenia. – Ja może i zwariowałam, ale ty chyba jeszcze bardziej. Nie mówię o swoim zmarłym ojcu jak o żywym, za to ty chyba się jeszcze nie pogodziłaś ze śmiercią męża. Wierz mi. Im szybciej to przyjmiesz do wiadomości, tym lepiej. Ja wiem, że bez króla to jest się marną królową, ale da się.

Wybucham wręcz iście historycznym śmiechem. Dobre rady od psychopatk. No to będzie zabawa.

Do pomieszczenia wraca Pablo i ponownie staje u mojego boku.

– Królową jest się z królem czy bez niego, Sonia. Nie uzależniamy swojej pozycji czy szczęścia od kogoś. Tylko wtedy jesteśmy w stanie cokolwiek osiągnąć. Dzięki sobie samym. Twoja zakrzywiona rzeczywistość sprowadziła cię do miejsca, w którym siedzisz, i warto było? Grałaś kiedyś w szachy? Tam każda królowa broni swojego króla, nie odwrotnie.

– Nieważne, ważne, że mam świadomość tego, że ty zostajesz na tym świecie ze starym ojcem i bratem, który jest nieudacznym facetem. Niby taki przystojny, inteligentny, a dalej bez kobiety.

Wstaję i wygładzam czarną sukienkę.

– Mój ojciec, jak na swój wiek, ma się świetnie, co może potwierdzić Martin, bo są w stałym kontakcie i nadal współpracują. – Carter złośliwie potakuje głową, a Sonia zaciska usta w wąską linię. – Mój brat jest wspaniałym facetem, a to, że ciebie nigdy nie chciał, oznacza, że ma pewne wartości i standardy, których nigdy nie obniży. Teraz będzie jeszcze bliżej Colettich, bo bardzo kibicuję mu w tym, aby jego związek z bliźniaczką Tommasa wypalił. – I powoli zaczniemy rzucać asami. – No i nie zostaję sama. Mam wokół siebie przyjaciół, mam Colettich i ludzi lojalnych tak bardzo, że nawet kiedy mój mąż zniknął na parę tygodni, oni pozostali ze mną, żeby ciebie szukać w ramach zemsty. Tak po prostu, bo chcieli się zemścić razem ze mną.

– Co? Czekał... Jakich parę tygodni?

Zdziwiony Musad, piękny widok.

– Drodzy państwo, pragnę wam przedstawić na nowo. – Pablo otwiera drzwi – Tommaso Coletti we własnej osobie.

W tym momencie mój mąż z dumnie uniesioną głową wchodzi do pomieszczenia. Wypadek wiele zmienił. Wybuch poparzył mu szyję i część lewej strony ciała. W wyniku wybuchu była też potrzebna amputacja lewej dłoni, bo kości były okropnie zmiżdżone. Ale dla mnie nadal jest najpiękniejszym i najodważniejszym mężczyzną na świecie.

– Pierdolony robocop! Haha! Nie wierzę, co tu się odjebało. Przecież ja was zabiłam. Ukryta kamera? Halo?! To bardzo zabawne. Sobowótora łatwo znaleźć.

– Sobowótora? Znajdź mi drugiego takiego dwumetrowego Włocha jak ja. Próbowałam zabić, tylko jak zawsze twój plan miał jakieś niedociągnięcia. Mściwe kobiety popełniają błędy. – Chrzękam upominawczo. – No oprócz... *Donny Rosy*. – Złośliwiec powrócił. Teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo tęskniłam za samym jego głosem. – Kiedy jechaliśmy samochodem i zadzwonił jakiś nieznany nam telefon leżący pod fotelem, od razu wiedzieliśmy, że to nie wróży niczego dobrego. Wiedzieliśmy też, że jeżeli to bomba, to nawet jeżeli go nie odbierzemy, po paru sygnałach ładunek wybuchnie. W ostatniej chwili udało mi się z niego wyskoczyć, ale jak widzisz – odsuwa kołnierzyk koszuli, ukazując ciągnącą się w dół bliznę – nie obeszło się bez szwanku. – Unosi w górę rękę, w której amputowano dłoń. – To mnie najbardziej zabolowało, bo nie wyobrażam sobie życia bez dłoni, ale na szczęście medycyna jest na takim poziomie, że faktycznie będę jak robocop. Tylko że ty już tego nie zobaczysz. – Uśmiecha się jak Joker, eksponując przy tym bliznę na policzku. Tak, niesamowicie tęskniłam za tym widokiem.

– Ja pierdolę, co wyście zrobili? – Martin łapie się za głowę. – Przecież to majstersztyk. Zrobiliście takie pranie mózgu każdemu z nas, że to nadaje się na scenariusz filmu. Chylę czoła.

– Dziękuję wam obu, że pomogliście mojej żonie. Teraz to ja mam dług wdzięczności wobec was dwóch.

– Nie porzygajcie się. Bachory i tak nie żyją. – Sonia szczerzy zęby. Kiwam na Pabla, który otwiera drzwi.

– Przywitaj się z Vincentem – mój syn wchodzi tak samo jak ojciec z dumnie uniesioną głową i zagipsowaną ręką. Nie widziałam ich kilka tygodni, a każde tak bardzo urosło, spoważniało i po tym wydarzeniu pewnie już nigdy nie będą radosnymi dziećmi. Przynajmniej nie Vinnie.

Za nim wchodzi Bianca.

– I z Biancą – która podchodzi do Sonii i kopie ją w nogę.

– Aua, ty mała...

– Bianca! – Tommaso upomina naszą córkę.

– No co? – Młoda marszczy brwi i wkurzona patrzy na ojca. – Zastąpiła siebie. – Za tym seplenieniem też tęskniłam, choć zauważyłam, że jej wada wymowy powoli zanika i niedługo nasza Biani nie będzie już malutką dziewczynką. Śmieję się pod nosem. Na pewno będzie za to charakterną kobietką.

– Biani – zwracam się do małej, czarnowłosej złośnicy. – Pięknie powiedziałaś „ż”.

Uśmiecha się jak mały chochlik i staje obok Vincenta.

– Trzeci szczeniak także żyje – warczy Tommaso. – Najmniejsze obrażenia odniosła Bianca, bo... świętej pamięci Arturo odrzucił ją jak najdalej samochodu. Miała kilka stłuczeń. Vincent – Coletti wskazuje palcem na syna – ma złamaną rękę tak mocno, że lekarze składali ją kilka razy, i przestał mówić. Od dnia wypadku nie wypowiedział ani jednego, jebanego słowa. Przez ciebie. – Mierzy palcem w Sonię. – A Adriano nadal leży pod aparaturą, bo jego stan z całej trójki był najcięższy, ale wyliże się, bo to nasz syn i ma wielką wolę walki, tak jak i my. – Na myśl o Adrianie ściska mi serce. To prawda, jego stan był najcięższy. Też ma poparzoną część ciała, groziła mu amputacja nogi, jednak sprowadzenie najlepszych specjalistów do chatki Baby Jagi sprawiło, że udało się cudem ją uratować.

– Czyli z waszej piątki zginął tylko Arturo? – wtrąca Musad.

Tommaso kiwa głową, potwierdzając tę informację. Hariri podchodzi do niego i poklepuje po ramieniu.

– Najszczęśliwszą kondolencję. I dobrze cię widzieć, bo twoja żonka jest... – Patrz na mnie obaj.

– Wiem, potrafi napsuć krwi.

Coletti, ty dupku.

– Wszystko pięknie, ale... Jak wy zamierzacie wrócić do świata żywych? Będziecie zmieniać tożsamość? O waszym pogrzebie było głośno jak cholera.

– Nie, Carter, nie ma mowy – odpowiadam. – Czy widziałeś kiedykolwiek akt zgonu? Nie widziałeś, bo taki nie powstał. Przypominam, że pieniądze czynią cuda. Wszystko już przemyślałam. Szczegółów dowiesz się z gazet. Tymczasem... – Skupiam uwagę na Sonii, która obserwuje nas, jakbyśmy grali na jej psychice niczym najlepsi gracze pokera. Do niej chyba nadal to nie dociera.

– Pablo, zabierzesz stąd dzieci?

Falconi chwytając za rękę Biancę i kieruje się do wyjścia. Dario otwiera im drzwi i oboje czekają na to, aż dotączy do nich Vinnie.

– Mamo... – I ja i Tommaso zszokowani wpatrujemy się w Vincenta. Jezu... Myślałam, że nasz syn nigdy nie powie już żadnego słowa.

– Tak, skarbie? – wyduszam przez ściśnięte gardło i powstrzymuję płacz.

– Nie miej dla niej litości. Niech mocno cierpi, a później zabij ją, za Adriana i wujka Artura.

Po tych słowach Vincent tak po prostu znika za drzwiami. Za nim wychodzą Bianca i Pablo z miną nie do opisania.

Cały ten rozdział naszego życia to było naprzemiennie pasmo nieszczęścia i szczęścia. Na zmianę byliśmy sfrustrowani, wkurwieni, rozgoryczeni, pełni nadziei, radośni, ale najczęstszym uczuciem, jakie nam towarzyszyło, było zdziwienie. Takie, jakie owładnęło w tym momencie każdego przebywającego w tym pomieszczeniu. Mój syn bez najmniejszego wahania wydał wyrok śmierci. Mając niespełna osiem lat... Boję się pomyśleć, jaki będzie dalej i jak bardzo te wydarzenia skrzywiły jego psychikę. Ja nie chcę brudzić sobie rąk. Może gdyby moja rodzina faktycznie wtedy zmarła, to osobiście wymierzałabym wyroki, ale teraz nie będę tego robić. Niektórzy podczas takich rozkazów bawią się co najmniej tak dobrze, jak dzieciaki w wesołym miasteczku.

– Dario. – Mężczyzna staje na baczność. – Czy pamiętasz, co zrobiłeś w magazynach dla Andrejewa? – Potwierdza. Przeskakuję wzrokiem po każdym przebywającym w tym pomieszczeniu mężczyźnie, aż moje oczy zatrzymują się na Soni. Podchodzę bliżej tak, aby widziała moje źrenice. – To zrób jej to samo albo i dwa razy gorzej.

– Nie! Nie, nie możesz tak! Po prostu zastrzel mnie! Rosa! Ty suko!

Zostawiam za sobą dźwięki rozpaczony Sonii. Jej szamotaninę, krzyk, łkanie i proszenie o szybką śmierć. Na pewno taka by była, ale nie po prawdzie, jakiej się dowiedziałam. Dzisiejszy dzień stanowił sąd ostateczny.

– Byłaś dzielna, *donna* Coletti.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo miałam dość, Tommaso. Tylko dzięki temu, że wiedziałam, że żyjecie, znajdowałam siłę, żeby codziennie rano otwierać oczy.

– Już po wszystkim, kochanie. Teraz możesz odetchnąć.

I teraz mogę pójść na zasłużony urlop, żeby móc zawalczyć o siebie.

Rozdział XXVII

TOMMASO

Zestresowany zakładam koszulkę i poprawiam włosy. Rosa postanowiła zaprosić wszystkich na obiad i wtedy przekazać im, że żyjemy. Z żołnierzami spotkam się sam, na pewno będzie to dla nich niemały szok. Wszystko, co się działo ostatniej nocy, pozostanie owiane tajemnicą, ale z wielu rzeczy będziemy musieli się wytłumaczyć. Ja będę musiał.

Ostatni rzut oka w lustro. Moja blizna na policzku była zmorą i prześladowała mnie od najmłodszych lat, ale poparzona tak duża część ciała i brak ręki jest jeszcze większą. Nadal trudno mi się z tym pogodzić, ale czasu nie cofnę. Najważniejsze, że żyję, że dzieciaki żyją. Reszta się teraz nie liczy.

Wychodzę z sypialni i na korytarzu spotykam Camillę.

– Tommaso Coletti, ty wielki dupku, tęskniłam. Nie mogę unieść rąk, bo niestety ciągną mnie szwy, więc cię nie przytulę. – Uśmiecha się.

– Też tęskniłem, Cam. – Obejmuję ją zdrową ręką. – Słyszałem, że mieliście niespodziankę na porodówce. – Z ich sypialni wyłania się Pablo, który na rękach trzyma małego człowieczka.

– Lucas chce ci powiedzieć „dzień dobry, wujku”.

Podchodzę do Falconiego. Pamiętam, jak cholernie byłem dumny, dowiadując się w dniu porodu, że mam chłopców. Bianca to zupełnie inna kategoria. Mając córkę i synów, wiem, że to nieprawda, że do każdego dziecka podchodzi się tak samo. Nie. Każde kocha się równie mocno, to fakt, ale córki otacza się specjalną miłością i opieką. A posiadanie synów to największa radość, jaka może przytrafić się mężczyźnie. Poklepuję go po plecach.

– Gratuluję. Lucas zaskoczył nas wszystkich. Oby całe życie potrafił was tak zaskakiwać.

– Oby nie! – zaprzecza Camilla. – Chyba oszalałeś. – Zabiera małego i schodzi na dół.

– To będzie... Mocne spotkanie. Nawet Nunzio nie wiedział, że żyjesz. Nie zdziw się, jak zamiast radości zobaczysz zdziwienie albo będą cię wyklinać. Nie masz pojęcia, ile razy Rosa miała ochotę pierdolnąć to wszystko. Najbardziej wtedy, kiedy Ninetta chciała łykać tabletki, a Alejandra rozpaczła nad tym, że oddałyby wszystko za wasz powrót. Ten plan był dobry, ale skrzywdził wielu ludzi. Teraz będzie trudno pewne rzeczy naprawić.

Ściska mnie w żołądku i w gardle.

– Wiem, Pablo, wiem, ale gdybyśmy tego nie zrobili, ona nigdy nie dałaby nam spokoju. Cały czas by polowała i jej czujność nie zostałaby uśpiona. Nieraz myślałem nad tym, aby powiedzieć najbliższym, że żyjemy. Tylko że wtedy nie byłoby to tak realne. Moja siostra i matka to słabe aktorki, nie potrafiłyby kłamać, jak Rosa.

– Noo... Dlatego, stary, bój się, bo nigdy nie wiesz, co ona teraz będzie w stanie odwalić.

Śmiejemy się i zmierzamy na dół. Po drodze Pablo zostawia mnie samego, a ja wchodzę do pokoju Vincenta i Adriana.

– Gotowy? – pytam, ale syn nie odpowiada. Wstaje za to i podchodzi do mnie w milczeniu. Kucam.

– Vinnie, nie chcę, żebyś się przez to zamykał. Adriano jest na dole, w specjalnej sali, będzie dobrze. Ja wiem, że to trudne i wielu rzeczy jeszcze nie zrozumiesz, ale...

– Rozumiem. Po prostu tęsknię za Adrianem, tato, i czuję, że z każdym dniem cząstka, która nas łączyła, umiera. A ja tego nie chcę. Boję się, że jak Adriano się obudzi, to już nigdy nie będziemy takimi braćmi jak kiedyś.

Pokruszone w drobny mak serce ojca. Nie ma chyba czegoś gorszego. Nawet nie wiem, co mam powiedzieć.

– Adriano nas kocha, Vincencie, zawsze będziemy nierozłączni. – Zza pleców dobiega głos Bianki. – A wujek Arturo będzie nas w tym wspierał, z góry. Tata z mamą chronią nas tutaj, a on tam. – Teraz mam ochotę po męsku uronić łzę. Kurwa, jakie te moje dzieci są mądre. – Chodź, tatusiu, czekają na nas. Tęskniłam za babcią i chcę zobaczyć dzidzisie cioci. Mama mówiła, że strasznie beczą. – Ostatnie zdanie mnie rozbawia. Zbieram się do kupy. Podaję rękę Biance, a ona Vincentowi.

– Postuchajcie... – Dźwięczny głos mojej żony roznosi się po całym salonie i dobiega na górę. – To... Ciężkie. Ja wiem, że nie tak powinno było to wyglądać, ale to nie ja będę wam się tłumaczyć. Są bardziej upoważnieni do tego. – Nie wyszła z wprawy. Kochana żona. – Ostatnie tygodnie każdemu z nas zrobiły pranie mózgu, ale mój mózg przechodził istny magiel, wiercie mi. Musiałam dostosować siebie i innych do zaistniałej sytuacji. Choć sama byłam bliska strzelenia sobie w... – Milknie. Na dole jest mała Alejandra, która na pewno lepiej, żeby tego nie słyszała, a skoro ja to słyszę na schodach, to i nasze dzieciaki też by usłyszały. – No, rozumiecie. Mamo... Irene. Do was największa prośba. Błagam, nie denerwujcie się. Nunzio i Patrizia, wy musicie mi wybaczyć zatajanie pewnych informacji. Po prostu dla dobra każdego z nas musiałam. Tato... Ciebie też mocno przepraszam, ale inaczej nie mogłam. Emanuele tak samo. Wszyscy będziecie musieli wybaczyć to, co się wydarzyło.

– Chcesz nam powiedzieć, Rosa, że odchodzisz? – Głos matki przyprawia mnie o szybsze bicie serca. Tak dawno ich wszystkich nie widziałem.

– Skąd, nie odchodzę. To... Niektórzy przychodzą.

Zapada cisza. Bianca pociąga mnie za rękę. Podchodzę do schodów i stawiam pierwszy krok na stopniu. Powolnym krokiem tak, żeby dzieciaki nadążyły za moim tempem, schodzimy na dół.

– Bianca! Vincent! – Radosna Alejandra podbiega do nas. – Myślałam, że was nigdy nie zobaczę! Jak wy to zrobiliście? Myślałam, że nie żyjecie!

Obserwuję reakcję syna. Uśmiecha się. Niepewnie, ale to chyba dobry znak.

– N... Nie... Nie...

– Mamo...

– To nieprawda. Nie grajcie z moją głową! To się nie dzieje!

– To abstrakcja. – Duka Irene i przysiąda na sofie. – *Madre di Dio...*

Podchodzę do matki i klękam przed nią.

– Naprawdę tu jestem, mamo, i wybac mi, że musiałem to zrobić. Wszystkich was proszę o wybaczenie, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Wczoraj nasze piekło się skończyło i mogliśmy wrócić do domu. – Głaszcząc mnie po głowie, a na koszulce czuję spadające łzy. Kurewska prawda. Skrzywdziliśmy wielu ludzi i teraz będę musiał to odbudować.

Wstaję na równe nogi.

– Tommaso... Jak? – pyta zdziwiony Dionisio.

– Ech... Nie było to łatwe. Decyzja zapadła w ułamku sekundy i wiercie mi, okazała się najtrudniejsza nawet dla mnie, ale...

Dzień wypadku...

– *Dobra, Tommaso, bierz dzieciaki i Artura. Jedźcie. A ja razem z Pablem i Camillą zaraz ruszę. Zadzwonię do koleżanki z San Francisco, która zrobiła specjalizację ginekologiczną. Może coś nam podpowie na te mdłości.*

– Jesteś pewna? Możemy poczekać.

– Bez sensu. W tym czasie rozpakujecie cały bagaż. Carlo niech weźmie auto, którym mieli jechać Camilla z Pablem, tam też są bagaże. My dojedziemy moim. Będzie dużo szybciej. Poza tym trójka zaraz zacznie dawać się we znaki, siedząc beczynn timer w samochodzie.

Myślę przez chwilę, po czym podchodzę, cmokam Rosę miękko w usta i zgadzam się z tym, co mówiła. Może nie spóźnimy się na lot.

Wsiadam do auta i ruszam z podjazdu. Dzieciaki z nosami wlepionymi w ekrany za fotelem moim i Artura grzecznie oglądają jakąś bajkę. Cud. Zawsze są wrzaski, krzyki i przepychanki. Kto by pomyślał, że cała trójka z takim zaciekawieniem będzie oglądała jakąś głupią bajkę o gąbce, która mieszka pod wodą. Absurdalne. Ale... Jak widać, coś, co jest głupie, a działa, to wcale głupie nie jest. Wciskam mocniej gaz i próbuję dogonić jadącego przed nami Carla.

– Chyba nie wziąłem swojej kosmetyczki.

– To kupisz sobie potrzebne pierdoły tam, Arturo.

– Mhm, no, chociaż w sumie jestem tak zajębiście przystojny – zerka w lusterko – że nie potrzebuję żadnych kosmetyków – wywracam oczami. Co za narcyz.

– Wujek jest najsuuper chłopakiem! – krzyczy Bianca, której podzielność uwagi zaczyna mnie rozbrajać. Za dużo odziedziczyła po matce. Za dużo.

– A ja, Biani?

– Ty jesteś za wujkiem, tatusiu.

Mój brat szczyrzy się szeroko. No tak. Ich wzajemna miłość jest bardzo wyjątkowa. Nie wiem, czy to dlatego, że mój brat nie ma swoich dzieci, ale dla Bianki jest jak drugi ojciec. Królewicz i jego księżniczka.

– Co to dzwoni?

Nieznany dźwięk roznosi się po aucie.

Arturo sięga ręką do schowka w drzwiach i wyciąga niewielki telefon starej generacji. Przez chwilę obaj myślimy, skąd to ustrójstwo wzięło się w moim au...

– Kurwa! – Zatrzymuję auto w miejscu. – Wysiadaj, wysiadaj!

Wyskakuję z samochodu i otwieram tylne drzwi. Odpinam Vincenta, który siedzi w foteliku najbliżej.

– Pierdolone pasy! – warczę. Arturo w tym samym momencie wyciąga siedzącego po drugiej stronie Adriana i zabiera się za odpinanie Bianki, której fotelik umieszczony jest po środku.

– Bierz Vincenta i Adriana i odbiegajcie jak najdalej! – rozkazuje. – Ja wezmę Biankę.

– Nie, poczekam.

– Tommaso! – warczy. Biorę obu chłopców za ręce.

– Chodźcie, szybko biegniemy!

– Nie, tato tam został mój samochód! – Adriano wyszarpuje rękę i zawraca w stronę auta.

– Adriano, nie!! Vincent zostań! – Puszczam rękę drugiego z synów i ruszam za Adim.

To, co widzę, trwa dosłownie sekundy. Arturo wręcz wyrzuca Biankę z samochodu i sam gramoli się ze środka, jednak...

BUM. BUM. BUM.

Siła wybuchu odrzuca mnie i Adriana w tył. Jakiś element samochodu przygniata mi rękę. Syczę z bólu.

– Chryste, nie! – Za wszelką cenę wrywam się i próbuję wyciągnąć dłoń. Po chwili udaje mi się zepchnąć kawał metalu i podbiegam do syna, który był dość blisko miejsca wybuchu. – Adriano...

Adriano, nie... – Przykładam dwa palce do szyi syna. Żyje. Wyciągam telefon i wykonuję szybkie połączenie do Carla.

– Zawracaj, mój samochód wybuchł.

– Co?

– Zawracaj, kurwa! – warczę i odrzucam urządzenie na bok. – Biani? Bianca, skarbie...

– Aua... Tato... – płacze, pokazując zakrwawione kolana i rozcięcie nad okiem, które zrobiło się od uderzenia w asfalt. Mam ochotę rozszarpać całą, pierdolony świat!

– Vinnie! – krzyczę do przerażonego, stojącego kawalek dalej syna. – Vinnie, chodź tu.– kurwa, co ja mam teraz zrobić. Myśl, Tommaso, myśl...

W tym samym czasie Carlo podjeżdża drugim autem. Otwieram tylne drzwi.

– Do szpitala?

– Nie! Jak my to wyjaśnimy? A jeżeli ktoś czeka na drodze? Kurwa, nie możemy!

– To co robimy?

– Dzwon do doktora Mendeza. Powiedz, że będziemy czekać na niego w domku, w którym organizowaliśmy paintball. On będzie wiedział, gdzie to, bo kiedyś przyjeżdżał tutaj wypoczywać z żoną, a ja ciebie ponawiguję. Szybko.

Kiwa głową i wykonuje połączenie. Kolejno wsadzam Vincenta i Biancę. Nieprzytomnego Adriana odkrywam swoją bluzą i zabieram do auta. Siedzam na kolanach.

– Synku, trzymaj się. Nie opuszczaj nas. Słyszysz? Tata ciebie potrzebuje...

Podjeżdżamy przed niewielką, drewnianą chatką. Rosa organizowała mi tutaj urodziny. Prosiła wtedy Daria i Totę, żeby zbudowali minipoligon oraz niewielką bazę i całe szczęście, bo teraz może nam się przydać. Rozwalam zamek, bo nie mam kluczy i wchodzę do środka. Kładę Adriana na dużej sofie i ponownie sprawdzam tętno.

– Vinnie, Biani... wszystko w porządku?

Jedno wtulone w Carla, a drugie w Daria nie reaguje na moje pytanie. Ja pierdołę. Nie wiem, kto to zrobił i jak to zrobił, ale zabiję... Przysięgam.

– Tommaso, co się stało?

– Nie wiem, w samochodzie był jakiś telefon, zaczął dzwonić. Arturo... – Ścisła mnie w żołądku, kiedy wymawiam imię brata, bo widok, kiedy szamocze się z pasem i... nie zdąży odbiec od auta, będzie mnie prześladował do końca jebanego życia. Uratował Biancę, nie patrząc na nic innego. – Wskoczyliśmy z auta. A potem już było po wszystkim... – Milknę na chwilę. – Zadzwoń do Pabla. Tylko niech nic nie mówi Rosie. Przywieziesz go tutaj.

Potakuje i znika za drzwiami, niezwłocznie ruszając po Falconiego.

– Panie Coletti. – Lekarz wchodzi do domku.

– Potrzebuję pomocy – mówię, a on mi się przygląda. – Najpierw mój syn, doktorze, później ja.

Kiwa głową i podchodzi do Adriana.

– Szpital, nie mamy innego wyjścia.

– Nie! Proszę powiedzieć, czego potrzebujemy. Zaraz to załatwię. Carlo, daj telefon.

– Panie Coletti... – zaczyna, a ja kręcę głową. Nie ma jebanej opcji, żebym teraz jeździł po lekarzach i szpitalach. To są miejsca, gdzie bardzo łatwo zabić człowieka. Nawet takiego, który ma ochronę. – Dobrze, więc potrzebujemy... – wymienia przez telefon całą litanię, rozmawiając z człowiekiem, który w parę godzin jest w stanie sprowadzić najbardziej zaawansowany sprzęt medyczny, jaki istnieje. Mam déjá vu. Tak samo było wtedy, kiedy Rosa ratowała życie Nunzia... Mój Boże.

– Co z nim? – wyciąga kolejną strzykawkę z teczki.

– Nie obiecuję cudów... Stan jest poważny. Ma mnóstwo oparzeń. Tak jak i pan. – Kiwa głowę w moją stronę. – Pańska ręka też nie wygląda najlepiej. – Spoglądam na rękę, która wygląda tragicznie. Pod wpływem adrenaliny zupełnie zapomniałem o wszystkich swoich dolegliwościach. – Panie Coletti, liczą się sekundy.

– Za godzinę będą wszystkie sprzęty – zapewniam. W tym samym momencie do domku wchodzi Carlo, a za nim Pablo.

– Co tu się stało?!

– Moje auto wybuchło, przysięgam, nie wiem, jak i kiedy... Jak znajdę tego, kto to zrobił... Jeszcze nie wiem, jak wyjaśnię to Rosie...

– Tommaso, ta kobieta dzwoniła do Rosy dostownie chwilę przed tym, jak rozmawiałem z Carlem... – Zastygam. – Rosa wie o wybuchu i obawiam się, że wie, kto to zrobił... To miała być zemsta na niej. – Nie wierzę... Jakim cudem ta suka mogła coś takiego zrobić? Myślę przez chwilę. Czy to się kiedyś skończy?! Jedna osoba przez tyle czasu próbuje nas zabić. Po cholere?

Krążę po niewielkim pomieszczeniu. Tommaso, myśl... Jak to rozwiązać. Przypominają mi się wtedy słowa Andrejewa. Lis złapany w pułapkę... Jezu... Nie dam rady, ale tylko taka opcja wchodzi w grę. Chociaż nie, nie mogę jej tego zrobić. Boże, daj mi jakiś znak...

– Zatrzymał się! – krzyczy lekarz, bo Adriano przestał oddychać, i podejmuje reanimację. To ma być twój znak!? Tak?! Że niby... Sam nie nadążam za swoimi myślami. Patrzę na lekarza, który za wszelką cenę nie pozwala odejść mojemu synowi na tamten świat i wtedy w mojej głowie zapada ostateczna decyzja.

– Więc zrobimy tak, że to Rosa teraz będzie się mściła, Pablo – mówię, a on patrzy na mnie pytająco. – Mam plan... Okrutny, ale jedyne, jaki mi przychodzi teraz do głowy.

– I tak właśnie było... Nic lepszego nie umiałem wymyślić, przysięgam. Kiedy zobaczyłem, jak lekarz reanimuje Adriana, myślałem, że moje serce też się zatrzyma – opowiadam, ledwie powstrzymując łzy, bo tak. To było straszne przeżycie, którego nigdy i nikomu nie życzę.

Patrizia podchodzi i mocno obejmuje mnie w pasie.

– Czuję, że nie umarłem, ale nie wiedziałam, czy to była prawda, czy tylko moja mocna nadzieja. Głuszcę blond głowę.

– A gdzie jest Adriano? – Pytanie Alejandry sprawia, że wszyscy milkną. Pochylam się nad nią.

– Adriano jeszcze nie wyzdrowiał, ale mamy nadzieję, że niedługo będzie się z wami bawił. Później będziesz mogła do niego pójść. Leży w specjalnej sali i ma specjalną maskę na buzi. Musi dużo spać.

– Alejandra potakuje głową, po czym wraca do Bianki i Vincenta. – Adriano naprawdę żyje. Nie patrzcie tak na mnie. Jest w salce na dole. Podłączony do aparatury. Jedyne Arturo... Jego nie udało się uratować. – Matka spuszcza głowę i wbija wzrok w swoje kolana. Dam jej chwilę, żeby mogła oswoić się z tą wiadomością. Ze wszystkimi wiadomościami.

Z każdym po kolei wymieniam chociaż parę zdań. Z pokorą przyjmuję ciężki od Irene i mamy. O mały włos i obie dostałyby zawału. Zbieram opieprz od Nunzia. Swoją drogą nie tylko ja, bo Pablo i Rosa obrywają tak samo. Ale należy się nam. Jedyne mała Alejandra wita nas wszystkich z wielką radością. Bez soczystych przekleństw i żali. Szkoda, że dorośli nie mogli wziąć z niej przykładu.

Goście wrócili do domu, dzieci ułożyliśmy do snu i mamy chwilę dla siebie. Vincent nie chciał zostawać sam, więc Bianca postanowiła dotrzymać mu towarzystwa w ich pokoju, dopóki Adriano do nas nie wróci. To wspaniałe, że nasze dzieci tak doskonale się wspierają.

Obejmuję swoją żonę i cmokam w odkryte ramię.

– Nawet nie masz pojęcia, jak mocno tęskniłem, pani Coletti.

– *Donie Tommaso*, nawet nie masz pojęcia, jak ja tęskniłam. – Odwraca się w moją stronę i ujmuję twarz w dłonie. – To było piekło i miałam ochotę cię zabić, *Coletti*, ale tak jak powiedziałaś... To jedyna słuszna decyzja. Wszyscy nam wybaczą, ale potrzeba czasu. Bałam się o mamę i *Irene*, ale dzięki Bogu nie było tak źle. Teraz jeszcze tylko musimy was formalnie wskrzesić i znów będę mogła was mieć blisko siebie. – Jej zielone oczy wpatrują się we mnie z taką miłością, jakiej pragnęłam przez całe swoje życie i jakiej pragnę dla każdego z moich bliskich. Oby moi synowie trafili na takie kobiety.

Staje na palcach, a ja pochylam się i całuję miękko usta mojej żony. To popieprzone i nie powinno tak być, ale w spodniach odczuwam delikatny dyskomfort. Dobrze, że tego nie musieli mi amputować. W głowie pojawia się myśl o moich bliznach i braku ręki. Spinam się i odsuwam.

– *Rosa*, ja... Nie dam rady. – Unoszę kołczyngę. Czuję się najzwyczajniej w świecie zakompleksiony. – Poza tym mam tyle blizn. Nie jestem już taki sam. To chyba nie czas na to.

Rosa uśmiecha się czule i rozpina pierwszy guzik mojej koszuli.

– Jesteś nadal moim mężem i jeżeli masz ochotę mnie całować, dotykać, przytulać albo uprawiać ze mną seks, to nigdy nie będę się odsuwała. Nigdy nie przeszkadzała mi twoja blizna na policzku – przejeżdża po niej palcem i wiedzie ręką niżej – te też nie będą mi przeszkadzały.

Część mojego ciała jest mocno poparzona. Dzięki medycynie i doktorowi *Mendezowi* obrażenia zostały zniwelowane do minimum i świetnie się goją, ale długa droga do ich pełnego wygojenia, choć i tak jestem zadowolony.

Zsuwa ze mnie koszulę.

– A ręka nie będzie ci potrzebna, masz o wiele więcej mocy w języku i swoich majtkach, *Tommaso*.

Aż się zaśmiałem na te słowa.

– Mówiłem już, jak bardzo tęskniłem? – Zdrową dłońią ściągam z *Rosy* sukienkę. – Tak na marginesie bardzo mi się podoba pani nowy styl, *donna Rosa*.

Ona rozpina mi spodnie i zsuwa je razem z bielizną, po czym popycha na łóżko, na którym przysiadam.

– Za tym też było mi tęskno – dodaję, a ona przygryza wargę i klęka przede mną. Przetykam ślinę, a kiedy czuję jej usta na swoim kutasie, głośno wypuszczam powietrze. – Taak... – Kładę dłoń na jej głowie i wplątnię jej palce we włosy. – Chodź do mnie, bo zaraz dojdę, a tego jeszcze nie chcę. – Pociągamy lekko za blond pasma, które trzymam. Bez oporu podnosi głowę i patrzy mi w oczy. – Albo jeszcze chwilę. – Świdruję ją wzrokiem. – Wyglądasz tak seksownie na kolanach przede mną... – Ponownie otwiera usta i obejmuje go nimi. Mhmm. Mruczę cicho. – Chodź. – Tym razem trochę bardziej stanowczo, ale nadal delikatnie podciągamy ją do góry. Przed nosem mam teraz jej piersi otulone biustonoszem. Sięgam dłońią, aby go rozpiąć, ale zrobienie tego jedną ręką jest cholernie trudne...

– Pomogę. – Uśmiecha się i sama rozpina koronkowy materiał. Głęboko nabieram powietrza i zamykam na chwilę oczy. Tak długa przerwa będzie skutkowałą szybkim finishem. Na pewno. – Ty chyba jesteś już w pełni gotowy, co, panie *Coletti*? – Spogląda na mój wzwód.

Gotowy jak cholera, bo sterczy tak, że aż boli.

– A ty nie jesteś? – wiodę dłońią od obojczyka, przez zakolczykowaną pierś, brzuch, aż dojeżdżam palcami do jej cipki. Staje w lekkim rozkroku, abym mógł wsunąć palec. – O, kurwa, jak mokro. – Przyciskam czoło do ciała mojej żony i czuję, że robię się jeszcze twardszy. Wsuwam kolejny z palców. Z gardła *Rosy* wydobywa się ciche mruknięcie. – Dosiądź mnie dzisiaj. – Wysuwam z niej palce i je oblizuję, patrząc żonie prosto w oczy. Podsuwam się wyżej tak, aby plecami oprzeć się o zagłówek. To

będzie najlepszy widok. Rosa wchodzi na mnie, ale nie siada od razu tam, gdzie chciałbym, żeby usiadła. Przyciska gorącą, morką cipkę do mojego brzucha i całuje mnie namiętnie w usta.

– Jak ty przyjemnie mruczysz – wydusza między sapaniami. – Cholernie mi tego brakowało. Zsuwa się niżej i powoli nabija się na sterczącego fiuta. – Mmm.

– Jezu... Kurwa... Chryste.

W pełni rozluźniony wychodzę na patio, gdzie siedzi moja żona otulona kocem. Zajmuję miejsce obok niej i obejmuję ją zdrową ręką. Ten seks był niezemski. Seks z nią zawsze taki był, ale dzisiaj... To było wyjątkowe.

– Tęskniłem za tym miejscem. – Migoczące w nocy lampeczki wyglądają pięknie. Teraz to dostrzegam. – Za tobą, pani Coletti. Tyle razy już użyłem słowa „tęsknię”, że jestem w szoku. – Unosi na mnie spojrzenie zielonych oczu, które są czerwone od płaczu. – Hej, dlaczego płaczesz? *Donna Rosa*, to nie przystoi takiej dużej dziewczynce. Cipka cię boli czy co? – Chichocze i pociąga nosem. – Zajębiście to brzmi, *donna Rosa Coletti*. Ty w ogóle będziesz chciała oddać mi ten tytuł? – Naśmiewam się, a na twarzy mojej żony pojawia się smutek. Usta wykrzywia w podkówkę, próbując powstrzymać łzy. – Rosa?

– Tommaso... Ja... Oddam ci ten tytuł.

– Nie musisz, jak masz płakać dlatego, że zabieram ci przywilej bycia szefem, to zostaw go sobie. – Cmokam chłodny policzek.

– Będę musiała ci go oddać, bo nie wiem, jak długo tutaj zostanę. – Marszczę brwi pytająco, bo nie wiem, co ma na myśli. Wyciąga kopertę i mi ją wręcza. – Miałam tego nie robić. Nikomu nic nie mówić i próbować sama walczyć, jednak po dłuższym namyśle uznałam, że musisz wiedzieć, i postanowiłam, że nie będę tego ukrywać. Nie przed tobą. Wybacz, że mówię ci to teraz, ale im bardziej będę zwlekać, tym gorzej.

Wyciągam zawartość i przeglądam zadrukowane kartki.

– To zemsta za to, co ja zrobiłem? Zabawne w chuj. Ha i ha.

Smutne oczy Rosy hipnotyzują mnie jak czarnoksiężnik.

– Chciałabym, żeby to była zemsta, ale nie jest. Uwierz mi, Tommaso, tak bardzo chciałabym, żeby to był żart. Podejmę leczenie, chociaż nie wyobrażam sobie siebie leżącej na łóżku z kroplówkami i łysą głową. Nie chcę też, żebyście zapamiętali mnie wrakiem człowieka, gdyby coś poszło nie tak. Ale to zrobię... Żeby nikt nigdy mi nie zarzucił, że się kiedykolwiek poddałam.

KONIEC

EPILOG

Cztery lata później...

TOMMASO

Życie nie jest usłane samymi płatkami róż. Są też ciernie, które wbijają się głęboko w człowieka i pozostawiają sączącą się ranę na zawsze. Tak jest ze mną.

Zmiotam złote liście, które zaczęły jakiś czas temu spadać z drzew. Całe szczęście opanowałem już swoją protezę i codzienne czynności nie sprawiają mi takiego problemu. I wyglądam trochę straszniej jako robocop, co przydaje się w mojej pracy.

Stawiam kolejny znicz na zimnej, ciemnej płycie. Uwielbiała te otwarte, duże, gliniane, które palą się wysokim płomieniem, rozświetlając najciemniejszą noc.

„ROSA COLETTI”

Cztery lata trudnej walki, którą w końcu przegrała. Moja żona do końca życia będzie dla mnie wzorem do naśladowania. Nie znam nikogo tak walecznego jak ona i pewnie już nigdy nie poznam. Każdemu z nas udowodniła, że jeżeli człowiek bardzo mocno czegoś pragnie, to o to zawalczy.

– Adrianie Coletti, oddawaj, bo pożałujesz. – Chociaż nie. Bianca taka będzie. Tak samo charakterna jak jej matka, co zawsze mi o niej przypomni.

Uśmiecham się do Vincenta, który podchodzi z małym woreczkiem na liście.

– Chcesz mi pomóc? – pytam, a on w milczeniu pochyla się i zbiera małe listki. – Vinnie, nie chciałbym, żebyś znowu się od nas odsuwał. – W odpowiedzi wzrusza jedynie ramionami.

To przykre, że po takim postępie, jaki zrobił z Rosą, teraz znów rzadko się odzywa.

– Mamie byłoby przykro. – Na moje słowa zastyga z ręką w powietrzu.

– Wiem. Po prostu za nią tęsknię – rzuca krótko.

Zaciskam usta i jedynie kiwam głową. Wszyscy za nią tęsknimy.

Codziennie przyjeżdżam, żeby spędzić chociaż trochę czasu na cmentarzu. Minęło parę tygodni od pogrzebu, ale ja nadal nie umiem pogodzić się z tym, że już nigdy nie zamienię żadnego słowa z zielonooką panią doktor. Nigdy nie usłyszę „donie Tommaso” i nie poczuję ciepła, jakie mi dawała. Najtrudniejszym zadaniem było przygotowanie dzieci na to, że któregoś dnia ich mamy po prostu nie będzie. Wspólnie przepłakaliśmy niejedną noc, ale radzą sobie dzielnie.

Cóż za ironia. Ponad cztery lata temu to ona przyjeżdżała, żeby palić tu znicze. Te na fałszywie stworzonych grobach, a dzisiaj to ja palę na jej grobie. Tylko tego nie cofniemy i nie naprawimy. To nie jest żadna gra i tutaj nie ma powrotów.

– Valentina! – Emanuele woła swoją córkę, która oddaliła się gdzieś i lawiruje pomiędzy innymi grobami.

Wiele się zmieniło. Emanuele został moim szwagrem i postanowił przysposobić dziewczynki. Od ślubu z Patrizią wszystkie trzy noszą nazwisko Provenzano. Irene pożegnaliśmy parę miesięcy przed śmiercią Rosy, a Nunzio doczekał się syna, któremu dał imię Arturo.

– Na miłość, kurwa, boską te dzieci mnie wykończą. – Och tak. Val i Ros są jak dwa żywe sreberka. – Jedziemy do domu?

– Jedziemy. Ale nie łącz miłości boskiej z kurwą, bo Rosie się to nigdy nie podobało. I Camilli też. – Kwituję. Poklepuje mnie po plecach, a ja ostatni raz przesuwam stojące znicze.

Przykładam trzy palce do ust, a później do zdjęcia przyklejonego na kamiennej płycie. To samo robię z wiszącą na moim łańcuszku obrączką. Całuję ją tak samo, jak wtedy, kiedy Rosa nosiła ją na swoim palcu.

Nikt nigdy nie dał mi się tak we znaki tak, jak ty, Rosa.

Nikt nigdy nie skarcił mnie tak, jak ty, Rosa.

Nikt nigdy nie dał mi tyle szczęścia, co ty, Rosa.

Nikt nigdy nie pokazał mi, co znaczy prawdziwa miłość, tak jak ty, Rosa.

W moim sercu zawsze pozostanie dziura. W kształcie puzzla, którym dla mnie byłaś.

*I tried so hard and got so far:
But in the end it doesn't even matter.
I had to fall to lose it all.
But in the end it doesn't even matter..*

Podziękowania

*Seria **Famiglia** powstała z wielu powodów, ale głównym byli ludzie, którzy przyczynili się do tego, że ja sama musiałam zwalczyć w sobie wiele demonów i zawalczyć o siebie. Ludzie, których początkowo zniechęciłam za to, że się w moim życiu pojawili, ale później, odrabiając każdą lekcję jak pilny uczeń, stwierdziłam, że jednak ich nie nienawidzę. To dzięki nim stałam się taka, jaka jestem teraz, i dzięki nim wiem, co w życiu powinno być najważniejsze. Sama się przekonałam, że życie to nie jest bajka, nie zawsze są happy endy, a my jako istoty bardzo często musimy zmierzyć się z wstrętną rzeczywistością, żeby otworzyć oczy.*

Na samym początku dziękuję Czytelnikom, bo to Wasze zainteresowanie książką na Wattpadzie, a później wydaną na papierze przyczyniło się do powstania i wydania trylogii. Mimo że są zwolennicy i przeciwnicy, miłośnicy i krytycy, to każdemu z was należą się osobne podziękowania. Dla tych, którzy polubili moich bohaterów mimo wielu niedociągnięć – za to, że dzięki Wam miałam skrzydła i chciałam pisać.

Dziękuję Rodzicom, którzy – choć nie zawsze było łatwo – starali się, jak mogli, żeby przekazać mnie i mojemu rodzeństwu najlepsze wartości.

Dziękuję Rodzeństwu, które pomimo naszych różnic i odmiennych charakterów starało się nigdy we mnie nie wątpić. Ja też w Was mocno wierzę, w całą trójkę!

Dziękuję osobie, przez którą przesłałam swoje małe piekło na ziemi, wątpiąc w siebie i mając milion okropnych myśli w głowie. To głównie dzięki tobie i tym, którzy ślepo stali u twego boku stałam się taka, jaka teraz jestem. Dzięki tobie nauczyłam się w pewnym momencie stawiać granice, mówić NIE i walczyć o siebie. Uwolnienie się nie było łatwe, ale jak najbardziej słuszne.

Dziękuję Ani, która popchnęła mnie do wydania tej książki, choć wcale nie miałam tego w planie. :)

Dziękuję przyjaciołom i bliskim, którzy mimo wielu ciężkich chwil w moim życiu, przez które bywałam naprawdę nieznośna albo zupełnie odizolowana, byli ze mną i nadal są.

Dziękuję Wydawnictwu NieZwyktemu, które zechciało wydać DONA, COLETTIego i DONNę, i osobom, które nad tymi książkami pracowały. Dzięki Wam historia Tommasa i Rosy ujrzała światło dzienne, mimo że miała swój początek na zniechęconym Wattpadzie. :)

Dziękuję Patronkom serii. Obdarzyłyście mnie zaufaniem, biorąc pod swoje skrzydła Colettich, i od początku do końca byłyście ze mną. Nie jestem PISARKĄ, bo to wielkie słowo, jestem autorką, która czasami dość nieudolnie, ale jednak, próbowała przekazać emocje w książkach. Dziewczyny! DZIĘKUJĘ!

I dziękuję recenzentkom za te pozytywne i negatywne recenzje. Pozytywne dodawały mi skrzydeł. Negatywne dawały do myślenia i motywowały do tego, aby starać się bardziej.

Wszystkim razem i każdemu z osobna jeszcze raz dziękuję!

Reed
Lester
2

Playlista

Lana Del Rey - Yes to Heaven

Jess Glynne - Take Me Home

Christina Perri - Human

Guy Sebastian - Battle Scars (Feat. Lupe Fiasco)

Bebe Rexha, Machine Gun Kelly i X Ambassadors - Home

DMX feat Machine Gun Kelly - I Don't Dance

Evanescence - My Immortal

Ruth B. - Dandelions

Lewis Capaldi - Someone You Loved

Rihannna - Lift Me Up

Lukas Graham feat. Khalid - Wish You Were Here

Imagine Dragons feat. Elisa - Birds

Tomme Profitt feat Mellen Gi - In The End (cover)

Monique - Make Me Human

Pentatonix - The Sound Of Silence

Dotan - There Will Be A Way

Hugo Schneider - Silence Is All I Have Now

One Republic - Better Days

Alan Walker - Lost Control

Xzbit feat Eminem - My Name

Pink feat Willow Sage Hart - Cover Me In Sunshine

MiyaGi feat Kadi - Prayers

Eminem - Not Afraid

¹ *Buona serata* (wł.) – dobry wieczór

² *Oh per l'amor di Dio* (wł.) – Och, na litość Boską